

WERONIKA TOMAŁA

Szeptcz do mnie
WIĘCEJ



Weronika Tomala

**SZEPCZ
DO MNIE WIĘCEJ**



Radom 2023

*Jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu
o twoich planach na przyszłość.*

(Woody Allen)

Justynie Hudek

Maryli Marcol

Iwonie Miler

*– trzem wspaniałym polonistkom,
które miałam okazję spotkać na swojej drodze*



TRZY LATA WCZEŚNIEJ

JAKUB

Dźwięk telefonu wyrywa mnie z płytkiego snu. Klepię ręką w kanapę, na oślep szukając komórki, ale nigdzie jej nie ma. Raptownie się schylam, by zerknąć na podłogę, skąd wciąż głośno rozbrzmiewa charakterystyczny sygnał. Leży na ziemi, a ekran wyświetla napis, który w ciągu ostatniego roku miałem okazję często oglądać.

Centrum Onkologii w Krakowie.

Serce podchodzi mi do gardła, kiedy patrzę na wiszący na ścianie zegar. Jest druga w nocy. Sięgam po telefon, a kiedy próbuję odebrać połączenie, zauważam, jak bardzo drżą mi palce. Przykładam słuchawkę do ucha.

– Jakub Lincner przy telefonie. Co się dzieje? – wyduszam z siebie jednym tchem.

– Panie Jakubie, proszę przyjechać. I proszę się pospieszyć – słyszę po drugiej stronie rzeczowy głos pielęgniarki.

Nie odpowiadam. Telefon wypada mi z ręki. Paraliżujący strach na moment zupełnie mnie obezwładnia. Siedzę bez żadnego ruchu, wlepiając zaszklony wzrok w rozmazane lampki na choince. Słowa, które przed momentem padły, wciąż odbijają się echem, a pulsujący ból w głowie coraz mocniej daje o sobie znać.

Zrywam się, nie zważając na to, co mam na sobie. Wcale nie szykowałem się do snu, zasnąłem w tym, w czym chodziłem za dnia. Nie chciałem tutaj być. Sam. W domu. Miałem siedzieć teraz w szpitalu. Błagałem pielęgniarki, by pozwoliły mi zostać, ale odesłały mnie. Przyszedł lekarz i przekonał mnie, że muszę odpocząć. Zapytał, ile nocy bez zmużenia oka mam już na koncie. Nie byłem w stanie udzielić mu odpowiedzi.

Zabieram z haczyka klucze i wychodzę. Chociaż na dworze panuje mróz, w cienkiej koszuli wcale nie jest mi zimno. Nie odczuwam żadnych emocji poza lękiem, który pochłania wszystkie moje myśli. Działam jak maszyna, automatycznie wykonując kolejne niezbędne czynności.

Po chwili mknę ulicami. Tyniec o tej porze zwyczajnie śpi. Puste drogi tworzą tunel, który przemierzam z zawrotną prędkością. Wokół słychać tylko donośny ryk silnika mojego auta. Czas zaczął rozdawać karty. Mam nadzieję, że będzie dla mnie łaskawy.

Piętnaście minut później wjeżdżam na ulicę Garncarską i parkuję przed szpitalem. Wysiadając z samochodu, przecieram oczy. Ola nie może widzieć mnie w takim stanie. Muszę się trzymać. Dlaczego z naszej dwójki to ona okazuje się tą silniejszą? Powinienem być jej oparciem, tymczasem to ona wciąż zdaje się mnie pocieszać.

Czuję się podle. Nie tak miało być. Kiedy widzę, jak bardzo cierpi, pękam. Zwykle kłamię, że wychodzę ze szpitalnej sali, żeby porozmawiać w ważnej sprawie służbowej i daję upust emocjom. Za ścianą, kiedy mnie nie widzi i kiedy na chwilę opuszczam oddział, po prostu się rozklejam. Ryczę jak ostatni frajer.

Wchodzę do szpitala i idę w stronę schodów. Nie czekam na windę. Łudzę się, że ruch pozwoli mi choć w minimalnym stopniu rozładować napięcie. Ale to wszystko na nic. Otwarte drzwi oddziału świadczą o tym, że najwyraźniej już na mnie czekają. Widzę ciągnący się przede mną opustoszały korytarz.

Palący ból gardła sprawia, że nie potrafię przełknąć śliny. Przystaję na moment i łapię się za czoło. Mój umysł szaleje. Zachowuję się irracjonalnie, jakby czekanie miało mi w czymś pomóc. Mięśnie dygoczą, koszula lepi mi się do ciała. Wyglądam jak ostatni menel, ale w tym momencie, do diabła, to wszystko nie ma żadnego znaczenia.

– Pan Jakub. Dobrze, że już pan jest – zza biurka w recepcji wychyla się jedna ze znajomych pielęgniarek. Podchodzi do mnie bliżej. – Oddech pani Oli jest już bardzo płytki. Przed chwilą był u niej lekarz. – Nie dodaje nic więcej. Idzie w stronę pobliskiej sali, a ja po prostu ruszam za nią. Kiedy przekracza próg pomieszczenia, odwraca się w moim kierunku. Czuję na sobie jej współczujący wzrok. Jakby chciała mi coś powiedzieć. Tymczasem milczy, stając obok łóżka Oli. Nieznacznie kiwa głową, spoglądając na moją nieruchomo leżącą żonę. Podpiętą do aparatury kontrolującej funkcje życiowe. Zaciskam powieki i próbuję uporać się z widokiem, do którego wciąż nie potrafię przywyknąć. Łatwiej mi, kiedy jestem przy niej cały czas. Kiedy siedzę na drewnianym krześle obok łóżka i trzymam ją za rękę. Kiedy patrzę na podkrążone

brązowe oczy i kiedy głaszczę jej głowę, na której wcale nie tak dawno rosły kruczoczarne, gęste włosy. Teraz nie ma tam nic. A ona i tak wciąż jest dla mnie najpiękniejszą kobietą na ziemi.

Jednak ilekroć wychodzę chociażby na parę godzin i tracę ją z widoku, mój mózg zaczyna wypierać te wszystkie obrazy. Powrót na nowo otwiera wszystkie rany.

Zaciskam zęby. Siadam na skrawku szpitalnego łóżka i biorę Olę za dłoń. Jest niemalże bezwładna. Głaszczę ją, a potem przysuwam ku swojej twarzy i składam na niej pocałunek. Nie reaguje. To nic. Wiele razy już nie reagowała na mój dotyk. Czasami jest zbyt zmęczona, by się odezwać.

Jestem przerażony. Permanentnie od dwóch lat, od diagnozy. Czerniak. Potem przerzuty do kości. Immunoterapia, radioterapia, w końcu leczenie paliatywne. Jeszcze jakiś czas temu sądziłem, że można przezwyciężyć każdy rodzaj lęku. A jednak życie pokazało mi, że może być inaczej. Lęk przed utratą ukochanej osoby tylko przybiera na sile.

Zerkam na pielęgniarkę. Zostawia nas samych.

Oprócz stałej pracy aparatu wydającego z siebie rytmiczny sygnał, wokół panuje kompletna cisza.

– Jestem, kochanie – szepczę, ściskając jej dłoń. Przysuwam się bliżej twarzy Oli. Chcę się odezwać. Chcę jej coś powiedzieć. Wiele razy mówiłem do niej, kiedy spała. Ale teraz nagle zabrakło mi słów. Duszę w sobie rozpacz. Cholerne słabości, które tylko mącą. – Przystroilem choinkę. Tak, jak chciałaś – mówię, walcząc z drżeniem głosu. Obiecałem jej, że to zrobię. Obiecałem jej też, że wróci do domu i oceni moją pracę. Nabieram powietrza w płuca. Przytrzymuję je na chwilę. Nie daję rady. Nie potrafię. Dlaczego musimy przez to przechodzić? Za co? Za jakie grzechy? Przecież chcieliśmy tylko normalnie żyć. – Pewnie zrobiłabyś to lepiej. Jestem pewien, że będziesz miała sporo zastrzeżeń – dodaję. – Ale nigdy nie byłem w tym dobry, przecież wiesz. Zresztą pamiętasz, co opowiadała ci moja mama. Kiedyś tak przystroiliśmy z siostrą choinkę, że tego nie wytrzymała, złamała się i po prostu na nas poleciała. – Próbuję odwrócić myśli, wracając do zdarzenia z dzieciństwa. Wszystkie bombki, jakie były w pudełku, ulokowaliśmy z przodu. Z tyłu drzewko było kompletnie gołe, więc prawa fizyki dały o sobie znać.

Z ust Oli wydobywa się jakiś głos. Nachylam się. Sine wargi poruszają się. Jakby coś do mnie mówiła.

– Kuba. Kuba... – ledwo słyszalnie wypowiada moje imię. Widzę, z jakim trudem jej to przychodzi.

Serce zaczyna łomotać mi jeszcze szybciej. Choć miałem wrażenie, że już prędzej się nie da.

– Jestem, Oluś. Będę tu przez cały czas. – Wierzchem palców dotykam jej policzka. – Leż sobie spokojnie. Nie wysilaj się. Porozmawiamy jutro, kiedy będziesz silniejsza.

Marszczy czoło. Z bólu. Widzę, jak potworne cierpienie przysparza jej nawet mały ruch. Odwraca się w moją stronę i na parę sekund otwiera oczy. Jakby chciała się upewnić, czy to na pewno ja.

– Tak bardzo się boję – wydusza z siebie. Kącik jej ust unosi się w górę. Z oka wypływa łza, która szybko wsiąka w poduszkę. Przecieram kciukiem wilgotny szlak na jej skórze.

– Nie ma się czego bać – szepczę, próbując ją uspokoić. Patrzę na jej twarz. Wciąż jest tak bardzo piękna. Wyczerpana walką z chorobą, wycieńczona do granic możliwości, a jednak wciąż tak jedwabście gładka.

– Jutra nie będzie – dodaje.

Opuszczam głowę. Zaciskam oczy. Wstrząsa mną szloch. Nie potrafię go opanować. W życiu nauczyłem się wielu rzeczy, ale nikt nigdy nie przygotował mnie na coś takiego. Nie jestem gotów, by ją pożegnać. Nie wiem, jak miałbym bez niej żyć.

– Co ty mówisz, Olka – ściskam ją za rękę. Milknę, by na nowo zebrać siły. – Nie pozwolę ci odejść. Przecież nie możesz mnie tutaj tak zostawić.

Nie odpowiada.

Godzinę później przychodzi lekarz.

Dwie godziny później przychodzi jeszcze raz. I stwierdza zgon.

DWA LATA WCZEŚNIEJ

LENA

Siedzę przy wielkim drewnianym biurku i wgapiam się w okrągłą twarz typa siedzącego dokładnie naprzeciwko mnie. Notariusza, gwoli ścisłości. I zastanawiam się, do licha, cóż takiego właśnie do mnie gada?

– Maryla Karolina Sarnicka oświadcza, że do całego spadku, jaki po niej pozostanie, jako jedyną spadkobierczynią powołuje Lenę Marczuk, córkę Stanisława i Krystyny, urodzoną 18 września 1999 roku w Krakowie, zamieszkałą w Ciechocinku – wąsaty facet odczytuje jakieś papiery. Wciąż nie dociera do mnie sens wypowiedzianych przez niego słów. Jakiego spadku? W jakim Krakowie? O czym on chrzani?

Mam wrażenie, że to wcale mnie nie dotyczy. Ale nie mogę zaprzeczyć, że w akcie notarialnym, który mam przed nosem, pojawia się dokładnie moje imię. Moje. Z moją datą urodzenia. To nie może być zwyczajny zbieg okoliczności.

– Przepraszam – przerywam mu, a jego mina świadczy o tym, że nie jest z tego zadowolony. – Mógłby mi pan po prostu po ludzku wyjaśnić, co to wszystko oznacza?

Wzdycha pokazowo. Odkłada dokument na blat, opiera łokcie na biurku i pochyla się w moją stronę. Kręci głową, chyba zapobiegawczo, w razie gdyby poprzedni gest zbyt słabo wyraził jego zgorznienie. Zdążyłam się domyślić, że ma mnie dość.

– Niejaka ciotka Maryla, dziewczyno, zapisała ci w testamencie swój dom.

Dębieję.

Szczęka dosłownie opada mi na to drewniane, rzeźbione, masywne cacko, przy którym siedzę. Nie wierzę w to, co słyszę.

Opieram plecy o krzesło, analizując sytuację.

Zapisała mi swój dom? Prawdziwy dom?

Jak to możliwe? Przecież wcale jej nie znałam. Mama od lat nie utrzymywała z nią kontaktu. Nie odwiedzaliśmy się, bo dzielił nas spory dystans. Choć miałam wrażenie, że od zawsze był dla mamy wygodną wymówką. Jak mantrę powtarzała mi jedno i to samo. I tylko to na temat ciotki zdążyłam zapamiętać. Że Maryla Sarnicka była zwykłą wariatką.

– Mówiłam ci, że to wariatka – mama kręci się dookoła stołu, co rusz zerkając na akt notarialny, który przyniosłam do domu. Jakby był jakimś wyrokiem.

– Była, mamó – poprawiam ją. Wstyd przyznać, ale nawet nie wiedziałam, że nie żyje. Nikt nas o tym nie poinformował. Zresztą rodzice z pewnością i tak nie zdecydowaliby się pojechać na pogrzeb. Po pierwsze, ojciec ma już sześćdziesiąt lat. Boi się jeździć autem poza granice miasta. Mam wrażenie, że to nie jest kwestia umiejętności, ale strach, który siedzi wyłącznie w jego głowie. Mama jest od niego rok młodsza. I nie ma prawa jazdy. Jestem ich jedynym dzieckiem. Jak widać, chyba długo wyczekiwany. W zasadzie sama mogłabym ich zawieźć. Moglibyśmy też pojechać pociągiem albo autobusem. Opcji jest wiele. Ale reakcja matki wyraźnie świadczy o tym, że nawet po śmierci ciotki nie zamierza złagodzić tonu. I uczestnictwo w pogrzebie byłoby dla niej skaraniem boskim. A ja? Teraz już sama nie wiem. Tego, co się stało, chyba nikt z nas kompletnie się nie spodziewał.

– Nieważne – burczy pod nosem. – Tylko problemów nam przysporzyła. Znowu – matka nie potrafi się uspokoić. Wiadomość o testamencie ciotki rozstroiła ją chyba tysiącokrotnie bardziej niż wiadomość o jej śmierci. – Stara, nikomu niepotrzebna rudera – komentuje. – Chciała się pozbyć problemu, to tobie zapisała.

– Twoja ojcowizna, mamó – patrzę na nią i zastanawiam się, jak to możliwe, że nie ma żadnego sentymentu do miejsca, w którym się wychowała. Nie wiem, czy potrafiłabym się tak stuprocentowo odciąć od przeszłości i zacząć wszystko od zera. Przecież każdy z nas chce mieć jakieś poczucie przynależności i rodzinnych korzeni. Ubolewam, że nie miałam okazji poznać swoich dziadków, bo prawie wszyscy odeszli, zanim się urodziłam. Babcia ze strony matki ponoć niedługo potem. Do ciotki, po opowieściach mamy, szczerze powiedziawszy, jakoś nigdy mnie nie ciągnęło. Po prostu dla mnie nie istniała. Aż do dziś.

– Wiesz, że możesz się tego rzec. – Matka staje przede mną z rękami założonymi pod boki. W ogóle nie reaguje na to, co przed chwilą powiedziałam.

– A dlaczego miałabym to robić? – Wzruszam ramionami.
– Przecież na tym majątku mogą ciążyć jakieś długi. Bóg jeden wie, jakich głupot za życia nawywiła jeszcze Maryla. Kredytów ci trzeba? – piekli się na mnie, jakbym już podjęła ostateczną decyzję.
– Nie ma żadnych długów. Ciotka pozostawiła po sobie trochę oszczędności.
– Trochę? – Podnosi brew.
– Trzydzieści tysięcy. To spora suma, biorąc pod uwagę, że musiała sama utrzymywać dom. Chyba nie była aż tak głupia, jak o niej mówiłaś. – Wiem, że to stwierdzenie wywoła piekło.

– Nic o niej nie wiesz – parska nerwowo. Podchodzi do kuchennego blatu i zaczyna chować do szafki talerze, które przed całą tą rozmową zdążyła wyjąć ze zmywarki. Zastanawiam się, czy w ten sposób zakończyła temat, czy to dopiero początek. Podnoszę do ust szklankę z kawą i wypijam ostatni łyk. Patrę na komórkę i widzę, że dokładnie za półtorej godziny muszę się zjawić w salonie fryzjerskim. Staram się tam o uczciwy etat, a to renomowana firma i zależy mi na tej robocie. – I co zamierzasz zrobić? – Odwraca się w moją stronę. Chyba trochę ochłonęła, co daje w końcu warunki do kontynuowania normalnej rozmowy. Choć prawdę mówiąc, kontakt ostatnio słabo nam się klei. Duża różnica wieku, jaka nas dzieli, gdzieś tam zdaje się za bardzo mącić. Kiedyś zazdrościłam moim rówieśniczkom, że ich młodsze matki podzielały ich gusta i pozwalały na robienie rzeczy, które dla mnie pozostawały nieosiągalne.

– Mamo, szczerze powiedziawszy, wciąż jestem w szoku. Nie wiem, co zrobić. Chyba najpierw po prostu tam pojadę. Chciałabym to zobaczyć. – Nigdy wcześniej nie byłam w Krakowie. Nawet na szkolnych wycieczkach. Zawsze jeździliśmy tylko do Gdańska, Torunia czy najdalej do Warszawy.

Twarz matki zastyga w bezruchu. Wygląda, jakby zobaczyła ducha, a przecież patrzy tylko na mnie. Trochę zaczyna mnie to niepokoić.

– No pewnie! Jeszcze się tam przeprowadź! – rzuca z pretensją i macha rękami na boki. Z jednej strony rozumiem jej strach, że może mnie utracić. Kilka lat temu skutecznie odciągała mnie od pomysłu pójścia na studia, a tak marzyłam o dziennikarstwie. Twierdziła, że nie stać nas na mieszkanie w akademiku, a dojazdy zrujnowałyby nasz budżet. Zamiast liceum wybrałam więc pobliskie technikum fryzjerskie. Choć nigdy nie wydawało mi się, że jesteśmy jakoś szczególnie biedni. Ojciec pracował w zajezdni, matka w sklepie. Byliśmy średniozamożną, przeciętną rodziną. Z biegiem czasu zrozumiałam, że wcale nie chodziło o pieniądze. Zresztą, nasze miasto wcale nie leży na końcu świata. Chodziło o lęk przed utratą. Matka wciąż nie potrafiła przeciąć przysłowiowej pępowiny. Mogłam spełniać swoje marzenia, a jednak zamiast głosu rozsądku posłuchałam jej. Ale kiedy ktoś każdego dnia buczy nad uchem, że coś się nie uda, człowiek zaczyna w to wierzyć. Uwierzyłam, że wyuczony zawód będzie dla mnie lepszy niż wieczne dokształcanie się.

– Wybacz mamu, z całym szacunkiem, czy naprawdę myślisz, że całe życie zamierzam spędzić w jakimś mieście dla podstarzałych emerytów? Przecież nic tutaj nie ma! – Wstałam od stołu. – Ciechocinek na pewno nie jest spełnieniem moich marzeń. I nie powiedziałam wcale, że zamierzam się przeprowadzić! – Mam dość wiecznych, bezpodstawnych pretensji z jej strony. – Zastanów się, co mówisz!

Mój ostry ton jest czymś, czego najwyraźniej się nie spodziewała. Mama przenosi wzrok na ojca, który siedzi na kanapie w salonie i przysłuchuje się naszej rozmowie. Niby z bezpiecznej odległości, a jednak biernie w tym wszystkim uczestniczy. Prawie zapomniałam, że tutaj jest.

– Odezwij się, Staszek – próbuje wciągnąć go do rozmowy. – Mógłbyś też się jakoś do tego odnieść. – Jest zła, że musi go nakłaniać. Zresztą, nie pierwszy raz. Ojciec zawsze miał znacznie spokojniejszy temperament niż ona. Jego milczenie jeszcze bardziej rozsierdza matkę. – Pewnie! Ty jak zawsze wolisz siedzieć cicho – wyciera ręce w ścierkę i ciska nią w stojący przede mną stół. Zdejmuje przez głowę wysłużony granatowy fartuch, a potem opuszcza pomieszczenie. Kilka sekund później słychać głośny trzask łazienkowych drzwi. Jestem przekonana, że usłyszeli go także kilka piętér niżej.

TERAZ

LENA

Trę zapalką lekko wilgotną draskę, aż w końcu udaje mi się wzniecić płomień. Podpalam knot wystający ze znicza, a potem nakładam pokrywkę i stawiam lampkę na zbitej ziemi uformowanej na kształt prostokąta. Na tynieckim cmentarzu położonym przy ulicy Benedyktyńskiej jest wręcz kolorowo od zniczy gęsto zaścielających nagrobne płyty. W końcu mamy drugiego listopada. Dookoła wciąż krzątają się ludzie, którzy najwyraźniej przyszli tutaj odwiedzić swoich bliskich.

Zaciskam dłonie w piąstki i wkładam je do kieszeni płaszcza. Czuję, jak ziębną mi palce. Aura nie sprzyja pozytywnemu nastrojowi. Zachmurzone niebo i delikatna mżawka podkreślają depresyjny wymiar tych dni. Już chyba wolałabym siarczysty mróz i grubą warstwę śniegu, przynajmniej na duszy zrobiłoby się weselej. Tęsknię za taką prawdziwą zimą. Choć z drugiej strony nie powinnam próbować przywoływać jej na siłę. Gdyby w tym momencie nadeszła, jazda na drugi koniec Polski z pewnością nie przyszłaby mi tak łatwo.

Zerkam na czarną tabliczkę przymocowaną do drewnianego krzyża stojącego dokładnie naprzeciwko mnie. „Maryla Sarnicka”. Odczytując w myślach imię ciotki, czuję, jak kolejny raz przechodzi mnie dreszcz. Wciąż nie mogę uwierzyć, że tutaj stoję. Potrzebowałam czasu, by w końcu podjąć jedną z najodważniejszych decyzji w moim życiu i nie jest nią tylko wyprawa na tutejszy cmentarz. Zabrałam ze sobą klucze do domu Maryli. Bo choć na wiele sposobów próbowałam wmówić sobie, że chyba nie warto babrać się w przeszłości, ciotka, jakakolwiek była, chciała mi coś po sobie pozostawić. Zupełnie mnie nie знаła. Mogła mieć żal do nas, że jej nie odwiedzaliśmy. Mogła być sfrustrowana i zła. A jednak zdecydowała się podarować swój dom właśnie mnie.

Pod imieniem wypisanym na tabliczce widnieje data jej urodzin oraz data śmierci. Wszystko wskazuje, że była pięć lat młodsza od mojej matki. Zmarła przedwcześnie. Ponoć od przedawkowania jakichś leków psychotropowych. Nie wiem, czy to rzetelna informacja, czy tylko domysł moich rodziców. Tak mi powiedzieli.

Zastanawiam się, jak wyglądała. Widziałam ją tylko na starych zdjęciach, jeszcze jako bardzo młodą dziewczynę. Były z moją mamą bardzo do siebie podobne.

Wyjmuję ręce z kieszeni, zdejmuję torebkę z ramienia i grzebię w niej w poszukiwaniu czapki. Może nie jest szczególnie twarzowa, ale już czuję, że zatoki dają mi o sobie znać. Stawiam na głos rozsądku i wciągam ją na głowę.

Jeszcze przez chwilę dumam. O wszystkim i o niczym. Trochę tak, jakbym na siłę odwlekała moment pojechania w drugie docelowe miejsce, które muszę w Tyńcu odwiedzić. Zwyczajnie tchórzę, kiedy jestem już tak bardzo blisko. Nikogo tutaj nie znam i zupełnie nie wiem, czego się spodziewać. Dom stoi pusty od dwóch lat. Prawdopodobnie dostatecznie splądrowany przez jakichś złodziei. Może zdążył się już zawalić.

Przesadam.

Robię znak krzyża i odchodzę, choć dopiero po chwili uświadamiam sobie, że przecież nad grobem nie wyszeptalam ani jednego słowa modlitwy. Ta cała sytuacja odbiera mi zdolność racjonalnego myślenia. Trudno. Lawirując pomiędzy grobami, próbuję zachować równowagę. Wyjmuję klucze i mknę w stronę swojego samochodu. Kiedy przechodzę przez cmentarną bramę, odwracam głowę, by zerknąć na zawieszoną na murze inskrypcję, która wcześniej, kiedy tu wchodziłam, rzuciła mi się w oczy. Mrużę powieki, by dojrzeć datę wrytą w kamieniu. Rok tysiąc osiemset któryś... Czas zdążył zatrzeć jedną z cyfr. Ciekawe, czy to rok założenia cmentarza, czy coś zupełnie innego. Lubię takie informacje i choć dla wielu pozostają niewidoczne, ja przywiązuję do nich wagę. Ruszam z miejsca, kompletnie rozkojarzona.

– O Boże! – wyrywa mi się z ust, kiedy zderzam się z czymś twardym. A właściwie nie z czymś, a z kimś.

– Mogłabyś uważać, jak chodzisz – słyszę mrukliwy ton. Kładę rękę na piersi, bo zdążyłam przestraszyć się nie na żarty. Podnoszę głowę, by przenieść wzrok z płaszcza jakiegoś faceta wyżej, prosto na jego twarz.

– Bardzo pana przepraszam – dukam wciąż oszołomiona. Chcę coś dodać. Jednak kiedy udaje mi się wreszcie zerknąć prosto w ciemne, zagniewane oczy, które uważnie mi się przyglądają, na moment dosłownie

odbiera mi mowę. Przeszywa mnie dziwny dreszcz. Ten człowiek musi być niewiele starszy ode mnie. Tymczasem piekli się jak starszy pan, którego o mało co nie zdeptałam na śmierć. Wiem, że byłam nieuważna, ale ten gość przesadza. Wydaje się być naprawdę bojowo nastawiony.

Milczy, a ja doprawdy nie wiem, jak powinnam się zachować. Wyglądam ręką płaszcz, choć wcale tego nie potrzebuje. Próbuję zająć czymś ręce.

– Errect. Anno Domini 1816 – mówi, a ja przez moment mam wrażenie, że ktoś z naszej dwójki najwyraźniej postradał zmysły. Co to za język? Oszalał? Dopiero po chwili orientuję się, że wskazuje na kamienną tabliczkę, której tak uważnie się przyglądałam. A więc musiał to zauważyć. Właśnie odczytał jej napis. – I następnym razem patrz do przodu, kiedy zamierzasz już ruszyć. Zanim wejdiesz komuś pod auto – dodaje oschle, po czym mija mnie i odchodzi.

Odwracam się na pięcie. Chcę krzyknąć za nim, że przecież nie jestem jeszcze na drodze. I że mogę paść na kolana, by prosić cholerną jego mość o przebaczenie, bo mogłam niechcący pobrudzić jego nieskazitelną czarną płaszcz swoim pudrem. Ale ostatecznie tego nie robię. Odpuszczam, bo to nie miejsce na takie słowne przepychanki. Stygnę, biorąc kilka głębokich wdechów, aż w końcu tracę mężczyznę z widoku.

Łatwo zauważyć, że należący do Krakowa Tynec ma swój urok, nawet o tej porze roku. A stary klasztor, o którym już wcześniej czytałam, wygląda naprawdę majestatycznie. Położony w malowniczym miejscu, tuż przy jakimś zalewie, latem z pewnością prezentuje się jeszcze okazalej. Mogę to sobie wyobrazić.

Tymczasem w tym momencie zjeżdżam z głównej drogi i zgodnie ze wskazówkami nawigacji kieruję się w stronę wąskiej, niewyafaltowanej uliczki. Trafiam na jakieś totalne zadupie. Pomiędzy drewnianymi chałupami, spośród których najwyraźniej jedna będzie należała do mnie, nie widać żadnego życia. Żadnego ruchu. Chociaż trudno się dziwić, że ludziom w taką pogodę raczej nie chce się wystawiać nosa poza drzwi.

Zerkam na ekran komórki, która jednoznacznie wskazuje, że właśnie dotarłam do celu. Przenoszę więc wzrok na drewniany płot, na którym wisi odręcznie zapisana tabliczka z numerem domu. Dokładnie tym, którego szukałam. Czterdzieści sześć. I ani o jedną cyferkę więcej. Parkuję maksymalnie blisko furtki, by nie torować drogi, choć wszystko wskazuje, że moja chałupa to ostatnia posiadłość przy tej uliczce i raczej nikt nie będzie próbował dostać się dalej. Na pierwszy rzut oka za domem jest już tylko niewielki las. Nigdzie nie widzę wjazdowej bramy, choć być może wcale jej tutaj nie ma. Jezu. Nic nie wiem. Dziwnie się czuję. Gaszę silnik, nabieram powietrza w płuca i wysiadam.

Murowany budynek z drewnianymi wykończeniami sprawia dość upiorne wrażenie. Stare okna pamiętają jeszcze chyba czasy samego Kazimierza Wielkiego. No pięknie... To skansen, a nie dom. Z niemodną ażurową werandą. W dodatku oplecioną bluszczem. Szczerze powiedziawszy, sądziłam, że o tej porze roku wszystko co zielone zdążyło obumrzeć i stracić liście. Tymczasem bluszcz wygląda całkiem zdrowo. Może jest sztuczny?

Przelykam ślinę. Staję kilka metrów przed drzwiami i zaprzeczam sama sobie, że ciarki na rękach są tylko wytworem mojej wyobraźni. Niczego się nie boję. Nic się nie dzieje...

Szlag by to trafił!

Nie oszukam sama siebie. Co ja tu w ogóle robię? Może powinnam zawrócić i przyjechać tutaj z którąś ze swoich znajomych. Jestem pewna, że dałyby się namówić.

Z drugiej strony, szkoda mojego czasu. Kraków nie leży rzut beretem od Ciechocinka.

Odwracam się i drętwieję. Dosłownie.

Co to ma być?

Z sąsiedniego podwórka, bez żadnego skrępowana, wpatruje się we mnie jakiś starszy pan. Ma na sobie niebieską kraciatą koszulę, szelki i brązowy kaszkiet. Opiera się o balustradę przymocowaną do schodów, jakbym była jakimś okazem godnym miana pomnika. Widzi, że go dostrzegam, a jednak nie przestaje się gapić. Nie odwraca się nawet na chwilę, namolnie przyglądając się temu, co zamierzam zrobić.

– Dzień dobry – wołam, podnosząc rękę. Czuję się nieswojo.

Kiwa do mnie ręką, jednak najwyraźniej wciąż nie zamierza odpowiedzieć. Może jest niemową? Prostuje się i wspina po schodach. Powoli wraca do swojego domu. Dziwny typ. Sprawił, że jakoś nierówno załomotało mi serce.

Zerkam na drzwi domu ciotki. Raz kozie śmierć. Wchodzę na werandę, wkładam do zamka klucz, przekręcam go i naciskam klamkę. Ustępuje.

Drewniane wiekowe skrzydło otwiera się bez charakterystycznego zgrzytania, którego, nie wiedzieć

czemu, po prostu się spodziewałam.

Robię krok do przodu i od razu uderza mnie zapach wilgoci. W końcu przez długi czas nikt tych murów nie ogrzewał. Szczerze powiedziawszy, sama o ogrzewaniu wiem tyle co nic. W bloku, w którym mieszkamy, ktoś po prostu robi to za nas.

Tymczasem podłoga, po której idę, nie ma nic wspólnego ze starym, zapadającym się parkietem. Wnętrze nijak pasuje do tego, co zobaczyłam z zewnątrz. Panele mające nie więcej niż parę lat prowadzą mnie do wielkiej otwartej przestrzeni. Rozglądam się dookoła, a moje serce wali chyba milion razy na sekundę. Zachowuję się ostrożnie, mknąc niemalże na palcach. Jest cicho jak makiem zasiał. Jakbym za chwilę miała kogoś tutaj spotkać. Przecież nie jestem intruzem. To mój dom. I z pewnością nikogo poza mną tutaj nie ma.

– Mój dom – choć te słowa ciężko przechodzą mi przez usta, po prostu je wypowiadam.

Jestem w salonie. Zerkam na ścianę, na której wisi wielki obraz przedstawiający czerwoną różę, która od razu rzuca mi się w oczy. Zaczynam się rozglądać. Przestrzenny pokój wygląda całkiem zwyczajnie. Normalnie. Z ładną kanapą, drewnianą ławą do picia kawy i stojącym na szafce płaskim telewizorem. Co prawda niedużym, ale nowoczesnym.

Ciotka miała nie najgorszy gust. Przejeżdżam ręką po siedzisku. Kiedyś musiała tutaj odpoczywać. Chciałabym móc sobie ją wyobrazić, ale nie mam żadnego punktu odniesienia. Choć pewnie i na starsze lata wyglądem najbliższej było jej do mojej matki. Podchodzę do fotela. Na oparciu wisi jakiś materiał. Podnoszę go i widzę, że to sweter. Został tutaj, kiedy jej samej nie ma już w domu od przeszło dwóch lat. Na stole leży pilot. Pewnie kładąc go tutaj, nie wiedziała, że robi to ostatni raz.

To niezwykle. Trochę przerażające.

Przez moment mam wrażenie, że czuję jej obecność. Odwracam się, by uspokoić własną wyobraźnię. Ale przecież życie to nie film, a powracające duchy zmarłych są zarezerwowane tylko dla horrorów wyświetlanych na szklanym ekranie.

Idę w stronę kolejnego pomieszczenia. Wewnątrz panuje półmrok, bo pomimo całkiem wczesnej pory niebo staje się coraz ciemniejsze, ledwo zaczyna mijać południe. Uroki listopadowej pogody. Klikam na włącznik światła, ale pomieszczenie się nie rozświetla. Pewnie poszła żarówka albo zwyczajnie odcięto już prąd. W zasadzie to logiczne, biorąc pod uwagę, że przez dwa lata nikt nie opłacał rachunków.

Trafiam do kuchni. Na stole pokrytym haftowaną serwetą stoją dwie puste szklanki. Zerkam do nich, zachowując bezpieczny dystans. Są porośnięte pleśnią. Wzdrygam się. A więc ciotka musiała kogoś tutaj gościć. Odsunięte daleko od stołu taborety wyglądają tak, jakby ktoś przed chwilą z nich wstał i zapomniał zasunąć je z powrotem. Po prawej stronie piętrzy się zaś stos garnków ułożonych od największego do najmniejszego. Być może nie zmieściły się w szafkach. A może po prostu ciotka nie zdążyła ich posprzątać.

Słyszę trzask. Jakby zgrzytnięcie. Na moment staję jak wryta, zastanawiając się, czy mi się nie zdawało. Przez chwilę słyszę tylko mój przyspieszony oddech. Ogarnia mnie strach. Wokół panuje kompletna cisza, ale po chwili zgrzytnięcie się powtarza. Cholera jasna! Może to myszy. Albo szczury. Zaczynam panikować.

Ale to nie myszy.

To jakieś kroki.

Wstrząsa mną nieprzyjemny dreszcz i mam wrażenie, że dosłownie każdy włos na moim ciele właśnie staje dęba. Zastanawiam się, czy nie zasłonić oczu, bo nagle na powrót staję się dzieckiem. Zamiast tego odwracam się i próbuję stłumić jęk.

– Matko święta! – krzyczę, kiedy w progu kuchni dostrzegam jakąś postać.

Mężczyzna w niebieskiej koszuli, dokładnie ten sam, który parę minut temu stał na schodach, teraz znajduje się nie dalej niż trzy metry ode mnie.

Kręci mi się w głowie i po raz pierwszy od dawna jestem tak bardzo przerażona. W całym swoim życiu chyba nigdy nie byłam mocniej.

Jak on tutaj wszedł?

No tak. Nie zamknęłam drzwi.

– Widzę, że panią przestraszył. – Mija parę sekund, nim w końcu się odzywa. – Józef – wyciąga dłoń i podchodzi bliżej. Witam się z nim, zastanawiając się, co tu do licha robi? – A panienska, jeśli mnie pamięć nie myli, to musi być ta Lena.

Zamurowuje mnie. Skąd ten facet zna moje imię? Boże, co się tutaj dzieje? Próbuję połączyć jakieś fakty, ale nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. Z tego co kojarzę, nie mieliśmy w Tyńcu więcej krewnych.

Była tylko ciotka.

Mam mętlik w głowie.

– Skąd pan wie, jak się nazywam? – pytam.

Macha ręką.

– A świętej pamięci Maryla powiedziała mi kiedyś: pamiętaj Józek, łona się tu prędzej czy później zjawi. No i jest – uśmiecha się, prezentując wybrakowane uzębienie. – A co będziemy tak stać. Chodźże do nas na herbatę z wkładką. Rozgrzeje, a i humor poprawi. Bo w taką pogodę to trzeba się jakoś wspomagać.

Waham się, ale z jego twarzy bije szczerłość. Im dłużej na niego patrzę, tym wydaje się mniej straszny niż wcześniej.

– Nie chcę sprawiać problemu. – Mimo wszystko próbuję się jakoś wykręcić.

– A jaki to problem – macha ręką. – Powiem Baśce, żeby zagotowała wodę. Porozmawiasz z moją córką, łona będzie może trochę starsza od ciebie. – Jego ostatni argument wydaje się całkiem przekonujący. Mężczyzna, znaczy pan Józef, rozgląda się dookoła. W końcu cofa się i wchodzi do salonu. Idę prosto za nim. – Tyle czasu – wzdycha, jakby za moment miał się rozkleić. Opuszcza głowę. Domyślam się, że śmierć ciotki dotknęła go zdecydowanie bardziej niż mnie. Musieli dobrze się znać. Mężczyzna wydaje się smutny. Zamyślony. Jakby zapomniał, że wciąż na niego patrzę. W końcu się reflektuje. – No to nic. Będziemy czekać. Przyjdźże zaraz do nas – dodaje i odchodzi, nie czekając na moją ostateczną odpowiedź.

Chyba nie mam wyjścia.

Co prawda, nie przyjechałam tutaj zdobywać nowych znajomych, ale ciepła herbata może i dobrze mi zrobi? Szukam plusów całej sytuacji, choć oprócz rozgrzewającego napoju nie znajduję żadnego więcej.

Może nie będzie tak źle. Facet starał się być gościnny. Raczej nie wypada mi go wystawić.

Pięć minut później wchodzę na schody prowadzące do jego domu.

I wychodzę z niego trzy godziny później. W tak świetnym humorze, w jakim już dawno nie byłam.

ROZDZIAŁ 1

LENA

Zamykam drzwi i przekręcam klucz. Naciskam klamkę, by upewnić się, że zasuwka zadziałała. Będę musiała poszukać kogoś do wymiany zamka. Albo uporać się z tym sama. W końcu dzięki YouTube'owi opanowałam już sztukę malowania ścian czy używania wkrętarki. A przyglądając się pracy pomocnego pana Józefa, mam też jakieś pojęcie o łączeniu kabli. Choć gdyby znowu jakiemuś przewodowi zechciało się przetrzeć, wciąż nie odważyłabym się zabrać do tego sama. Jestem za młoda, by skończyć pod drewnianym wiekiem z włosami sterczącymi na wszystkie strony od porażenia prądem. Jak we wszystkich bajkach dla dzieci.

Otulam się ocieplaną parką i mocniej zaciskam pasek. Przez moment zastanawiam się, czy nie zawrócić i nie wyciągnąć z szafy pikowanej zimowej kurtki. Ostatecznie rezygnuję, bo przecież muszę tylko przebiec do samochodu. I szybko go zagrzać. W środku będzie pewnie jak w lodówce. Będę musiała pomyśleć o jakimś garażu. Ciotka nie miała samochodu, więc nie pozostawiła mi w spadku czegoś podobnego.

Kiedy przechodzę przez drewnianą werandę, wciąż czuję zapach farby, którą parę dni temu pomalowałam całe wejście. O tej porze roku nie schnie tak, jak powinna. Zajmuje jej to znacznie więcej czasu. Żłoty dąb, który wybrałam, okazał się nieco ciemniejszy, niż wskazywał na to obrazek na puszcze, ale ostatecznie nie jest źle.

Wciąż wiele rzeczy mam do zrobienia. Ale nie od razu Rzym zbudowano. W miesiąc nie odrestauruję całego budynku. Po pierwsze, ze względu na czas i fakt, że jestem tutaj sama. Prawie sama. W zasadzie nie mogłabym pominąć zasług pana Józefa i jego rodziny, która rzuciłaby swoje obowiązki w ką, by wesprzeć mnie w pracy. Nie chcę ich wykorzystywać. Po drugie, i co najważniejsze, ze względu na pieniądze. Ciotka pozostawiła po sobie spadek, ale z rozsądku nie powinnam przehulać wszystkiego od razu. Nie jest też tego zbyt wiele. Przy dzisiejszych cenach materiałów budowlanych na pewno nie starczy na wszystko. Swoją drogą, mam też małe postanowienie. Chcę zlecić wykonanie płyty nagrobnej dla Maryli. Należy się jej coś znacznie lepszego.

Wsiadam do auta i odpalam silnik. Dziesięć minut później znajduję się już na drugim końcu Tyńca. Pod szyldem salonu fryzjerskiego Vel Włos, w którym już od przeszło połowy miesiąca przyszło mi pracować.

– Dzień dobry szefowo – witam się z panią Sylwią, która właśnie gdzieś wychodzi. – Cześć dziewczyny – zerkam na Marikę i Aşkę. Druga z nich kończy właśnie płukać pojemnik na farbę. Z pewnością niecierpliwie wyczekiwała mojego przyjścia, bo jestem jej zmienniczką. W tym tygodniu pracuję na popołudniową zmianę. Czyli tę, za którą zdecydowanie mniej przepadam. I nie chodzi o to, że wtedy w salonie mamy większy ruch, ale o to, że po prostu poza robotą na nic innego nie starcza mi czasu. – Co ona taka wkurzona? – odprowadzam szefową wzrokiem i zwracam się z pytaniem do Mariki. Szeptem, bo całkiem niedaleko nas siedzi jedna z klientek.

Odwieszam kurtkę na zapleczu i czekam na odpowiedź.

– Ciesz się, że cię ominęło. Stała klientka Beata. Wiecznie niezadowolona, ale za to wiecznie do nas powracająca. Fenomen – Marika przewraca oczami. – Potrafi wyprowadzić z równowagi nawet świętego, wierz mi – dodaje. – Na szczęście upodobała sobie szefową i przychodzi tylko do niej. – Szczerzy zęby, jakby sprawiło jej to jakąś satysfakcję. Sięga po odżywkę i wraca do ciemnowłosej młodej dziewczyny.

Wciąż jeszcze nie poznałam wszystkich ludzi, którzy tutaj przychodzą. Ale wszystko w swoim czasie. Najważniejsze, że współpraca z Mariką, Ašką i szefową układa się tak, jak powinna.

Po dziesięciu minutach Aśka znika. Pracuje tylko na pół etatu, pewnie dlatego, że w domu czeka na nią dwójka małych dzieci. Zostajemy z Mariką same. Zerkam na terminarz i widzę, że za moment powinien zjawić się ktoś do strzyżenia. Wzdycham, patrząc na gryzmoły nakreślone przez szefową. Trudno się domyślić nawet tego, czy chodzi o faceta czy kobietę. Klarowna jest tylko pierwsza litera nazwiska. Zamaszyste „L”.

Gumową miotłą zgarniam z podłogi resztki włosów. Niedokładność Aški już nieraz kończyła się dla niej burą od szefowej. W tym momencie nie mam jednak nic lepszego do roboty, więc próbuję zająć czymś ręce, żeby beczynnie nie siedzieć.

Tymczasem zza wielkiego okna widzę podjeżdżający pod salon czarny samochód.

– Przyjechał – mówi Marika. Domyślam się zatem, że to nasz klient. Choć nie od początku było to dla mnie aż tak oczywiste. Obok salonu mieści się studio tatuażu i dzielimy parking z pracującymi tam chłopakami. Idę na zaplecze i odkładam na bok szufelkę oraz miotłę. Myję ręce, poprawiam fartuszek i zakładam za ucho jasny kosmyk włosów. Udało mi się je rano podkręcić na prostownicy i to całkiem nieźle. Za to podkrążone oczy wyglądają na zmęczone pomimo tego, że potraktowałam sine dołki odpowiednią warstwą pudru. Wyczerpanie daje mi się we znaki. Choć nie tylko ono. Także nerwy związane z rodzicami, którzy wciąż traktują mnie jak zdracę. Co ja gadam! To zbyt łagodne określenie. Obwiniają mnie za wszystkie nieszczęścia, jakie teraz na nich spadły. Kiedy ostatnio z nimi rozmawiałam, matka stwierdziła, że przeze mnie ma problemy z sercem. Wcisnęła mi do buta nawet podwyższony cholesterol ojca. Absurd, bo naprawdę nie wiem, jak miałabym się przyczynić akurat do tego. Zdaję sobie sprawę, że za wszelką cenę chce mnie z powrotem ściągnąć do domu. Nie wierzyła, że przetrwam w Tyńcu tydzień. Tymczasem minął miesiąc. Szuka więc innych metod. Coraz bardziej wymyślnych. Zastanawiam się, do czego jeszcze będzie się w stanie posunąć.

– Dzień dobry – mówię automatycznie, wychodząc zza ściany. Widzę ciemnowłosego faceta, który zdążył już zdjąć płaszcz. – Proszę usiąść – wskazuję ręką stanowisko i sięgam po wózek z przyborami. Ciągnę go za sobą i zostawiam jakiś metr od krzesła klienta. Prostuję się i zerkam w lustro, by uzgodnić z typem, czego sobie życzy.

I na kilka sekund dosłownie wstrzymuję oddech.

W szklanej tafli dostrzegam parę ciemnych oczu, które uważnie mi się przyglądają. Wnikliwie, że aż ciarki przebiegają mi po plecach. Do diabła! Czuję, że gdzieś je wcześniej widziałam. I nie wiedzieć czemu, mam niedoparte wrażenie, że siedzący przede mną mężczyzna ma identyczną zagwozdkę.

Jedno jest pewne. Facet z nazwiskiem rozpoczynającym się na „L” należy do tych, którzy pierwszym wrażeniem potrafią zmiękczyć kolana. A już na pewno moje. To trochę niesprawiedliwe, że matka natura nie dzieli wszystkich urodą sprawiedliwie.

Chrząkam, by odzyskać zdolność mówienia, bo nagle zabrakło mi języka w gębie. Upewniam się, czy nadal tam jest, poruszając nim w prawo i w lewo.

– Co dzisiaj będziemy robić? – pytam, mając na myśli rodzaj strzyżenia. Uśmiecham się, próbując sprawiać jak najbardziej naturalne wrażenie.

– To, co zwykle – odburkuje. – Nie ma szefowej? – pyta zaraz potem naprawdę mocno oschłym tonem.

– Wyszła – zdeorientowana wskazując drzwi.

– W takim razie zaczekam, aż Marika skończy – facet momentalnie wstaje z krzesła, nie pozwalając mi się nawet dotknąć. Otwieram usta zaskoczona jego zachowaniem. Rozumiem, że klienci mają tutaj swoich ulubionych fryzjerów, ale nie pozwolił mi się jeszcze wykazać. Nie zna moich umiejętności, a przecież nie od dziś pracuję w zawodzie. Nie jestem stażystką. Nie wspominając o tym, że potraktował mnie jak jakiegoś intruza. Mógł być przynajmniej miłszy. Aż taka jestem odrażająca?

Patrzę na niego, chcąc to jakoś skomentować.

I właśnie wtedy mnie olśniewa.

No jasne!

– Gbur z cmentarza – wrywa mi się, kiedy mężczyzna siada na kanapie w poczekalni. Może i jest przystojny, ale za to fatalny w obyciu. Po tym, co mi powiedział, nie przystrzygłabym go nawet za milion złotych. Nie dotknęłabym jego włosów przez rękawiczki. Ani nawet golarką!

Typ podnosi brwi, jakby nie spodziewał się po mnie podobnego komentarza. Wiem, że powinnam być miłsza i że być może trochę przegięłam. W końcu klient nasz pan, a ja nie jestem właścicielką salonu i nie mogę wyrzucać za drzwi kogoś, kto w jakiś sposób mi podpadnie. Ale uważam, że nie potraktował mnie sprawiedliwie. Dobrze mu tak.

Nie odpowiada.

Widzę w lustrze wzrok Mariki, która wydaje się równie zmieszana jak ja. Mam nadzieję, że nie sprzeda mnie przed szefową. Zależy mi na tej pracy, ale po prostu puściły mi nerwy.

To już drugi raz, kiedy mam z tym facetem styczność i drugi, kiedy odnosi się do mnie w taki sposób. Bo w tym momencie nie mam już żadnych wątpliwości, że to mężczyzna, którego widziałam przy cmentarzu. Pod jego hipnotyzującym spojrzeniem kryje się brak wyczucia. Po pierwszym wrażeniu nastąpiło

nieprzyjemnie rozczarowanie. I pomyśleć, że przez chwilę pomyślałam o nim w zupełnie innych kategoriach. Już byłabym w stanie zatrzepotać do niego rękami. Szlag by to trafił! Nie był tego wart.

Zostawiam go, skoro nie ma zamiaru więcej się do mnie odezwać. Najwyraźniej nie zależy mu, by ludzie go lubili. Wracam na zaplecze i sięgam po dzbanek. Leję do niego wodę. Sypię do szklanki dwie łyżeczki kawy, a kiedy zakręcam pojemnik i odkładam go na miejsce, opieram się o ścianę i wypuszczam powietrze. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak bardzo jestem spięta. Stoję tak, wsłuchując się w tłumaczenia Mariki, która obiecuje gburowi, że zaraz się nim zajmie. Mam nadzieję, że w międzyczasie nie zjawi się nikt więcej. Żebym nie musiała wychodzić i na niego patrzeć. Już dawno nikt tak bardzo nie wyprowadził mnie z równowagi.

Ale życie to nie koncert życzeń. Zdążam upić zaledwie łyk, kiedy w salonie rozlega się głos starszej pani, która obwieszcza wszem i wobec, że przyszła podciąć końcówki. Marika mnie woła. Biorę kilka wdechów i wychodzę z ukrycia, skutecznie ignorując całe zbędne towarzystwo. Najserdeczniej, jak tylko potrafię, uśmiecham się do klientki i zabieram się do pracy, wypytując o wszystko to, czego będzie ode mnie oczekiwać.

– Chyba jesteś nowa – słusznie zauważa starsza pani, choć prawie miesiąc spędzony w tym miejscu pozwolił mi już dostatecznie się z nim oswoić. Czuję się jak u siebie. Z małymi wyjątkami, jak na przykład dziś. Przez takich ludzi, jak ten... Ten... Ach, olać go. Znów niepotrzebnie się nakręcam.

– Można tak powiedzieć. Przeprowadziłam się tutaj miesiąc temu. Z Ciechocinka – dodaję, bo chcę zdobyć jej zaufanie. Chcę, żeby dobrze czuła się w moich rękach, skoro mamy ze sobą współpracować. To podstawa w kontakcie z klientem. Musi mnie trochę poznać.

– Z Ciechocinka? – dziwi się. – To kawał drogi. Piękne miasto! – zachwyca się. – Jak mogłaś, skarbenku, zamienić go na taką dziurę?

Chce mi się śmiać. Gdybym miała tyle lat co ona, pewnie podzielałabym jej zdanie. Ale przecież jej tego nie powiem. Tyniec może i nie jest najbardziej atrakcyjnym rejonem Krakowa, ale stąd do centrum, w którym życie nigdy nie zasypia, już całkiem blisko. Nie żałuję decyzji, jaką podjęłam. Gdyby tak było, już dawno zebrałabym manatki i wróciła tam, skąd przyszłam.

– Już trochę mi się przejadło. Potrzebowałam zmian – macham ręką. – Ale może kiedyś wrócę – dodaję, choć szczerze powiedziawszy, szanse na to są naprawdę nikłe. Skoro nie tęsknię teraz, raczej nie zrobię tego za paręnaście lat.

– Wy młodzi myślicie inaczej niż my. I nie ma w tym nic złego. Za naszych czasów to nigdzie nie można było jechać. A i parę kilometrów do miasta się dostać to była podróż jak za granicę – wzdycha. – A jak ci na imię?

– Lena – odpowiadam. Chwilę później zapraszam ją na myjkę.

Kiedy kobieta wygodnie się rozsiada, nawilżam jej głowę i wsmarowuję szampon we włosy. Wykonuję przy tym odprężający masaż, zataczając kciukami kółka na skroniach. Niby nic, a jednak nieraz to dla takiego odprężenia klienci wracają do fryzjera częściej, niż to konieczne. Czują się zaopiekowani. A pomrukiwania kobiety są niezbitym dowodem, że warto dbać o takie szczegóły. Zwłaszcza w towarzystwie gbur, który powinien wiedzieć, co stracił.

Znów o nim myślę. Ale Bóg mi świadkiem, że nie potrafię przestać.

– Masz dziecko anielskie dłonie – komentuje zadowolona. A ja nie ukrywam, że odczuwam z tego tytułu podwójną satysfakcję.

Piętnaście minut później obsłużony przez Marikę mężczyzna wychodzi, zegnając się krótkim „do widzenia”. Jego niski głos sprawia, że na moment odwracam się, choć wcale tego nie planowałam. Widzę jego plecy odziane w ciemny płaszcz i zastanawiam się, czy w ogóle pomyślał, że jego zachowanie mogło mnie zwyczajnie zabołec. Nie wyglądał na skruszonego. Palant.

Zerkam na moją współpracowniczkę, która daje mi dyskretny sygnał, bym przyszła na zaplecze.

– Przepraszam na chwileczkę – zostawiam starszą panią przed wielkim lustrem i człapię za Mariką. Nie mam pojęcia, co konkretnie chce mi powiedzieć, ale domyślam się, jakiego tematu będzie dotyczyła ta rozmowa. Kiedy wreszcie do niej docieram, stoi i podpira się ręką w boku. Drugą pociera czoło, tarmosząc przy tym ciężką, równo przystrzyżoną rudą grzywkę.

– Chyba trochę przegięłaś – patrzy na mnie niepewnie.

– Marika, daj spokój – próbuję się bronić. – Potraktował mnie jak trędowatą. Jak nie szefowa, to

zostałaś mu tylko ty. A ja to co? Jakaś nieudolna? – zadaję retoryczne pytanie. – Rozumiem, że każdy może mieć prawo wyboru fryzjera, ale nawet nie dał mi spróbować. Mógł przekazać mi to jakoś inaczej. Łagodniej. Nie zależało mu na dobrym wrażeniu. To tylko i wyłącznie jego wina. Zasłużył sobie. Poza tym w notesie nie było wzmianki, że chce się umówić do któregoś z was. – Milknę. – Poczułam się jak śmieć. Kto to w ogóle był? – strzelam słowami jak z procy.

– Jakub Lincner. – Grymas na jej twarzy zapowiada, że wieści nie będą dla mnie dobre. Póki co jego imię i nazwisko niczego mi nie mówi. Lincner-Srincner. Może się nazywać jak sobie chce. – To dobry chłopak, choć nie daje tego po sobie poznać. Pomógł wielu ludziom w tej okolicy. Trzy lata temu stracił żonę. Dlatego taki jest. Trochę szorstki, jeśli chodzi o nowe znajomości. Znam go od dawna i kiedyś był zupełnie inny, wierz mi.

– Uffff – czuję, jak schodzi ze mnie ciśnienie. Wypuszczam powietrze. Przechylam głowę w tył i siadam na pobliskim krześle. – No to pięknie. – Zdaje się, że założyłam za skórę miejscowemu „biedakowi” i nie będę miała po swojej stronie absolutnie nikogo.

– Miałaś prawo się wkurzyć, ale nie musiałaś go wyzywać – stwierdza.

Nie potrafię udawać. Taka już jestem. Klepię trzy po trzy, co mi tylko ślina na język przyniesie. Już nieraz miałam przez to przechlapane.

– No powiedz mi jeszcze, że powinnam go przeprosić – patrzę na Marikę ze zgrozą. Przecież nie ja zaczęłam ten cały cyrk.

– Zrobisz, jak zechcesz. O ile jeszcze tutaj wróci – wzrusza ramionami, poprawia włosy i odchodzi.

Cudnie. Po prostu rewelacyjnie.

Totalnie przybita wracam do swoich obowiązków. Jednak bałagan w głowie towarzyszy mi już praktycznie do końca tego dnia.

ROZDZIAŁ 2

JAKUB

Patrzę na tańczące przed nami auto i czuję, że dosłownie opadają mi ręce. Zima znów zaskoczyła kierowców. A przecież padający śnieg i zamrożona droga w pierwszej połowie grudnia to żadna anomalia. Owszem, ostatnimi czasy zima obchodziła się z nami łaskawie, ale to nie gwarantuje, że podobny scenariusz będzie się powtarzał co roku.

Kręcę głową, kiedy czerwony opel prawie wjeżdża do rowu. Założę się, że kierowca zwyczajnie nie zmienił opon, choć może być jeszcze gorzej. Być może zwyczajnie jedzie na podwójnym gazie. Mamy obowiązek to sprawdzić.

Tak czy inaczej, doskonale pamiętam wypadek, w którym zginął jeden z chłopców uczęszczających do krakowskiej podstawówki tylko dlatego, że facet prowadzący samochód sunął na letnich oponach po drodze jak po lodowisku. Ludziom naprawdę brak wyobraźni.

Czekam na dogodny moment i wyprzedzam opla, by w odpowiednim momencie zasygnalizować kierowcy konieczność zatrzymania się. Doskonale wiem, że znów stanę się czyimś wrogiem. Ludzie widzą we mnie czyste zło, jakbym zjawiał się na drodze tylko po to, by uprzykrzyć komuś życie.

– Jestem ciekaw, jak się będzie tłumaczył. Uwielbiam słuchać tych bajek – mój znajomy zakłada na głowę czapkę i szykuje się do wyjścia. Zatrzymuję się na poboczu i przez chwilę odprowadzam go wzrokiem. W lusterku widzę, jak produkuje się przy szybie kierowcy i przegląda jego dokumenty. Dzień jak co dzień.

Opieram głowę o fotel i wpatruję się w spadające na maskę płatki śniegu. Przynajmniej dzieci będą miały trochę radości. Pamiętam, jak kiedyś szaleliśmy z braćmi na sankach w miejscach, o których nie odważylibyśmy się powiedzieć rodzicom. Gdyby matka się o tym dowiedziała, złałaby mnie wtedy do nieprzytomności. I chyba ta świadomość sprawiała, że zakazany owoc smakował jeszcze lepiej. Adrenalina zawsze nakręcała mnie do działania. Dlatego tak usilnie chciałem dostać się do prewencji. W robocie, w której nie brakowało wrażeń, czułem się cholernie spełniony. A potem przyszły pamiętne święta. Trzy lata temu. I wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłem. Poprosiłem o przeniesienie do innego wydziału, bo wiedziałem, że psychicznie nie podołam. To było piekło. Piekło, które nie minęło. Po śmierci Olki najchętniej ukryłbym się przed całym światem. Zniknął z powierzchni ziemi. Ale czas mija. On tak, choć pustka w sercu wciąż daje o sobie znać. Już nigdy nic nie będzie takie samo jak kiedyś. Ludzie tyle chrzanią o nadziei na lepsze jutro. To tylko stek bzdur.

– Nie uwierzysz – Arek otwiera drzwi i wsiada do auta z dokumentami faceta w ręku. Czuję powiew zimnego powietrza. – Właśnie jechał zmienić opony. – Można się było tego spodziewać. To chyba jedna z bardziej przewidywalnych wymówek. Szkoda, że nie ma żadnego pokrycia z rzeczywistością.

Pół godziny później kończę jeść bułkę. Zerkam na szybę pobliskiego sklepu i widząc reklamę kawy, zastanawiam się, czy nie kupić jeszcze jednej. Brakuje mi kofeiny, choć chyba nie byłbym w stanie jej w siebie wtłoczyć. Mój żołądek jest już praktycznie pełny.

– Czy Marta nie chodziła z tobą do klasy? – zagaduje Arek, opierając się o maskę policyjnego wozu. Przez moment zastanawiam się, o kogo konkretnie mu chodzi. W końcu dociera do mnie, że mówi o sprzedawczyni.

– Nie, ale jest w moim wieku. Chodziła do równoległej – mrużę oczy, by uważnie mu się przyjrzeć. Mimowolnie się uśmiecham, bo zaczynam rozumieć, dlaczego tak usilnie chce spędzać przerwę akurat w tym sklepie. Chyba powinienem go przestrzec. Marta może i wydaje się całkiem atrakcyjna, ale nigdy nie należała do łagodnych w obyciu. Krótko mówiąc, zawsze była wredna. Dlatego chyba wciąż pozostaje singielką. – A co? – poruszam wymownie brwiami, żeby zbadać grunt. Widzę, jak się czerwieni. – Masz ją na oku?

– Nie, no co ty – zaprzecza, choć nie trzeba go znać, by widzieć, że Marta mu się podoba. – Tak tylko pytam. – Macha ręką. – Wsiadaj – mówi, przejmując kierownicę.

Zapinam pasy i zerkam na telefon. Na ekranie widnieje wiadomość o fakturze za abonament telefoniczny. Po powrocie do domu będę musiał wykonać przelew.

– Z Andżelą już definitywny koniec? – mówię o dziewczynie, z którą rozstał się miesiąc temu. Byli ze

sobą parę miesięcy, choć już na początku czułem, że prędzej czy później ten związek po prostu się posypie.

– A daj spokój. Znalazła już sobie nowego fagasa.

– Stalkujesz ją na Instagramie?

– Nie. Usunąłem ją ze znajomych – tłumaczy się. To trochę dziecinne. Jakby usunięcie jej miało mu przynieść ulgę. Zachowuję jednak tę uwagę dla siebie. – Gadał mi o tym jeden z ziomków – wyjaśnia po chwili.

Przepuszczamy autobus i wjeżdżamy w uliczkę prowadzącą do klasztoru i cmentarza. To kluczowe miejsce Tyńca. Co roku przyjeżdża tutaj wielu turystów. Chociażby po to, by pospacerować. Ola lubiła tutaj przychodzić. Czasami wciąż wyobrażam ją sobie siedzącą na ulubionej ławce. Wystawiała wtedy twarz do słońca, mówiąc, że ładuje wewnętrzne baterie.

Zerkam przez boczną szybę na przebiegającego kundla. Suniemy obok niego niespiesznie, choć na szczęście opady śniegu już zdecydowanie zelżały.

– Patrz, Kuba – Arek głową wskazuje na stojące przy drodze auto. Nie powinno go tutaj być. Szczerze powiedziawszy, to miejsce jest pewniakiem, jeśli chodzi o mandaty. Ludzie parkują przy drodze w pobliżu cmentarza na potęgę, zwłaszcza przyjezdni. Zwyczajnie nie zdają sobie sprawy, że mogą zostać za to ukarani.

– Poczekamy sobie, co? – Zatrzymuje się tuż za niebieskim fiatem i zaciąga ręczny. Wzdycham, bo nie jestem z tego szczególnie zadowolony. Ciężko karać emerytów przychodzących w dobrej wierze na groby bliskich. Zresztą i tak często mających niewiele na koncie. Ale najwyraźniej Arkowi zależy na statystykach. Komendant ostatnio nie wydawał się zbyt usatysfakcjonowany naszymi wynikami. A ja po prostu próbuję pogodzić tę robotę z sumieniem, które przecież wciąż we mnie pozostało. I od czasu do czasu daję o sobie znać.

Sięgam po czapkę, bo teraz moja kolej na wyjście. Zerkam w lusterko, ale póki co nikogo nie widać. Z naprzeciwka człapie pan Bronisław, który mieszka kilka domów dalej. Kiwa mi ręką na powitanie i idzie dalej. To nie jego wóz, zresztą jak większość mieszkańców doskonale wie, że nie powinien tutaj parkować.

Mija kilka minut, nim w końcu zauważam zmierzającą w naszą stronę dziewczynę. Trzyma w ręku sporej wielkości znicz. Widząc nasze auto, zaczyna rozglądać się dookoła, jakby właśnie dodała dwa do dwóch. Szuka znaku, który w pełni uświadomi jej, jaki błąd popełniła. A kiedy go dostrzeżę, jak gdyby nigdy nic sięga do klamki auta i wsiada.

Właśnie w tym momencie wychodzę i po chwili staję dokładnie obok niej.

Opuszcza szybę i zdejmuje z głowy obszyty futrem kaptur.

– Dzień dobry. Podkomisarz Jakub Lincner. Komenda Wojewódzka – przedstawiam się. – Powodem pani kontroli jest zaparkowanie samochodu w niedozwolonym miejscu – tłumaczę świadom, że za moment usłyszę błagalne prośby. Jak zawsze.

– O jasna cholera! – mówi dziewczyna z samochodu tonem pełnym emocji. A ja uświadamiam sobie, że skądś znam jej głos. – To ty? – pyta, jakby nagle doznała olśnienia. Przyglądam się jej uważnie i nie potrzebuję zbyt wiele czasu, by zorientować się, kim jest. To fryzjerka. Ta sama, która kilka dni temu nazwała mnie gburem.

– Proszę przygotować dokumenty. – Staram się zachować spokój i działać w miarę profesjonalnie. Ignoruję prztyczek, choć jej zaskoczona mina naprawdę zaczyna mnie bawić.

– Robisz to specjalnie, prawda? – rzuca we mnie oskarżeniem. – Odrywam wzrok od terminala i patrzę jej prosto w twarz. Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

– Słucham? – Moje pytanie zawisa w powietrzu. – O czym ty mówisz?

– O tym, że próbujesz się zemścić za to, co powiedziałam – stwierdza. Przecież parę sekund wcześniej nie miałem bladego pojęcia, że za kierownicą tego auta siedzi właśnie ona. Zamyka oczy, wzdycha, odchyła głowę. Mija parę sekund, nim jej niebieskie tęczówki krzyżują się z moimi. – Sorry. Nie chciałam cię tak nazwać – odpowiada, choć prawdę mówiąc, mało wiarygodnie. – Naprawdę przepraszam, poniosło mnie ostatnio.

– Jasne – prychem. Nie potrzebuję przeprosin. Zwłaszcza w obliczu zaistniałej sytuacji. Nie są szczere. – Jestem w pracy. Potrafię oddzielić życie prywatne i ewentualne urazy od służbowych obowiązków. To, co wydarzyło się ostatnio, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Więc jeszcze raz proszę o przygotowanie dokumentów.

– Nie mam – odpowiada prędko. – Zostawiłam w domu. – Mrużę oczy, uważnie się jej przyglądając. – I tak nie zapłacę mandatu, nawet jeśli mi go dasz – podnosi głowę. – Nie mam kasy, jestem kompletnie splukana, bo każdy grosz pompuję w remont.

Nie spuszcza z niej wzroku jeszcze przez moment. Jej bojowe nastawienie wbrew pozorom wydaje się całkiem ciekawe. Nie mogę jej jednak tego powiedzieć.

– W takim razie ściągną ci go z wyplaty – odpowiadam beznamiętnie, choć prawdę mówiąc, wcześniej wcale nie miałem zamiaru wypisywać jej mandatu. Sądziłem, że skończy się na zwyczajnym pouczeniu.

– No rewelacja. Dzięki, wiesz! – Jest obrażona. – Fajnie, że będziesz zasilął swój portfel moim kosztem – zarzuca mi.

No po prostu nie wierzę! Skąd ona się urwała?

Dosłownie opadają mi ręce.

– Powiedz, że żartujesz. – Zastygam w jednej pozycji. – Chyba nie sądzisz, że zgarniam to do własnej kieszeni.

– Tak właśnie myślę – nie zastanawia się długo i odpowiada mi na poczekaniu. Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że wcale tak nie sądzi. To prowokacja. I to całkiem udana, bo właśnie mam ochotę wykrzyknąć jej, że powinna pojechać w cholerę. W całej swojej karierze miałem kontakt z wieloma różnymi ludźmi, ale dziewczyna z salonu fryzjerskiego jest jedyna w swoim rodzaju. Jakkolwiek to brzmi, już sam nie wiem, czy to świadczy o niej dobrze, czy wręcz przeciwnie.

– Widzę, że będziemy musieli sprawdzić stan twojej trzeźwości. Bo zaczynam mieć poważne wątpliwości co do tego, czy powinnaś prowadzić samochód.

– Bez jaj! – wybucha, uderzając ręką o kierownicę. – Jeszcze nigdy nikt nie kazał mi tego robić. Nie piję, kiedy siadam za kierownicą. Zresztą ostatnio w ogóle mało piję. Ostatni raz u pana Józefa Malcarka, kiedy zrobił mi rozgrzewającą herbatę z dodatkiem – pape, jakby próbowała się tłumaczyć.

– U Józefa Malcarka? – dopytuję, bo dobrze go znam. To starszy, życzliwy człowiek, który kiedyś bardzo pomógł moim teściom. Wiem, gdzie mieszka.

– Tak, to mój sąsiad.

– To gdzie ty masz tam dom?

– U Maryli Sarnickiej. Była moją ciocią – odpowiada.

Jestem zaskoczony. Maryla była jedną z tych barwnych postaci, o których mówi się różne rzeczy. Przeważnie jednak pozytywne.

– Znałeś ją? – pyta, a ja kiwam głową, że tak.

Co za dzień.

Naprawdę nie mam pojęcia, co powinienem z tą dziewczyną zrobić. Widzę, że nie jest pijana i jestem przekonany, że jeśli pójdę do auta po alkomat, zwieje. Wygląda na taką, która jest w stanie to zrobić. Sam nie wiem, czy wtedy porządnie bym się wkurzył, czy parsknął śmiechem. Muszę podjąć jakąś decyzję.

– To jak, panie władzo? Co z tym mandacikiem? – Pierwszy raz od początku naszej rozmowy mianuje mnie takim tytułem. Wcześniej płynnie przeszła ze mną na ty.

– Aż tak się dopominasz? – Podnoszę brwi, a ona widzi, że nie wszystko jeszcze stracone.

– Przecież wiesz, że nie o to chodzi. Naprawdę nie wiedziałam, że jesteś policjantem.

– Gdybyś wiedziała, nie nazwałabyś mnie gburem? – pryham. – Gratuluję szczerości.

– Nie o to chodzi – macha ręką. – Tak po prostu jakoś wyszło – wzrusza ramionami. – Jeszcze raz cię przepraszam – skomle.

– Dobra, zjeżdżaj już i się więcej nie kompromituj. – Kręcę głową, bo jak tak dalej pójdzie, za chwilę faktycznie wręcę jej ten świstek papieru.

Przekręca kluczyk w stacyjce, od razu wykonując moje polecenie. Odsuwam się o krok i pozwalam jej odjechać. Dziewczyna zapina pasy, żebym nie miał się już do czego doczepić. Zamyka szybę, jednak niespodziewanie przerywa, kiedy ta znajduje się nieco ponad połową. Unosi głowę i otwiera usta. Chce mi coś powiedzieć.

– Jeśli już kiedyś odważysz się mi zaufać, przyjdź na masaż głowy. Jestem przekonana, że ostatnio pożałowałeś, że nie trafiłeś w moje ręce – woła i z uśmiechem wymalowanym na twarzy zwyczajnie odjeżdża.

Patrząc na zgrabny tył jej niewielkiego fiata i jeszcze przez chwilę zastanawiam się, czy na pewno się nie przesłyszałem. Nie wiem, czy to pewność siebie, czy już szaleństwo, ale nowa fryzjerka potrafi wbić człowiekowi szpilę.

Wracam do samochodu i czuję w kościach, że ta dziewczyna jeszcze mnie zaskoczy.

W tym momencie nie mogę jeszcze przewidzieć, jak bardzo.

ROZDZIAŁ 3

LENA

Stoję przy oknie oparta o drewniany parapet i próbuję zakończyć rozmowę z matką, ale nie daje mi dojść do słowa. Nie chcę perfidnie przerywać połączenia, bo wiem, że jest daleko. I że kłótnie przez telefon raczej nie są wskazane. Tym sposobem mogłybyśmy szybko się nie pogodzić.

– Jeszcze ci nie zbrzydło mieszkanie w tej wiosce? – prowokuje kolejny raz.

– Tyniec to nie jest wioska, mamó. Przecież wiesz, że został włączony do Krakowa. Więc to miasto i to całkiem spore – upominam ją. – Z pewnością trochę się tu zmieniło, odkąd wyjechałaś. Zresztą, może przyjechałabyś mnie odwiedzić – proponuję, jeszcze nie wspominając, że chciałabym zaprosić ją i tatę do siebie na święta.

– Jak zwał, tak zwał – burczy pod nosem. – Taka zdolna dziewczyna marnuje się na takim odludziu. Masz tam chociaż w domu ciepłą wodę? Ogrzewanie działa?

– Działa, mamó. Wszystko działa. Gdyby było inaczej, wróciłabym do domu – zapewniam ją, żeby się nie martwiła. – Poza tym, przecież pracuję. Nie marnuję się, uwierz. Byłam wczoraj w centrum i spacerowałam przy Wawelu. Kraków tętni życiem, nawet o tej porze roku.

– Nie musiałaś jechać na drugi koniec świata, żeby szukać rozrywek – znowu zaczyna. Chce mi się śmiać, bo mówi o tym tak, jakbym przeniosła się co najmniej na inny kontynent.

– To nie koniec świata. Wsiądź w pociąg i za parę godzin będziesz u mnie. Przypomnisz sobie, że to jednak wcale nie jest aż tak daleko.

– Niedoczekanie! – reaguje złością. – Myślisz, że na starość chce mi się jeszcze tułać po jakichś śmierdzących wagonach – oburza się. Matka ma chyba wypaczone wyobrażenie na temat polskich kolei, ale nie zamierzam szargać sobie nerwów na zbędne dyskusje.

– No szkoda – odpowiadam tylko. – Muszę już kończyć, bo lecę wieszać świąteczne lampki. – Nie czekam, aż mi odpowie, tylko rozłączam się i zabieram do pracy.

Kilkanaście minut później stoję przed domem ubrana w grubą kurtkę i czapkę z zabawnym pomponem. Kładę na ziemi pudło z gratami i zakładam ręce pod boki. Nie wiem, od czego zacząć. Odwracam się i zerkam na pozostałe budynki, które w nocy pewnie znów pięknie rozbłysną różnymi świecidełkami. Nie chcę się wyróżniać. To dlatego rano odwiedziłam sklep i wyposażylam się w gwoździe i sznur niebieskich lampek. Młotek i, szczerze powiedziawszy, raczej lichą drabinkę znalazłam w piwnicy. Leżały tuż obok drewna, które już powoli mi się kończy. Muszę czym prędzej pomyśleć o opale. W końcu stojąca w salonie, raczej mało modna już koza nie zapłonie ogniem sama z siebie.

Opieram drabinę o werandę, sprawdzam jej stabilność. Stoję na pierwszym stopniu i czuję, że grzęźnie w miękkiej od topniejącego śniegu ziemi. Ale tylko do pewnego momentu. Wchodzę na drugi stopień i oceniam, że już chyba wszystko jest w porządku. Wracam po sznur lampek, zabieram potrzebne narzędzia i niczym żuk gnojarsz toczący wielką kulkę wlokę się z tym wszystkim aż pod sam dach. Ostrożnie, by nie połamać nóg. To chyba byłby mój koniec. A matka miałaby pożywkę, by dożywotnio móc mi dopiekać. Muszę sobie poradzić. Nie ma innej opcji. Niepewnie zerkam w dół na trawę, która oddaliła się ode mnie na znaczną odległość. Dwuspadowy dach kończy się całkiem nisko nad ziemią. Na moje szczęście. Puszczam drewniany stopień drabiny, którego jeszcze przed chwilą tak kurczowo się trzymałam, i próbuję rozplątać światełka. Długi sznur zwisa aż do samej ziemi. Wkładam rękę do kieszeni i wyjmuję mały gwóźdek. Niezdarnie wbijam go w drewnianą dechę zamocowaną zaraz przy rynnie. I trafiam, co prawda raz na ileś razy, w metalowy czubek. Ale ostatecznie udaje mi się go wsunąć tak, jak trzeba. Naciągam się nieznacznie, by kawałek dalej zrobić to samo. Zawieszam fragment sznurka z lampkami na sterzącym gwoździu i z radością stwierdzam, że o dziwo – wszystko poprawnie się trzyma!

Wtedy czuję, jak grunt pod nogami zaczyna się chwiać. Jakby stopień pod moimi butami zaczął się obsuwać.

– O Boże! O matko! – wołam, przytrzymując się dachu. Zerkam w dół. Drabina stoi, ale jakoś krzywo. Najwyraźniej z jednej strony mocniej wbiła się w ziemię. Z pewnością wtedy, kiedy przeniosłam ciężar na jej

prawy bok.

Nogi mam jak z galarety. Muszę czym prędzej zejść na ziemię.

– Jezu kochany! – słyszę za plecami. – Czyś ty Lena oszalała? Zabić się chcesz? – Kiwam ręką na powitanie, nie oglądając się za siebie. Po głosie rozpoznaję, że to Baśka. Córka pana Józefa i zarazem moja sąsiadka. Schodzę najostrożniej, jak tylko potrafię, zastanawiając się, czy wciąż mi się przygląda. – Zaczekaj, zaraz przyjdę, tylko Jaśka z mamą zostawię! – woła.

Kiedy moje stopy dotykają stabilnego podłoża, odwracam się i widzę, że już jej nie ma. Co za porażka! Pewnie ma mnie za niezłą ofiarę losu. Że też musiała mnie zobaczyć akurat w takim momencie.

Baśka wraca po paru minutach z tajemniczym urządzeniem w dłoniach i obwieszcza mi, że we dwie zrobimy to znacznie szybciej. Właśnie w ten sposób dowiaduję się, że istnieje coś takiego jak taker. I że zdecydowanie może ułatwić komuś życie.

– Będę się zmywać, bo Jasio już pewnie się o mnie dopomina – Baśka przechyla szklanekę i wypija ostatni łyk herbaty. Przezroczysta torebka spada jej na nos. Dziewczyna parska śmiechem.

– Mówiłam ci, żebyś ją wyjęła. – Wskazuję talerzyk, który przecież położyłam na stole właśnie w tym celu. Jestem w dobrym humorze, bo przy żywiołowej Basi chyba nie da się inaczej. – Posłuchaj, naprawdę bardzo ci dziękuję. Bez ciebie chyba nie przystroiłabym tego domu.

– Przestań. Przystroiłabyś. Z połamanymi girami czy bez, ale dom by świecił – szczyrzy zęby.

– Kiepsko cenisz moje zdolności – przewracam oczami.

– To nie ocena. To fakty. Wystarczyło, że widziałam, jak wchodzisz na tę drabinę i już wszystko wiedziałam.

– Osz ty! Obserwowałaś mnie – udaję nadąsaną.

– Mieszkasz na obrzeżach. Tutaj wszyscy patrzą – mówi niby w żartach, a jednak doskonale zdają sobie sprawę, ile w tym wszystkim kryje się prawdy.

– Zdążyłam zauważyć.

– Właśnie dlatego chciałam stąd uciec.

– Z Tyńca? Nie żartuj. – Jestem zaskoczona. Nie żebym znała ją jakoś wybitnie dobrze. W zasadzie niewiele o niej wiem poza tym, że ma ogromne serce. Jak zresztą cała jej rodzina. Rozmawialiśmy ze sobą już nieraz. Ale nigdy mi się nie zwierzała.

– Gdybym miała jakieś perspektywy, tobym wyjechała nawet dziś. Ale ciężko byłoby mi pogodzić wychowanie trzyletniego brzdąca z pracą. W sklepie nie zarabiam kokosów, więc nie byłoby łatwo wynajmować czegoś w Krakowie. Mieszkania są drogie – wzdycha. – U rodziców dokładam się do rachunków, ale one mnie nie rujnują. – Zamyśla się, a ja nie wiem, jak to skomentować. Byłam przekonana, że jest tutaj szczęśliwa. – Wiesz, że Jasio nie ma ojca. Możesz sobie wyobrazić, co mówili o mnie ludzie, kiedy pokazałam się z brzuchem. Bez ślubu. Sensacja na całą okolicę – kończy rozemocjonowana. Widzę, jak wiele nerwów musiało ją to kosztować. Wciąż nosi w sobie żal.

– Przykro mi, Baśka – wyciągam rękę i łapię ją za dłoń. Zdążyłam zauważyć, że wychowuje dziecko sama. Ale głupio było mi dopytywać o szczegóły.

– Niepotrzebnie – patrzy na mnie smutno. – Pewnie myślisz teraz o mnie, że jestem puszczalska.

– Wcale nie przyszłoby mi to do głowy – wtrącam zszokowana. – Nie miałabym prawa cię oceniać – mówię absolutnie szczerze.

– Widać, że jesteś z miasta. Tutaj ludzie klepią, co im ślina na język przyniesie.

– Tyniec to już też miasto – wtrącam podniosłym tonem, by trochę rozładować atmosferę. Dla żartu.

– Takie miasto, jak z koziej dupy trąba.

– Może i tak. Ale wierz mi, że ludzie wszędzie tacy sami. Tych, którym przysłowiowa słoma z butów wyłazi, można trafić w każdym miejscu. – Sama nieraz miałam okazję spotykać podobnych na swojej drodze. U nas w bloku także nie brakowało plotek, które były pożywką dla całego osiedla. A paść ich ofiarą wcale nie było tak trudno.

Zapada cisza. Widzę, że Basia bije się z myślami. Jakby chciała mi o tym opowiedzieć. Nie naciskam, bo przecież jeśli będzie chciała się wygadać, zrobi to sama.

– Mój partner rzucił mnie, jak tylko dowiedział się, że jestem w ciąży. A taki był oddany, kiedy wszystko szło po myśli – zaczyna. – Z szacunku dla Jasia nie nazywam go jego ojcem, bo nie jest tego wart.

– A to szumowina – wybucham. – Gnój jeden! – Ponosi mnie, nic nie wkurza mnie bardziej niż brak

odpowiedzialności, szczególnie w takich przypadkach. Przecież Baśka nie sprawiła sobie Jasia sama.

Widzę, że moja reakcja poprawia jej humor.

– Masz rację – potakuje. – Wciąż tak bardzo go nienawidzę – zaciska zęby.

– Rozumiem, że płaci ci alimenty i mam nadzieję, że wysokie.

– No coś ty. Podałam w urzędzie, że ojciec dziecka jest nieznany. Jeszcze zachciałoby mu się spotkać, kiedy Jasio będzie starszy i odchowany. – Patrzy na mnie, jakby chciała się upewnić, czy na pewno ją rozumiem. Sama nie wiem, co o tym myśleć, ale jej żal i frustracja są dla mnie zrozumiałe. A co za tym idzie, chęć odcięcia się od człowieka, który przecież mocno ją skrzywdził, wydaje się całkiem logiczna.

– Może faktycznie masz rację. – Wstaję, podchodzę i ją przytulam. Robi to samo. Ochoczo obejmuje mnie, jakby tego właśnie potrzebowała. Milczymy tak przez parę chwil, kiedy Baśka przerywa wszechobecną ciszę.

– Dobrze, że się tutaj przeprowadziłaś. – Kiedy to mówi, robi mi się ciepło na sercu. Czuję się tak, jakbym właśnie zyskiwała przyjaciółkę.

W końcu odprowadzam ją do drzwi. Baśka zapina kurtkę na suwak, naciąga czapkę i bez schylania wkłada nogi do wysłużonych półbutów, depcząc przy tym zapiętki. Moja matka była na to wyczulona i w tym momencie pewnie zrugaby ją nie na żarty.

Kiedy łapie za klamkę, do głowy przychodzi mi pewne pytanie. Zaczynam analizować, czy w ogóle wypada mi je zadawać. Im dłużej się na tym zastanawiam, tym bardziej uświadamiam sobie, że powinnam dać sobie spokój.

– Trzymaj się kochana – Baśka mówi na pożegnanie. – Zerknę potem od siebie, jak wygląda efekt naszej pracy – dodaje, a jej słowa przelatują mi koło ucha, bo moje myśli wypełnia coś zupełnie innego. – Stało się coś? – Marszczy brwi i patrzy mi prosto w oczy. Jakby wyczytała to z mojej twarzy.

– Właściwie – cichnę na moment – to nie. Ale chciałam cię o coś zapytać.

– Pytaj przecież. Po co te całe wstępy? – śmieje się.

– Znałaś moją ciotkę, prawda? Marylę – dodaję gwoli ścisłości, choć przecież z pewnością doskonale wie, o kogo chodzi.

– Tak – odpowiada krótko.

– Jaka ona tak naprawdę była? Posłuchaj – dukam – chciałabym, żebyś była szczerą – zaczynam się motać, a ona sprawia wrażenie, jakby zupełnie nie wiedziała, o co mi chodzi. – Wiem, że o zmarłych nie mówi się źle. Ale czy było z nią coś nie tak?

– Z Marylą? – jest autentycznie zdziwiona. Patrzą na nią wyczekująco i mam wrażenie, że niewiele ma mi do powiedzenia na ten temat.

– Moja matka mówiła, że leczyła się na nerwy czy coś – próbuję jakoś delikatnie ująć to w słowa. Nie chcę mówić wprost, że moja matka swoją własną siostrę nazywała zwykłą wariatką.

– Wiesz co... – zaczyna się zastanawiać. – Czasami wspominała, że bierze walerianę, bo nie może zasnąć. Ale to chyba wszystko. Gdyby o tym nie mówiła, nikt z nas by nie wiedział. Czasami chodziła smutna. Zamyślona – wzrusza ramionami. – Ale miała do tego prawo. Jak każdy z nas. Miewamy różne humory, prawda?

– A alkohol? Piła?

Baśka parska śmiechem.

– Jak wszyscy tutaj, Lenka. – Moje pytanie ją bawi. – Ale w normalnych ilościach, bez przeginki. Przychodziła do nas na herbatkę z rozgrzewającą wkładką, jak to nazywa mój tata. I robiła słodkie wino, jestem pewna, że zostało coś po niej w piwnicy.

– Faktycznie, widziałam w składziku jakieś gąsiorzy i butelki – próbuję sobie przypomnieć, czy była w nich jakaś zawartość.

– Ale czemu próbujesz ją postawić w tak niekorzystnym świetle? – jest ciekawa.

Przez chwilę zupełnie nie wiem, co odpowiedzieć.

– Tak tylko. Twój ojciec ostatnio bardzo ją zachwalał. Chciałam wiedzieć, czy faktycznie taka była. Nic o niej nie wiem – wymyślam na poczekaniu.

– No właśnie taka była – Baśka znów zaczyna się uśmiechać. – Nikt by cię tutaj nie okłamał. Jeśli będziesz mieć ochotę, wpadnij do mojego ojca. On naprawdę chętnie ci o niej poopowiada. Ucieszy się, że nas odwiedziłaś. Wiesz, jak lubi przyjmować gości.

Zdażyłam się o tym przekonać. To jeden z tych ludzi, którzy zawsze przyjmą człowieka z otwartymi ramionami.

– To powiedz mi, jak ona tak naprawdę zmarła? – Chcę wiedzieć, czy przypuszczenia mojej mamy o przedawkowaniu leków okażą się słuszne.

Moje pytanie wywołuje chwilową ciszę. Robi się jakoś dziwnie. Słyszę tylko swój oddech.

– No jak to jak zmarła? – pyta, ale chyba nie oczekuje żadnej odpowiedzi. To ona powinna mi ją dać.
– Na zawał – obwieszcza zaskoczona, że o tym nie wiem.

Potakuję, choć wciąż jakoś trudno mi pozbierać myśli.

Jeszcze długo po jej wyjściu próbuję logicznie połączyć obie wersje dotyczące postaci mojej ciotki. Jakże rozbieżne. Uznaję jednak, że może potrafiła dobrze maskować swoje słabości. Może sąsiedzi nie znali jej tak dobrze jak rodzina? Choć z drugiej strony, rodzina, o której mowa, moja rodzina – nieszczególnie chciała ją znać. Może w przeszłości zrobiła coś złego? Zalażła mojej matce za skórę? Nie wiem i chyba nie powinnam rozgrzebywać przeszłości. Dla własnego komfortu psychicznego z niektórymi sprawami postanawiam dać sobie spokój.

ROZDZIAŁ 4

Jakub

Wyłuskały pochylony mężczyzna wpatruje się we mnie jak w obrazek. Najstarszy wuj ze strony mojego ojca. Siedzę na fotelu i staram się upewnić, czy na pewno dobrze mnie zrozumiał.

– Policja nigdy nie poprosi o pieniądze. Jeśli coś takiego wam się przydarzy, zaraz do mnie dzwońcie – próbuję przemówić mu do rozumu. – To oszuści, a dzięki takiej metodzie działania okradli już w naszej okolicy wiele osób – tłumaczę. Przyjechałem do wujka tak szybko, jak tylko pozwalały mi na to obowiązki. W ostatnich dniach sporo słyszy się o kradzieżach, których ofiarą padają zwłaszcza starsi, ufni ludzie. Tacy jak on.

– Chyba aż tak głupi nie jestem, żeby milicji pieniądze dawać – mówi, choć widzę, że moje słowa dały mu do myślenia. Chcę coś powiedzieć, ale ciotka mnie uprzedza.

– Staryś i głupi, to się nie wymądrzaj – zwraca się do wuja oburzona jego słowami. – W sklepie sprzedawczynie cię chciała okraść na kilkadziesiąt złotych, to żeś się nie zorientował, a profesjonalnym złodziejom nie dałbyś się podejść? – Stuka się palcem w skroń, chcąc pokazać, co o nim myśli.

– Bo młoda była i ładna, to jej chciałem dać – wuj rzuca cioci kontrę, nie pozostając dłużnym. Czuję się w obowiązku zażegnać konflikt, nim rozhula się na dobre. Nie po to tu przyjechałem.

– Posłuchajcie – zwracam na siebie uwagę obojga. – Nikt z nas nie wie, jak zachowałby się w takiej sytuacji. Nerwy, presja, odpowiednie podejście tych ludzi. Lepiej być tego świadomym, wtedy jest szansa, że człowiek oprzytomnieje na czas i nie da się oszukać. – Patrzę to na niego, to na nią.

– No właśnie – wtrąca ciotka z triumfem wymalowanym na twarzy. Chce mi się śmiać. Stare dobre małżeństwo.

Wuj Władysław to jeden z trzech braci mojego ojca. Człowiek honoru, dumny do bólu, a przy tym naprawdę oddany rodzinie. Mój tata, kiedy jeszcze żył, często go odwiedzał. Może dlatego, że miał go najbliżej. Pozostali bracia rozproszyli się po Polsce.

Ciotka wstaje i wychodzi z salonu, by po chwili wrócić z talerzykiem maślanych ciastek. Jako dziecko je uwielbiałem. Szybko po jedno sięgam.

– Kuba – zagaja zadowolona, że się poczęstowałem. – Słyszałam, że mama leci na święta do Sylwii. – Mówi o mojej siostrze, która wyjechała z Polski na dobre parę lat temu. Pracuje w Irlandii i przyjeżdża do domu niezwykle rzadko. Tam znalazła męża, tam założyła rodzinę i tam uwiła sobie gniazdko. Czasami szkoda mi naszej relacji, bo zawsze potrafiliśmy się dogadać. Dystans znacznie ochłodził nasze więzi.

– Tak – odpowiadam. Cieszę się, że do niej leci. W zasadzie to namawiałem ją, by przyjęła zaproszenie Sylwii, bo się wahała. Argument, że w końcu pobędzie dłużej z wnukami, okazał się wystarczająco przekonujący.

– Może chciałbyś przyjść na Wigilię do nas – pada stwierdzenie, którego się obawiałem. – Nie bylibyśmy tacy sami. Dzieci przyjeżdżają dopiero w pierwsze święto. – Czuję, jakby ktoś zrzucił mi na barki ciężki kamień. Taki, który wgniata mnie w fotel. Nie chcę sprawić jej przykrości, ale nie mogę się zgodzić tylko po to, by mieć teraz spokój, a potem perfidnie ich wystawić. Są sprawy, których nie da się przeskoczyć. Nie obchodzę świąt. A przynajmniej nie tak, jakby chcieli tego inni. To dla mnie czas żałoby. I tak już pozostanie.

– Ciociu, Sylwia też mnie zapraszała. Narobiłbym sobie złości, gdyby się dowiedzieli, że nie polecałem do nich, a byłem u ciebie. Wiesz, o co chodzi – próbuję wybrnąć.

– Co roku to samo, Kuba. Nikt nie powinien spędzać świąt sam – współczuje mi.

– Nie jestem sam – patrzę na nią. Tak cholernie mi ciężko. – I nie wyobrażam sobie świąt bez Oli. Bez niej nie istnieją.

– I sterczenie przed grobem w przeddzień Bożego Narodzenia ma ci w czymś pomóc? Ona by tego nie chciała – próbuje do mnie przemówić. To na nic. – Ty synku musisz w końcu zacząć żyć.

– Żyję, ciociu. – Wstaję. – Próbuję żyć tak, jak potrafię. – Zerkam to na nią, to na wuja. Mam wrażenie, że za moment załamie mi się głos. A nie mogę sobie na to pozwolić. Ludzie wyczekują grudniowych dni,

śniegu, choinki, kolorowych ozdób. We mnie budzą tylko frustrację, a jedyną świąteczną rzeczą, którą akceptuję, jest wieniec z betlejemskich gwiazd, który kupuję na grób mojej żony. – Wybaczcie, ale będę się już zbierał.

– Widzisz, babo? – wuj przerywa chwilową ciszę. – Przepłoszyłaś chłopaka swoim głupim gadaniem. Zawsze musisz gdzieś wciskać te swoje trzy grosze – burczy na nią niezadowolony. Jest obrażony, więc nawet na nią nie patrzy.

– To nie tak – próbuję stanąć w jej obronie. – I tak musiałem już lecieć. Chciałem jeszcze odwiedzić mamę – wymyślam na poczekaniu.

– Rozumiem, synku. Opowiedz jej o tych wyłudzeniach „na policjanta” – zaleca mi, bo nie wie, że już dzisiaj ją o tym informowałem. – Bo człowiek to nigdy nie wie, jakie przybłędy zapukają mu do drzwi

– To niestety prawda. Złodziei nigdy nie brakowało i brakować nie będzie. – Idę w kierunku przedsionka. Ciotka mnie odprowadza. Zakładam buty, podpierając się o wyłożoną drewnianymi panelami ścianę. Całe wnętrze domu ciotki przypomina przytulną góralską chatkę. Nie była remontowana od wielu lat, ale w tym całym staromodnym wystroju jest jakiś urok. – Dziękuję za poczęstunek – mówię, kiedy jestem już gotowy do wyjścia. Przytulam ją, schylając się nisko. Ciotka jest naprawdę mała, choć idzie w zaparte przed wujem, że ma prawie metr sześćdziesiąt. Szczerze powiedziawszy, nie byłbym tego taki pewien.

– To my dziękujemy. Wpadnij do nas znowu. Tak lubię, kiedy nas odwiedzasz – prosi mnie błagalnym tonem, w którym pobrzmiewa szczerść. Ona naprawdę czeka na ludzi, a goście, ci mniej czy bardziej spodziewani, nigdy nie są dla niej uciążliwym obowiązkiem.

– Wpadnę na pewno – otwieram drzwi i pospiesznie wychodzę, by nie wpuszczać do środka zimnego powietrza.

– I pamiętaj, że propozycja z Wigilią jest cały czas aktualna – woła, gdy pokonuję już wszystkie pięć stopni prowadzących na chodnik. Staję przy drzwiach auta. Podnoszę głowę, zerkając w jej kierunku i macham jej na pożegnanie. Wciąż na mnie patrzy, choć sądziłem, że już dawno zamknęła dom.

Kiedy uruchamiam silnik, włączam radio. Głos dziennikarza właśnie zapowiada jedną ze świątecznych piosenek. „White Christmas” kiedyś przynosiło radość z oczekiwania. Teraz kojarzy się tylko z żalem. Przelączę kanał. Na antenie właśnie odbywa się jakaś polityczna debata, w której dwóch zaproszonych gości wygłasza swoje racje. Nie jestem tym zbyt zainteresowany, a mimo to pozwalam ich głosom popłynąć z głośników. Lepsze to niż te wszystkie oklepane melodie, od których naprawdę chce się rzygać. To nie moja wina, że nienawidzę tych świąt. Że cała radość z nich została mi odebrana. Prawie trzy lata temu.

Mknę prosto w stronę domu. Zły na siebie, że znowu dałem się ponieść własnym słabościom. Nie cofnę przeszłości i nie powinienem jej roztrząsać, a jednak wciąż to robię. Nie wiem, czy kiedykolwiek nauczę się z nią żyć. Wciąż jej nie przepracowałem. Wystarczy piosenka. Widok. Krótkie wspomnienie. I wszystko do mnie powraca.

Zaczyna boleć mnie głowa. Staram się skupić na jeździe, ale pulsowanie w skroniach skutecznie mnie rozstraja. Łapię kurczowo kierownicę oburącz i próbuję oprzytomnieć, by nie narobić żadnych głupot. Wiem, że to nerwy, a mimo to nie potrafię nad tym zapanować. Czasami kontrola nad samym sobą po prostu mnie przerasta.

Potrzebuję tabletki. Muszę wracać do domu. Zastanawiam się, czy w szafce zostało coś przeciwbólowego.

Przejeżdżam właśnie obok salonu fryzjerskiego Vel Włos, którego szyld zawsze rzuca mi się w oczy. Jest krwistoczerwony i trochę tandetny. W przeciwieństwie do serwowanych w nim usług.

Właśnie o czymś sobie przypominam.

Hamuję na szlag, sam zaskoczony swoją nagłą decyzją. Działam pod wpływem impulsu. Zupełnie spontanicznie, co rzadko mi się zdarza. Parkuję przed wielką szybą salonu i nim zdążę się rozmyślić, wysiadam.

ROZDZIAŁ 5

Lena

Wyjmuję z kartonu maski do włosów i część z nich ustawiam na regale przy drzwiach wyjściowych. Gdyby półka była wykonana ze słabszego materiału, w końcu ugięłaby się od nadmiaru kosmetyków. Szefowa liczy, że w przedświątecznym okresie klienci, mając przed nosem takie cuda, wpadną na pomysł, by kupić swoim bliskim pod choinkę jakąś odżywkę czy szampon. A ja mam wrażenie, że rozbiegani myślami po prostu tego nie zauważą. Nie wspominając o tym, że mieliby kupić coś dla siebie. Wszyscy, którzy tutaj ostatnio przychodzą, mówią tylko o jednym. Drożyzna, kosmiczne ceny, kolosalne podwyżki, brak ryb w sklepach. Świat zwariował. Tymczasem ja nawet nie zaczęłam się rozglądać za świątecznymi prezentami czy jedzeniem. Na tę myśl ściska mnie w żołądku. Wciąż nie powiedziałam mamie, że chcę zaprosić ją i ojca na Wigilię. Boję się jej reakcji.

Marika przechodzi obok mnie i słyszę, że nuci pod nosem piosenkę „White Christmas”, która snuje się właśnie z kolumn rozwieszonych przy suficie. Robi się klimatycznie. A już na pewno tak będzie, kiedy po zakończonej dniówce będziemy rozwieszać lampki i ustawiać skrzaty na półeczkach. Wciąż leżą na zapleczu. Dołączam ze śpiewem, bo znam słowa. Zresztą, któż ich nie zna? Zaczynamy się przekrzykiwać, śmiejąc się wniebogłose. Gdyby któryś z naszych klientów niespodziewanie tutaj wszedł, pomyślałby, że zwariowałyśmy. Na szczęście mamy chwilowy przestój. Niedługo. Za jakieś pięć minut ma się zjawić klientka na blond ombre. Swoją drogą, sama musiałabym poprosić Marikę o pofarbowanie odrostów. Ostatnio dosłownie nie mam na nic czasu.

Kończymy śpiewać. Przygotowuję właśnie stanowisko do pracy, kiedy do środka wchodzi naburmuszona młoda kobieta. Witam się z nią, więc łaskawie odpowiada. Pokazowo odgarnia włosy i odwiesza płaszcz. Domyślam się, że była zapisana. Widzę ją pierwszy raz, a już budzi we mnie niechęć. Na szczęście to nie ja będę się nią zajmować, a Marika. Choć oczywiście nie zamierzam stać z założonymi rękami, kiedy i dla mnie znajdzie się jakaś robota. Często sobie pomagamy. Poza tym, znając życie, za chwilę na pewno ktoś się tutaj zjawi. Wielu klientów przychodzi bez wcześniejszego zapisania się, licząc, że akurat będziemy miały moment przestoju. Zwłaszcza faceci, którzy w zasadzie często potrzebują maksymalnie piętnastu minut, by wyjść stąd z usatysfakcjonowaną miną i estetycznym cięciem na włosach.

Podchodzę do myjki i wybieram z niej kawałki folii aluminiowej. Zerkam na zegar, ale wciąż jeszcze pozostały mi trzy godziny pracy. Niosę śmieci do kosza, a potem zaczynam myć ręce. Kiedy to robię, słyszę charakterystyczny dźwięk otwieranych drzwi. Podnoszę głowę, by zerknąć na osobę, która właśnie do nas zawitała.

Matko Święta!

Żołądek dosłownie robi mi w brzuchu fikołka.

Nie wierzę własnym oczom. To znowu on.

On!

Czego chce? Przecież był tutaj całkiem niedawno.

– Dzień dobry – słyszę niski głos. Marika mu odpowiada. Jakub Lincner wciąż mnie nie zauważa, więc nie wiem, czy w ogóle się odzywać. Ale przecież przebywamy w tym samym pomieszczeniu. Za moment tak czy inaczej na pewno mnie zobaczy.

Serce mi wali.

Czemu jego obecność powoduje u mnie taki wewnętrzny paraliż? To glina. Z pewnością dlatego. Policja zawsze tak na mnie działała. Choć raczej nigdy nie należałam do osób szczególnie naginających prawo.

– Dzień dobry – daję o sobie znać i na przekór wszystkim uprzedzeniom, jakie mną targają, podchodzę w jego stronę. Wycieram ręce w fartuszek. Patrzę mu prosto w oczy i zadaję sobie kluczowe pytanie. Dlaczego ten dupek musi być tak cholernie przystojny? – Zakładam, że wolałbyś... – motam się i przerywam – że wolałby pan Marikę, ale jak widać, jest zajęta. Chce się pan zapisać na strzyżenie? Pisać potrafię, więc w tej kwestii chyba mi pan zaufa – nie wiem czemu decyduję się na kąśliwy ton. I czuję się tak, jakbym musiała się przed czymś bronić. Szykuję sobie mur, przez który nie pozwolę się nikomu przedrzeć.

Patrzy na mnie zaskoczony. Ironicznie się uśmiecha.

Chyba naprawdę jestem idiotką.

– Właściwie to przyszedłem do ciebie – mówi z dziwną satysfakcją. – Zdaje się, że ostatnim razem coś mi obiecałaś. – Zostawia za nami całe to grzecznościowe „pani i pan”. Już sama nie wiem, jak powinnam się do niego zwracać.

Robi mi się gorąco. Jestem pewna, że na moich policzkach właśnie wykwitają solidne rumieńce. Zerkam w lustro i widzę podniesione brwi Mariki, która przysłuchuje się całej rozmowie. Wie przecież, jak zakończyła się jego ostatnia wizyta w tym miejscu. Nie opowiadałam jej o służbowym zatrzymaniu przy cmentarzu.

Zaczynam analizować nasze ostatnie spotkanie i już wiem, co Jakub Lincner ma na myśli.

– Chodzi o masaż głowy, tak? – Przetykam ślinę, by zwilżyć wyschnięte gardło. Jestem zestresowana. Jakbym miała tutaj przyjmować samego prezydenta.

Potakuje głową.

– Chciałbym się przekonać, czy faktycznie jesteś w tym tak dobra, jak zapowiadałaś. – Patrzy mi prosto w twarz. Uciekam wzrokiem, próbując zająć czymś ręce. Strzepuję niewidzialne pyłki z materiału fartuszka.

– Przekonajmy się – wzruszam ramionami. – Właściwie to chwilowo nie mam żadnego klienta. – Wiem, jak żałośnie to brzmi. Jakby nikt nie chciał do mnie przychodzić. To nie tak. Dziś miałam okazję obsłużyć już naprawdę wiele osób, które powierzyły mi swoje włosy i wyszły zadowolone. – Ale bądź obiektywny w swojej ocenie – zalecam. – Zdejmij płaszcz i możesz siadać przy myjce – wskazuję konkretne miejsce, a kiedy odwraca się i idzie w stronę wieszaka, czmycham na zaplecze. Im bliżej niego jestem, tym szybszy staje się mój krok. Staję naprzeciwko stoliczka z czajnikiem i opieram się o ścianę.

Biorę głęboki wdech. Potem kolejny. I kolejny. Zaczynam odliczać do dziesięciu, by zająć czymś myśli. Podnoszę ręce i zerkam na dłonie. Trzęsą się. To nie jest normalne. Nigdy tak nie reaguję. Nie tylko moje ciało, ale także mój umysł zaczyna płać mi figle. Wmawiam sobie, że Jakub Lincner to zwyczajny klient. Człowiek, który jednak zdecydował się mi zaufać, skoro tutaj przyszedł. Wykonam zlecenie i zaraz sobie pójdzie. Zrobię to oczywiście najlepiej jak potrafię, by udowodnić, że jestem w tym naprawdę dobra.

Wracam. Zmieszana Marika odwraca się w moją stronę. Uśmiecha się, jakby wyczuwała w tym wszystkim jakieś drugie dno. Będę musiała opowiedzieć jej o ostatnim zajściu. Patrzę w stronę myjki, przy której właśnie siada facet będący powodem zamieszania. Znów zaczynam oddychać szybciej. Widzę, że na mnie patrzy.

Nie mówię nic i staję za jego głową.

– Proszę się oprzeć – zalecam, regulując wysokość i kąt ustawienia misy tak, by było mu wygodnie. Słucha moich poleceń. Tłumaczę samej sobie, że idzie mi całkiem nieźle. Odkręcam wodę i polewam nią swoją dłoń, by dostosować temperaturę. Kiedy jest ciepła, ale nie za gorąca, kieruję strumień na jego włosy. Są szalenie gęste. I czarne jak smoła. – Czy taka może być? – pytam.

– Może – odpowiada, więc zaczynam działać.

Wkładam rękę w jego włosy. On zamyka oczy. Sunę palcami po czole, blokując dłonią wodę, by nie poleciała mu do oczu. Kiedy jego głowa jest już dostatecznie nawilżona, zdejmuję z półki pierwszy z szamponów. Rozprowadzam go po dłoniach i zaczynam wcierać. Robię to powoli i dokładnie, drażniąc paznokciami jego skórę. Centymetr po centymetrze przesuwam ręce w dół. Moje palce ślizgają się tuż nad jego uszami, a potem docierają do skroni. Kolistymi ruchami masuję skórę w tym wrażliwym punkcie, czując, jak bardzo jest spięty.

Nie mówi nic.

Wielu klientów milczy, po prostu delektują się chwilą. Mija kilka minut, podczas których powtarzam czynności. W końcu zmywam szampon i sięgam po ręcznik, by wytrzeć mokre dłonie. Staję przy półce z odżywkami i zastanawiam się, której użyć. Sięgam po czarne opakowanie i odkręcam zakrętkę. Wącham zawartość, bo uwielbiam ten zapach. Nieprofesjonalne zboczenie zawodowe. Zerkam na Jakuba i zauważam, że otworzył oczy. Przygląda mi się z zupełnie innym wyrazem twarzy niż wtedy, kiedy tutaj wszedł. Mogłabym przysiąc, że wydaje się znacznie bardziej zrelaksowany.

Nasze spojrzenia się krzyżują. Jego tęczęwki są tak ciemne, że ciężko wypatrzeć granicę pomiędzy nimi a źrenicą. Zastanawiam się, co myśli, kiedy na mnie patrzy. Na moment wstrzymuję powietrze. Mija kilka sekund, nim decyduje się pierwsza odwrócić wzrok.

Skupiam się na odżywcę, nabierając na palce odpowiednią porcję.

– Bałem się, że to już koniec – mówi. A ja w ciągu paru sekund urastam o dobre kilkanaście centymetrów. Patrzę na niego ponownie i uśmiecham się w jego stronę. Nie odwzajemnia tego. Wygląda, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

Ten człowiek jest dla mnie prawdziwą zagadką.

Kiedy ponownie zatapiam dłonie w jego włosach, znowu zamyka oczy. Opuszkami środkowych i wskazujących palców wykonuję podłużne ruchy, tworząc tym samym przeciągłe pasma. Staram się wyważyć determinację i delikatność, z jaką powinnam to wszystko robić. Ale łomoczące w piersi serce nie do końca pozwala mi się skupić.

Zerkam na zegar. Mija kolejnych dziesięć minut. Spłukuję włosy i nakładam ostatnią z odżywek. Do salonu wchodzi właśnie starszy pan, który pyta o strzyżenie. Proszę go, by chwilę poczekał i usiadł na sofie.

W ostatnim etapie znów przeczesuję włosy Jakuba palcami. Kiedy odżywka odpowiednio je nasycy, używam ciepłej wody. Sięgam po ręcznik.

– Teraz to już koniec – mówię mu. Leniwie podnosi powieki. – Możesz dźwignąć głowę. – Działa zgodnie z moimi wytycznymi, a ja przecieram wpiersz jego szyję, a potem włosy tak, by spływające krople nie zmoczyły bordowej koszuli. – Proszę cię, przejdź do tego stanowiska. – Wskazuję mu konkretny kierunek.

– Tutaj? – dopytuje, łapiąc za oparcie krzesła.

– Tak.

Zabieram pomadę, po czym idę w jego kierunku. Ustawiam kosmetyk na drewnianym długim blacie i sięgam do kieszeni po mały grzebyk. Przeczesuję czarne wilgotne włosy, wciąż nie mogąc się nadziwić, jak bardzo są gęste. Odkładam grzebień i biorę suszarkę. Mimowolnie zerkam w lustro i zastygam na kilka sekund pochylona nieopodal jego twarzy. W szklanej tafli nasze spojrzenia znowu się krzyżują. Czuję uderzenie gorąca rozchodzące się po całym ciele. Muszę czym prędzej się opamiętać. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Chrząkam i się prostuję, żeby pozbyć się wszystkich dziwnych emocji. Uruchamiam suszarkę, a kiedy włosy przestają być mokre, bardzo delikatnie stylizuję je pomadą, skupiając się wyłącznie na pracy.

– Gotowe – oznajmiam, nie patrząc na jego twarz. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolony – kończę krótko, obawiając się, że nienaturalnie drżącym głosem zdradzę cały stres, który towarzyszył mi przy pracy. Jakbym robiła to wszystko po raz pierwszy w życiu. Nie robię, a jednak tak właśnie się czuję.

– Było przyjemnie. Jesteś w tym niezła. Tak jak mówiłaś – komplement sprawia, że mimowolnie na niego zerkam. Tym razem jednak to on odwraca się pierwszy i idzie po płaszcz. Zmieszana składam mokry ręcznik w kostkę, by za chwilę zanieść go do kosza na pranie. Przewieszam go przez krzesło i wracam do półki z produktami, by odstawić tam pomadę. – Czy możesz mnie zapisać na strzyżenie? – pyta. Na samym początku sądziłam, że właśnie po to się tutaj zjawiał. Minęło nieco ponad pół godziny, odkąd wszedł do salonu, a ja mam wrażenie, że to wszystko trwało całą wieczność.

– Jasne – odpowiadam i zmiierzam w kierunku parapetu, na którym zostawiłam notes. Idzie za mną. – Kiedy chciałbyś wpaść? – dopytuje.

– Za miesiąc.

Wertuję kartki, w przybliżeniu obliczając dni.

– Trzeciego stycznia? – pytam. Wraz z początkiem roku salon świeci pustkami. Wszyscy, którzy chcą zrobić coś z włosami, jak w wyścigu szczurów walczą o dni i godziny w przedświątecznym okresie. Ewentualnie interesują ich jeszcze fryzjerskie usługi na sylwestra. Potem nastaje cisza. – Jeśli nie pasuje, może być czwartego albo piątego. Szóstego mamy zamknięte – pamiętam o święcie Trzech Króli, zresztą ten dzień w notatniku zaznaczony jest na czerwono.

– Może być trzeciego.

– Do południa czy po południu?

– Do południa – odpowiada zdecydowanym tonem.

– Dziewiąta? – odwracam się w jego stronę, wciąż pochylona nad terminarzem. Widzi to, więc potakuje, nie wydając z siebie głosu.

Włączam długopis i zapisuję wybraną przez niego godzinę. Przez chwilę waham się, czy dla niepoznaki nie zapytać go o imię i nazwisko, by nie myślał sobie zbyt wiele. W końcu nie musiałam zapamiętać, jak się nazywa. Ale odpuszczam kłamstwo i notuję wyraźnie: Jakub Lincner. Już chcę zamknąć notatnik, kiedy zaczyna mówić.

– Dopisz jeszcze, że zależy mi na strzyżeniu u szefowej. Ewentualnie u Mariki – dodaje. Dosłownie krew odpływa mi z twarzy. Czuję się, jakbym dostała obuchem w łeb.

Ciągle ta sama narracja. Szlag mnie trafia.

Stoję tak bez ruchu i dopiero po paru sekundach dochodzi do mnie, że wgapiam się w niego jak ciele w malowane wrota. Jakbym czekała na wybuch śmiechu z jego strony i wiadomość, że właśnie spektakularnie udało mu się mnie nabrać.

Ale on stoi śmiertelnie poważny.

– Dobrze – dukam, ciesząc się, że nie zamknęłam tego cholernego zeszytu. Ciśnienie skacze mi chyba do dwustu. Powiedział, że masaż mu się podobał. A teraz znowu postanowił mi dowalić. No ale jak sobie chce. Dopisuję jego uwagę z kilkoma wykrzyknikami. Pogrubionymi. Tak, by miał pewność, że dostanie w salonie to, czego, do diabła, pragnie.

Odwraca się i chce odejść.

– Byłbym zapomniał – znowu na mnie patrzy. – Ile jestem ci winien?

Stoi i czeka na odpowiedź, a ja nie potrafię wydusić z siebie słowa. Tak bardzo jestem zła. Rozczarowana. Smutna.

– Nic. To przysługa – nie potrafię ukryć gniewu, choć bardzo się staram. Nie chcę, żeby widział, jak bardzo boli mnie, że nie chce zaufać moim umiejętnościom. Zwłaszcza on. Choć wciąż naprawdę nie wiem, czemu tak bardzo zależy mi na zdaniu tego dupka.

– Nie chcę niczego za darmo.

– To nie jest za darmo. Aż taką samarytanką nie jestem. Dobrze wiesz, za co to wszystko – ucinam temat.

Wrzucę do kasy z własnej kieszeni należność za zużyte kosmetyki i tyle. Szefowa nie będzie miała mi tego za złe, kiedy opowiem jej o całej sytuacji. Lepsze to niż mandat. Wyjdzie znacznie taniej.

Jakub sięga do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjmując portfel i wyciąga z niego dwa banknoty. Stówę i pięćdziesiątkę. Podaje je w moją stronę.

– Powiedziałam ci, że niczego nie chcę. Poza tym, to o wiele za dużo. Nie jesteśmy w centrum Warszawy – pouczam go, nie wyciągając ręki po pieniądze. – Schowaj to – tłumaczę mu kolejny raz. Robi się niecierpliwy. Spuszcza ze mnie wzrok i zaciska szczękę. Mija mnie, jak gdyby nigdy nic, a potem kładzie pieniądze na parapecie i nim zdążę zareagować, łapie za klamkę.

Wychodzi.

Stoję jak słup soli. Odwracam się w stronę Mariki. Klientka, którą czesze, uważnie mi się przygląda. Kiedy zauważa, że to widzę, odwraca wzrok. Czego nie można opowiedzieć o samej Marice. Jest w szoku. Podobnie jak ja.

Starszy pan siedzący na kanapie najwyraźniej też przysłuchiwał się całemu zajściu. Nawet gdyby ktoś usilnie starał się nie słyszeć i nie widzieć, byłby do tego po prostu zmuszony. Salon Vel Włos to nie królewskie apartamenty o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych, a niewielka klitka, w której naprawdę trzeba szeptać, by koś przypadkiem nie usłyszał czegoś nieodpowiedniego.

Ruszam z miejsca, by oblać twarz wodą. Zostawiam leżące na parapecie pieniądze i zmierzam w stronę łazienki.

Staję przed lustrem i widzę wypieki na swojej twarzy. Wielkie, czerwone durnowate placki.

Okręcam wodę i chlapię sobie po policzkach. Muszę się pospieszyć, bo mam robotę. Przecieram się wiszącym nieopodal ręcznikiem i wychodzę, prawie zderzając się z Mariką stojącą przy stoliku z czajnikiem. Domyślam się, że nie znalazła się tutaj przypadkiem.

– Lena – mówi półszepem, skłaniając mnie do tego, bym na nią spojrzała. Kiedy to robię, otwiera usta kolejny raz. – Co się tutaj właśnie odpiardoliło? – Nie przebiera w słowach. Nie wygląda na wściekłą. Jest raczej bardzo zaintrygowana. A ja już wiem, że będę musiała o wszystkim jej opowiedzieć. Nie ma sensu brnąć w kłamstwa.

– Dłuższy temat. Jak po zamknięciu będziemy stroić salon, wszystko ci opowiem.

Mruży oczy i delikatnie się do mnie uśmiecha. Kiwa głową, jakby zrozumiała, po czym wraca do pracy. Czekam jeszcze parę chwil, biorę kilka głębokich oddechów i idę za nią.

ROZDZIAŁ 6

LENA

– Jasny gwint! – zerkam przez okno na trawnik całkowicie pokryty białym puchem. Przytrzymuję zasłonkę i przyglądam się ledwo widocznemu domowi sąsiadów. Opady śniegu są tak intensywne, że przedmioty położone parę metrów od mojej chatki tracą krawędzie. Jak za mgłą.

Z trudem widzę swoje auto. A właściwie wielki nasyp śniegu, pod którym znajduje się pojazd. Jak dobrze, że dziś niedziela i nie muszę jechać do pracy. Wieczorem nic nie wskazywało, że rano obudzę się w zupełnie innej rzeczywistości. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam taką zimę. Powinnam zacząć słuchać pogody, by podobna niespodzianka nie zaskoczyła mnie kolejny raz. Gdyby zdarzyło się to w ciągu tygodnia i miałabym na poranną zmianę, pewnie spóźniłabym się do roboty. Przecież taką górę śniegu trzeba byłoby odgarniać z auta dobre piętnaście minut. Już nie wspominając o zasypanym podjeździe. Szczerze powiedziawszy, nawet nie wiem, czy mam łopatę, która pomogłaby mi się z tym uporać. Będę musiała poszukać.

Mocniej okrywam się mięciutkim szlafrokiem. Przegarniam włosy spadające mi na twarz i snuję się w kierunku kuchni. Muszę zrobić sobie ciepłej herbaty i napalić w piecyku. Wczoraj rozmawiałam z szefową, która dała mi namiary na faceta handlującego drewnem. Mają przywieźć je w poniedziałek. O ile pogoda będzie lepsza i uda im się dotrzeć.

Wlewam wodę do czajnika i stawiam go na kuchence. Sięgam po szklanekę, wrzucam do niej torebkę herbaty i parę goździków. A potem kieruję się w stronę małego piecyka. Muszę koniecznie rozpałić ogień, bo zamarzną na kość.

Dwie godziny później kończę myć podłogi i biorę się do szukania odgarniacza. Jestem z siebie naprawdę dumna, bo mam wrażenie, że w ciągu tego krótkiego czasu spędzonego w tym domu naprawdę się zmieniłam. Dojrzałam. Wydoroślałam. Samodzielność mnie ukierunkowała, czego nie udało się zrobić mamie. Gdyby pół roku temu ktoś powiedział mi, że będę musiała sama zadbać o to, by w domu było ciepło i będę sama remontować starą chatę, parsknęłabym śmiechem. Tymczasem stoję tu. W środku budynku, który należy do mnie. Niezależna, zapracowana, rozczochrana, ale cudownie szczęśliwa. Jeśli nie przywiozą mi w poniedziałek drewna, będę w czarnej dupie, ale w tym momencie nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

Kiedy w domu zaczyna się robić ciepło, a mój żołądek doczekał się jedzenia, schodzę do niewielkiej piwnicy w poszukiwaniu łopaty do odśnieżania. Ale niczego w niej nie znajduję. Pędzę na podwórko, by dostać się do składzika przy domu. Ciotka trzymała tam narzędzia, więc liczę, że jeśli w ogóle miała coś podobnego, trzymała to właśnie tam. Nie biorę kurtki, co niekoniecznie jest rozsądne. Zakładam kozaki i wychodzę na zewnątrz.

– O rany – mówię sama do siebie, przysłaniając uszy rękoma. Mocny wiatr daje się we znaki. Wystarczy dosłownie kilka chwil spędzonych na zewnątrz i już wiem, że mój nos stuprocentowo zmienił kolor na czerwony. Wkładam klucz w kłódkę i wchodzę do niewielkiego pomieszczenia. Muszę zostawić otwarte drzwi, by cokolwiek widzieć. Składzik nie ma okna, nie wspominając już o lampie. Rozglądam się, przesuвам na bok najróżniejsze przedmioty, których przeznaczenia jeszcze do końca nie ogarniam, ale oprócz metalowej łopaty z ułamanym w połowie trzonkiem nie ma takiej, którą można byłoby odgarniać śnieg. Zamykam drzwi, zatrząskuję kłódkę i wracam do ciepłego domu.

Trochę słabo. Nie wiem, co robić. Bez odśnieżonego podjazdu będę uwięziona. Wątpię, by po tak wąskiej i kamienistej drodze przejechał jakiś pług.

Spośród wszystkich pomysłów, jakie wpadły mi do głowy, zostaje tylko jeden. Ostatni. Strych. Szczerze powiedziawszy, ta opcja wydaje mi się najmniej prawdopodobna, bo po co ciotka miałaby taszczyć odśnieżacz po drabinie, skoro miała składzik. I piwniczkę. Przez moment zastanawiam się, czy sobie nie odpuścić i nie wskoczyć na chwilę pod mięciutki koc. Ale chęć przekonania się, czy ostatnia opcja również okaże się spalona, jest silniejsza od wizji odpoczynku. Wchodzę po schodach i mijam sypialnię, jedyne pomieszczenie na piętrze, które zostało jakoś zagospodarowane. Pozostałe trzy pokoje stoją puste, z obdrapanymi ścianami, których nikt nie malował chyba od lat. Domyślałam się, że kiedy dom tętnił jeszcze

życiem, a ciotka nie była jego jedynym lokatorem, coś musiało się w tych pomieszczeniach znajdować.

Nie lubię tutaj przychodzić. Piętro przypomina mi, jak wiele roboty jeszcze przede mną, by doprowadzić to wszystko do względnego stanu. W zasadzie nie dziwię się cioci, że nie dbała o górną kondygnację, skoro z niej nie korzystała.

Stoję w jednym z pustych pokoi, zerkam na sufit. Metalowym prętem sięgam do otwieranego włazu, wkładam go w otwór i przekręcam. Kłapa się otwiera, więc stawiam leżącą w pobliżu drabinkę po skosie i ruszam w górę. Odkąd tutaj mieszkam, jeszcze ani razu nie zdecydowałam się tam wejść. Raz tylko wspięłam się po stopniach i zerknęłam przelotnie na ilość znajdujących się na strychu gratów. Stare zabawki, oparte o ścianę szyby, jakieś wiekowe drzwi i leżące na stosie materiały. Tyle udało mi się zapamiętać. Raczej nie przepadam za takimi miejscami, więc nie było mi spieszno do przegrzebywania wszystkich rupieci.

Kiedy jestem już prawie na samej górze, wyjmuję z kieszeni telefon i włączam latarkę. Jakoś dziwnie się czuję. Niespodziewane ciarki przechodzą mi po plecach. Boże. Jak w horrorze. Szybko odpędzam od siebie chore myśli. Nie wierzę w duchy, demony i zjawy. Nie spodziewam się, że z za jakiegoś pudła wyskoczy na mnie ciotka albo któryś z dawno zmarłych dziadków. Zaczynam się śmiać z własnej głupoty. Trochę nerwowo. Stawiam stopę na pokrywających podłogę deskach, mając nadzieję, że nie polecę w dół. Cholera jedna wie, jak stare jest to drewno i czy przez te lata nie zdążyło spróchnieć.

Świecę latarką dookoła, ale odśnieżacza nigdzie nie widać. Wszystko pokrywa za to gęsta warstwa kurzu. Raj dla roztoczy i innych małych żyjątek. Patrzę na stos starych ciuchów i zastanawiam się, po kiego diabła ktoś to tutaj trzymał. Można było oddać innym, póki były jeszcze modne. Kiedy przyjdzie czas, na pewno z tym wszystkim się tutaj rozprawię. Teraz mam jeszcze masę innych rzeczy na głowie.

Wokół panuje cisza jak makiem zasiał. Tak że aż piszczy w uszach. Robię krok do przodu, ale nagle tuż obok mnie rozlega się ciche zgrzytnięcie. Serce zaczyna mi walić jak młotem, jednak wtedy uświadamiam sobie, że to podłoga pod moją stopą. Cofam się, by nabrać pewności. Znowu zgrzyta. Przewracam oczami, bo znów niepotrzebnie się zestresowałam. To tylko podkreślona wyobraźnia. Mimo wszystko czuję, że powinnam wracać na dół. Nic tutaj nie znajduję. Wracam ku dziurze, z której wystaje drabina. Ostatni raz świecę latarką dookoła. Wtedy mój wzrok spoczywa na stojącym tuż przy włączonym pudelku. Wcześniej po prostu go nie zauważyłam. Przykucam przy nim i podnoszę wieko. Jest mocno przybrudzone, ale przecież od dłuższego czasu nikogo tutaj nie było. W środku znajdują się jakieś papiery, obok nich leży miedziany medal. Chyba jakieś rodzinne pamiątki. Zamykam pudło, zmiatam ręką kurz i zabieram je ze sobą.

Odkładam na kanapę kopertę, w której ciotka trzymała jakieś stare wykazy podatków. Swoją drogą, podane w kwotach, od których mogłaby rozboleć głowa. Domyślam się, że chodzi o pieniądze z czasów PRL-u. Wtedy ponoć wyglądało to inaczej niż teraz. Wyciągam miedziany medal, na którym widnieje postać mężczyzny z podniesionymi do góry rękami. W jednej z nich spoczywa laurowa gałązka, druga jest po prostu pusta. Nie ma natomiast żadnej wzmianki, za jakie zasługi został przyznany, poza rokiem 1985. Obracam medal w dłoniach, by zerknąć na rewers, ale z drugiej strony jest po prostu płaski. Sunę dłonią po błękitnym pasku, który zapewne został kiedyś zawieszony na czyjeś szyi. Pamiątki zostały, ludzi już nie ma. Smutny wniosek, zwłaszcza kiedy siedzi się samotnie w czterech ścianach domu. Po raz pierwszy od przeprowadzki odzywają się we mnie jakieś sentymentalne tony. Odkładam przedmiot na bok i wyjmuję z pudełka kolejną rzecz. Skórzany notes w kolorze butelkowej zieleni. Z pożółkłymi od upływającego czasu, przybrudzonymi na brzegach kartkami. Jakby ktoś wertował je niezliczoną ilość razy. Otwieram go gdzieś w połowie i widzę niezgrabne, pochyłe pismo. Mrużę oczy, by przyjrzeć się tekstowi i pierwsze, co rzuca mi się w oczy, to czasowniki pisane w rodzaju żeńskim. „Zobaczyłam. Czuję”. Wertuję następną stronę i zauważam zapisaną datę. Wracam kilka kartek wstecz i też dostrzegam konkretny dzień roku. To musi być jakiś pamiętnik. Zeszyt w trzech czwartych zapisany czyimiś wspomnieniami. Z tyłu widnieje tylko kilka numerów telefonów oznaczonych nazwiskami. Takimi, które niczego mi nie mówią. Wracam do początku, grzebiąc we wspomnieniach jakiejś kobiety. Czyżby to ciotka? Pierwszych kilka słów nie pozostawia żadnych wątpliwości.

1 GRUDNIA 1998

DROGI DZIENNIKU,

NAZYWAM SIĘ MARYLA SARNICKA I CHOĆ NIGDY NIE SĄDZIŁAM, ŻE BĘDĘ SPISYWAĆ WŁASNE MYŚLI, TE PRZYGNIATAJĄ MNIE OD ŚRODKA. BY ZOSTAĆ PRZY ZDROWYCH ZMYŚLACH, MUSZĘ PISAĆ. MUSZĘ PISAĆ, BY ŻYĆ. NIE WIEM, CO MAM ROBIĆ, KIEDY ROZUM I SERCE PODPOWIADAJĄ COŚ ZUPEŁNIE INNEGO.

DZIŚ WIECZOREM WRÓCIŁAM Z RORATNIEJ MSZY^[1]. STARYM ZWYCZAJEM NIOSŁAM LAMPION, KTÓRY STARANNIE PRZYGOTOWAŁAM KILKA DNI WCZEŚNIEJ. PROWADZIŁAM ZE SOBĄ CÓRKĘ SĄSIADA, BO OBIECAŁAM, ŻE ZABIORĘ JĄ DO KOŚCIOŁA. KSIĄDZ ROZDAJE OBRAZKI ZA UDZIAŁ W RORATACH I KAŻDE DZIECKO CHCE MIEĆ UZBIERANY KOMPLET. ŚNIEGU BYŁO PO SAME KOLANA. AUTA ŚLIZGAŁY SIĘ NA DRODZE, BO ZNÓW NIKT NA CZAS NIE POSYPAŁ JEZDNI SOLĄ. STARY PIETRUS CHCIAŁ NAS NAWET PODWIEŻĆ, ALE SZKODA BYŁO TRACIĆ OKAZJI NA SPACER, KIEDY ŚNIEG TAK PRZYJEMNIE SKRZYPIAŁ POD BUTAMI.

W DOMU BYŁO CIEMNO. I BYŁO CICHO. MYŚLAŁAM, ŻE NIKT NIE WRÓCIŁ JESZCZE Z MIASTA, BO PRZEDŚWIĄTECZNE ZAKUPY I SZUKANIE PREZENTÓW POTRAFIĄ WCIĄGNAĆ NA DOBRE. JAK TO ZRESZTĄ CO ROKU SIĘ ZDARZA. ZDJEŁAM BUTY I PŁASZCZ, I W PRZEMOCZONYCH RAJTUZHACH WESZŁAM DO SALONU, ŚCIAĞAJĄC JE CZYM PRĘDZEJ, BY NIE ZAMOCZYĆ PODŁOGI. DO SPÓDNICY PRZYKLEIŁ MI SIĘ ŚNIEG, KTÓRY STARAŁAM SIĘ STRZEPAĆ PRZY WEJŚCIU, ALE SPORO GO JESZCZE ZOSTAŁO. ZDJEŁAM I SPÓDNICĘ. W SAMYCH MAJTKACH I WYSŁUŻONYM SWETRZE MASZEROWAŁAM DO KUCHNI, BY POSTAWIĆ WODĘ NA HERBATĘ. WŁĄCZYŁAM ŚWIATŁO I WTEDY PRZEKONAŁAM SIĘ, ŻE NIE JESTEM SAMA.

PRZY STOLE SIEDZIAŁ ON. WYGLĄDAŁ NA ZUPEŁNIE PODMINOWANEGO. AŻ ZADRZAŁAM NA JEGO WIDOK, KOMPLETNIE SIĘ GO TUTAJ NIE SPODZIEWAJĄC. KIEDY MNIE ZOBACZYŁ, WYSOKO PODNIÓSŁ BRWI. WYDUKAŁAM „PRZEPRASZAM” I UCIEKŁAM ZA DRZWI, TŁUMACZĄC MU, ŻE NIE MIAŁAM POJĘCIA O JEGO OBECNOŚCI. KIEDY BYŁAM NA SCHODACH, ZORIENTOWAŁAM SIĘ, ŻE ZA MNĄ STOI. WŁĄCZYŁ ŚWIATŁO, A JA MOMENTALNIE ZERKNEŁAM DO OKNA, CZY PRZYPADKIEM NIE JESTEM NA WIDOKU SĄSIADÓW. POPROSIŁAM, ŻEBY NIE PATRZYŁ, ALE NIE CHCIAŁ SŁUCHAĆ. ZAMUROWAŁO MNIE, BO OD DAWNA NIE ZACHOWYWAŁ SIĘ WZGLĘDEM MNIE W TAKI SPOSÓB. SAM DOKONAŁ WYBORU, WIĘC TERAZ NIE MIAŁ DO TEGO ŻADNYCH PRAW.

CZUŁAM, ŻE TO ZŁE, A MIMO TO WCIAŻ SIĘ NIE RUSZAŁAM. JEGO WZROK WBIJAŁ MNIE W PODŁOGĘ.

ZAPYTAŁAM, DLACZEGO JEST SAM. A ON ODPOWIEDZIAŁ, ŻE NIE MIAŁ OCHOTY JUŻ DŁUŻEJ NIKOGO SŁUCHAĆ. POTRZEBOWAŁ CISZY, BY OCHŁONAĆ. DOMYŚLIŁAM SIĘ, ŻE ZNOWU SIĘ KLÓCILI. POWODY ICH SPRZECZEK BYŁY BŁAHE, ALE ICH ŹRÓDŁEM BYŁ JEDEN POWAŻNY PROBLEM, KTÓREGO ŻADNE Z NICH NIE BYŁO W STANIE ROZWIĄZAĆ.

PODSZEDŁ BLIŻEJ. AUTOMATYCZNIE ZASŁONIŁAM SIĘ RĘKAMI, JAKBYM BYŁA KOMPLETNIE POZBAWIONA UBRANIA. ZŁAPAŁ MNIE ZA RAMIĘ I PRZYJRZAŁ MI SIĘ OD DOŁU DO GÓRY. BYŁ POWAŻNY I ZASMUCONY. CZUŁAM OD NIEGO WOŃ ALKOHOLU, A JEDNAK NIE WYDAWAŁO MI SIĘ, BY BYŁ MOCNO WSTAWIONY. SZEDŁ PROSTO I NIE CHWIAŁ SIĘ.

PATRZYŁ NA MNIE WYMOWNIE I ZADAŁ MI PYTANIE, NA KTÓRE NIE POTRAFIŁAM ODPOWIEDZIEĆ. DLACZEGO TO WSZYSTKO MUSI BYĆ TAK BARDZO TRUDNE. KAŻDE Z NAS ZINTERPRETOWAŁO TO PO SWOJEMU. PRZESUNAŁ PALCEM PO MOIM POLICZKU, DELIKATNIE I DŁUGO. ŻE AŻ MOJE NOGI STAŁY SIĘ NAELEKTRYZOWANE JEGO DOTYKIEM. POCZUŁAM GO WSZĘDZIE. ZADYGOTAŁAM I UCIEKŁAM.

ZAMKNEŁAM SIĘ W POKOJU, RYCZĄC W PODUSZKĘ. OBWINIAŁAM SIĘ O TO, ŻE MOJE CIAŁO MIAŁO OCHOTĘ ZGRZESZYĆ.

Kropka.

Zamykam notatnik i odkładam go na bok, jakby raził prądem.

Jezus Maria. Co to było? Nie wiem, czy powinnam była to czytać. To osobiste i chyba bardzo intymne zwierzenia mojej ciotki. A jednak nie byłam w stanie odłożyć notatnika. Jej słowa mnie przyciągały. Jakby notatnik sam zaczął do mnie mówić.

To szalenie ciekawe. Walczę ze sobą, by nie zerknąć na kolejną stronę, ale zaczynają dręczyć mnie wyrzuty sumienia. Nie wiem, czy ciotka życzyłaby sobie, żebym do tego dotarła.

Odkładam notatnik i sięgam do pudełka. Stary dowód osobisty, mający postać małej książeczki. Tata miał kiedyś podobny. Otwieram go i widzę, że należał do ciotki. W środku nie ma jednak zdjęcia. Ktoś je

wyrwał. Został po nim tylko zaśnieżony metalowy spinacz.

Następna w pudełku jest kolorowa broszka w kształcie wałki. Po niej wyjmuję parę zdjęć młodych dziewczyn, które po przeczytaniu dedykacji uznają za dawne przyjaciółki ciotki Maryli.

Mimo tych wszystkich rzeczy wciąż myślę o notatniku. O zapisanych w nim słowach.

Biorę szpargały w garść i chowam do pudełka. Zamykam kartonowe wieko i odkładam na stół. Może jeszcze do tego wrócę, ale na dzisiaj z pewnością mam już dość.

Sięgam zatem po telefon, by pogadać z ojcem. Od kilku dni nie rozmawialiśmy, więc chcę zwyczajnie zapytać, czy wszystko u nich w porządku. Na ekranie wyświetla mi się jednak wiadomość Mariki. Numer domu oraz nazwa ulicy, o które bardzo ją prosiłam. Znalazła to dla mnie szybciej niż się spodziewałam, za co jestem jej ogromnie wdzięczna. W końcu wszystko wskazuje, że mam do załatwienia jedną, bardzo ważną rzecz, której zgodnie z własnym sumieniem nie mogę sobie odpuścić.

ROZDZIAŁ 7

JAKUB

Upycham do zmywarki ostatnie szklanki i włączam drugi program myjący. Zamykam drzwiczki i idę w stronę stołu. Zmiotam z blatu okruszki i wrzucam je do zlewu. Zerkam na wiszący na ścianie zegar, który nieuchronnie przypomina mi o konieczności wyjścia do roboty. Jeszcze dwadzieścia minut i znowu będę musiał wyruszyć na ten ziąb. Zastanawiam się, czy dam radę wyjechać. Do południa odśnieżałem dobrą godzinę, ale przecież ciągle sypie i niewykluczone, że efekty mojej pracy stały się niewidoczne.

Wyłączam telewizor, bo stacja z wiadomościami nie przestaje nadawać o jednym i tym samym. Śnieżyce i zaskakujący mróz. Jakby człowiek nie miał w domu okien i niczego nie był świadom. Do cholery, w końcu mamy grudzień. Zaskakujące byłoby dwadzieścia stopni na plusie. Mamy zimę, to jest i mróz. Czy to dziwne?

Świat zwariował.

Sięgam po kurtkę, by zerknąć, czy faktycznie podjazd prowadzący do mojego domu wciąż pozostaje przejezdny. Dzisiaj można spodziewać się wszystkiego. Z samego rana w pobliskim rowie utknęła ciężarówka wioząca na pace piętnaście ton piachu do posypywania dróg. Chwilę później doszło do drobnej kolizji na śliskiej jezdni, bo zima, jak zawsze, znowu zaskoczyła drogowców. A to nie centrum Krakowa, tylko Tynec. Miejsce, o którym czasami, jak gadają okoliczni mieszkańcy, zapomina sam Pan Bóg.

Otwieram drzwi i czuję powiew mroźnego powietrza. Ostrożnie schodzę w dół, by nie poślizgnąć się na granitowych schodach. Już nieraz miałem okazję przypomnieć sobie tutaj, jak boli obtłuczona kość ogonowa.

Wychylam głowę, by zerknąć za pobliską choinkę i wtedy dostrzegam, że ktoś stoi przy mojej furcie. Gęsty śnieg zdecydowanie utrudnia widoczność. Nie spodziewałem się gości, więc to raczej ktoś od ulotek. Zaśmiecają mi skrzynkę najróżniejszymi ofertami, choć wiem, że to ich robota. Trudno. W taką pogodę szanuję tych ludzi podwójnie.

Droga jest przejezdna, więc mam zamiar wrócić, kiedy nagle stojąca za furką postać wchodzi na teren mojej posesji. I zaczyna truchtem przemierzać chodnik.

Mrużę oczy, by bliżej się jej przyjrzeć, ale spod wielkiego kaptura niewiele zdaje się wystawać.

– Hej! – woła do mnie i macha ręką. – Hej! – ponawia.

Znam ten głos. Kojarzę go i to całkiem dobrze.

Cholera jasna. To ta fryzjerka. Lena. Kiedy ostatni raz ją widziałem, miała zupełnie inną kurtkę. Dlatego jej nie skojarzyłem.

– Co tu robisz? – pytam zdziwiony, kiedy staje tuż przede mną. Zdyszana podnosi twarz i patrzy mi prosto w oczy. Tuż nad szarym szalem widać jej czerwone policzki. Zwariowała, że wybrała się tutaj w taką pogodę. Nietrudno się domyślić, że szła na piechotę.

Nie odpowiada. Zdejmuje z ręki czarną rękawiczkę i sięga do kieszeni. Rozpina suwak i coś z niej wyjmuje.

– Proszę, to twoje – podaje mi pieniądze. Dokładnie taką sumę, jaką zostawiłem dla niej w salonie.

Patrzę na kasę przelotnie, bo nie mam zamiaru po nią sięgać. Nie będziemy się bawić w dziecinne przepychanki.

– A ty dalej swoje – kręcę głową. – Daj już spokój – karcę ją. Niekoniecznie jej się to podoba. Widzę, że jest niecierpliwa. Wkurza mnie. Niepotrzebnie tutaj przylazła. Ilekroć staje na mojej drodze, zawsze robi coś na przekór.

Mija mnie i zdeterminowana maszeruje prosto w stronę mojego domu. Zaskakuje mnie. Odwracam się, by zerknąć, co zamierza zrobić, ale ona tylko otwiera drzwi, wystawia za nie głowę i się schyla. Domyślam się, że zostawiła banknoty na podłodze przedsionka.

Zaraz potem wraca. Oczywiście bez pieniędzy.

Powinienem ją złapać i wcisnąć jej to z powrotem, ale nie mam zamiaru się z nią szarpać. Kto wie, co mogłoby jej jeszcze odwalić.

– Cieszę się, że cię zastałam. Teraz jesteśmy kwita – mówi. Zakłada rękawiczkę. Kieruje się w stronę chodnika i chce odejść.

– Zaczekaj – wołam za nią. Wzdycham, bo ta dziewczyna naprawdę potrafi podnieść mi ciśnienie. Jest, jaka jest. Irytująca jak diabli. Ale jestem człowiekiem i o tym nie zapominam. – Zaraz jadę do roboty, więc cię podrzucę.

– Do roboty? – dziwi się. – Przecież jest niedziela.

– No tak – podnoszę brwi. – Dzień wolny, ale nie od przestępstw.

– A cóż to za przestępstwa mogą dziać się na drodze – ironizuje, jakby celowo chciała mnie podburzyć. Nie dam się sprowokować. – Chociaż raz moglibyście dać ludziom spokój.

Nie wierzę, że to powiedziała.

– Ty tak na poważnie, czy tylko udajesz? – Zaczynam żałować, że zaproponowałem jej podwózkę. – Do twojej wiadomości: też wolałbym siedzieć sobie w domu.

– Nie będę ci współczuć.

– Nikt tego od ciebie nie oczekuje. – To musi być sen. Ciągący się komediodramat, z którego nie potrafię się wybudzić. Do jasnej cholery, w rankingu największych dziwaczek, jakie spotkałem na swojej drodze, przoduje właśnie ona. – Może zakończmy już tę dyskusję – przemawia przeze mnie głos rozsądku. – Odwiozę cię i będziemy udawać, że po prostu się nie znamy.

– Nie mam zamiaru siadać do twojego auta – fuka w moją stronę. Podciąga szal wyżej, by osłonić sobie nos. Nietrudno zauważyć, jak bardzo dokucza jej wiatr potęgujący uczucie chłodu. Czemu znowu się ze mną spiera? – Wiesz, dlaczego? – Milknie na chwilę. – Bo nie ufam twoim kompetencjom – dodaje, a potem z triumfem wymalowanym na twarzy odchodzi.

Zostaję bez słowa. Nawet nie wiem, co jej odpowiedzieć. Chyba przegięła, a mimo to po prostu chce mi się śmiać. Po raz pierwszy od bardzo dawna ktoś tak trafnie mi dokopał. Bo przecież mam stuprocentową pewność, że to odwet. Mała słowna zemsta, całkiem sprytnie wykombinowana.

Wracam do domu, zabieram klucze od auta i zamykam wejściowe drzwi. W taką pogodę naprawdę doceniam garaż, świadom tego, że nie muszę sterczeć przy samochodzie przez dziesięć minut i drapać zamarzniętych szyb. Wsiadam do superby, odpalam silnik i klikam na pilocie guzik otwierający bramę. Gdy pokonuję podjazd i docieram do drogi, rozglądam się. Widzę ją. Idzie bokiem jezdni, grzęznąc na nieodśnieżonym chodniku. Człapie jak jeden z tych arktycznych pingwinów. Ciekawe, czy wciąż jest tak bardzo pewna siebie. Nie muszę jechać szybko, by po chwili znaleźć się tuż przy niej. Nie zdążyła odejść daleko. Latem dystans prowadzący do domu jej ciotki pokonałaby pewnie w piętnaście minut. W taką zimę raczej nie dotrze szybciej niż po półgodzinie.

Zatrzymuję się i otwieram szybę.

Nie jestem pewien, czy tylko udaje, że nie słyszy pracującego obok silnika, czy faktycznie tak jest. W końcu ma na głowie nie tylko czapkę, ale też gruby szal i kaptur.

– Wchodzisz? – wołam, przyciągając jej uwagę.

Odwraca się do mnie całym ciałem. Tylko na parę sekund.

Nawet mi nie odpowiada. Ignoruje mnie i zaczyna maszerować dalej. Krew gotuje mi się w żyłach. Kładę nogę na pedale gazu, mam ochotę go docisnąć i po prostu odjechać. Ale postanawiam dać jej ostatnią szansę.

Auto pozostawione na niskim biegu wolno toczy się dalej. Przez otwartą szybę wpada do środka śnieg. Przełączam wycieraczki, by zaczęły pracować szybciej, bo nie nadążały zbierać sprzed nosa białego puchu. To naprawdę kiepskie warunki do jazdy. A tym bardziej do spacerowania.

– Lena! – wołam ostatni raz. – Bądź rozsądna i wsiadaj. Widzisz, jakie są drogi? Jeśli coś cię jakimś cudem nie rozjedzie, w najlepszym przypadku nabawisz się przeziębienia.

Znowu się odwraca. Patrzy na mnie przez chwilę. Kładzie rękę pod bok, jakby nad czymś mocno się zastanawiała. Rozsierdzona jak diabli robi krok w moją stronę i dosłownie leci na drzwi mojego auta.

Jasna cholera!

Jej ręce zderzają się z czarną karoserią, wywołując przy tym niezły łomot. Wszystko wskazuje na to, że noga utknęła jej w zaspie. W pierwszym momencie panikuję. Odpinam pas i chcę wysiąść, by jej pomóc. Ale dostrzegam, że już sobie radzi. Wstaje, strzepuje śnieg ze spodni i szarpie klamkę.

– Pięknie, kurwa – burczy pod nosem. Jest wściekła. W zasadzie wcale się jej nie dziwię. Za to jej

wybuch frustracji sprawia, że znowu poprawia mi się humor. Za wszelką cenę chcę jednak ukryć rozbawienie. Lepiej nie drażnić wariatki, bo nie mam pojęcia, jak w tym momencie mogłaby zareagować. – Śnieg dostał mi się za rękawiczki. – Zdejmuje je nad wycieraczką, by nie zamoczyć mi foteli. Doceniam to, choć rzeczy materialne, łącznie z autem, już dawno przestały mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

– Zrobiłaś orzełka – komentuję.

– Aniołka – poprawia mnie. – U mnie robiło się aniołki. – Odwracam się w jej stronę i widzę, że się uśmiecha. Przechyliła głowę w tył, opierając się o tapicerkę. Jakby schodziło z niej całe napięcie.

Ma błękitne oczy. I długie, raczej naturalne rzęsy. Nasze spojrzenia się krzyżują, a ja przez tych parę sekund mam wrażenie, że nie jest taka zła, jaką próbuje z siebie robić. Patrzy na mnie, jakby chciała mi coś powiedzieć. Wnętrze samochodu nagle wydaje się jakieś ciasne. Duszne.

Powinienem skupić się na jeździe. Ignorowanie jej będzie dla mnie najbardziej komfortową opcją.

– Wiesz – odzywa się, a więc moje pobożne życzenie legło w gruzach szybciej, niż zdążyło się na dobre narodzić. – Kiedy milczysz, jesteś całkiem fajny.

Przenoszę wzrok z kierownicy na nią. Nawet nie chce mi się tego komentować.

Chyba nie potrafi usiedzieć cicho nawet przez parę chwil. Już nie wspominając o tym, by mogłaby być trochę miłsza. Albo przynajmniej poudawać, że stać ją na odrobinę sympatii.

– Mogłabyś pomyśleć, zanim coś powiesz – odpowiadam jej. – Naprawdę współczuję tym, którzy z tobą mieszkają. Wiem, że nadal jesteś obrażona o to pieprzone cięcie, ale mogłabyś przynajmniej kamuflować się z tą dziecinadą. – Mówię wszystko, co przychodzi mi do głowy. Ma to, czego dokładnie chciała.

– No wiesz! – oburza się. – Po pierwsze, mieszkam sama. – Nachyla się w moją stronę, prawie wisząc nad drążkiem biegów. Mógłbym powiedzieć, że wchodzi w moją przestrzeń, ale pozwalam jej kontynuować. – Po drugie – wylicza – mam gdzieś twoje włosy i twoje zdanie. Sądź sobie o mnie, co chcesz. Że jestem tłukiem, łamagą i że nie znam się na robocie. – Jest rozgoryczona, choć nigdy jej tak bezpośrednio nie nazwałem. – I wiesz co? Ja też mogę myśleć o tobie, co tylko mi się podoba. – Wymachuje rękami. – Że jesteś chamem, gburem i w dodatku gliną! – Niemalże krzyczy, stawiając mój zawód na równi z moimi wadami. – I chyba tylko dlatego, że jeździsz radiowozem, ludzie jeszcze jakoś cię znoszą.

– Serio? – mrużę oczy, doprawdy ciekaw jej spostrzeżeń. Już dawno nikt nie wylał na mnie tak wielu prowokacyjnych i mocnych słów. A wbrew pozorom, w głębi duszy nie mam jej tego za złe. Taki właśnie bywam. Ma rację. Jestem gburem i chamem. No i gliną. Powiedziała to, co czuje i widzi. Kiedy wszyscy wokół starają się mnie pocieszać, przymykając na wszystko oko, ona jedna niczego nie ukrywa. – A ja mam wrażenie, że powód, dla którego mnie znoszą, jest zupełnie inny – stwierdzam.

W aucie zapada cisza.

– Wiem, co cię spotkało. – Lena odzywa się pierwsza. Mówi prawie szeptem, jakby z odrobiną poczucia winy. – Przykro mi – dodaje. Zaskakuje mnie. Sądziłem, że nie ma bladego pojęcia o mojej przeszłości.

Nie odpowiadam. W zupełnym milczeniu podjeżdżamy pod jej dom. W oczy od razu rzucają mi się zawieszane przy dachu lampki i dyndające w oknach świąteczne ozdoby.

– Lampki? Widzę, że nieźle tu sobie radzisz – rzucam na odchodne, by załagodzić ton naszej rozmowy. Co jak co, ale nie chcę mieć w niej wroga. Nie musimy się lubić, ale mieszkając w tak niewielkiej społeczności, jeszcze chyba nieraz będziemy się gdzieś mijać. Chociażby w jej robocie.

– Dzięki – łapie za klamkę. – Zaprosiłabym cię do środka, żeby pokazać ci więcej, ale obcych nie wpuszczam. Kto wie, co może siedzieć im w głowach – dodaje kąśliwie i od razu wychodzi. Zatrzaskuje drzwi i rusza w kierunku swojego domu.

Stoję jeszcze przez chwilę, patrząc, jak szuka kluczy. W końcu wkłada je do zamka, przekręca i otwiera. Ostatni raz zerka w moją stronę. Doskonale zdaje sobie sprawę, że wciąż tutaj jestem.

Dopiero kiedy znika, odjeżdżam i jadę prosto na komendę.

Kilkadziesiąt minut później siedzę już w radiowozie. Kładę czapkę na desce rozdzielczej, kiedy mój kompan siada na fotelu pasażera.

– A co ty taki szczęśliwy, Kuba? – pyta. Zna mnie nie od dziś, choć naprawdę zastanawiam się, o co do cholery mu chodzi.

– Szczęśliwy?

– Nooo – przygląda się mojej twarzy do tego stopnia, że zaczyna mnie to wkurzać. Peszy mnie. Ruszam z miejsca. – Wyglądasz jakoś inaczej – stwierdza.

Nie odpowiadam, bo niby co miałbym mu rzec. Moje życie wcale się nie zmieniło. Wciąż ciągnę za sobą ponure zdarzenia z przeszłości. Ola nie wróciła i nie wróci już do mojego świata. Choroba zabrała mi ją za zawsze. Nie poczuje już, jak to jest dotykać jej ciepłych dłoni. Patrzeć prosto w jej duże, brązowe oczy. Na pewno, kurwa, nie jestem szczęśliwy.

Nie wiem, dlaczego wyglądam inaczej.

Nic nie uległo zmianie. Nic poza tym, że moje drogi wciąż przecina ostatnio dziewczyna bez piątej klepki. Jedyna osoba, która spośród wszystkich nie traktuje mnie ulgowo. Jest szczerą do bólu. I chyba ten nowy rodzaj bólu pozwala mi na chwilę zapomnieć o tym, który od trzech lat permanentnie miażdży moje serce.

ROZDZIAŁ 8

LENA

Znowu sterczę przy oknie. Moje myśli uciekają jednak daleko poza stary dom ciotki. Czuję strach, bo wiem, że w końcu będę musiała powiedzieć rodzicom o zaproszeniu na Wigilię. Święta Bożego Narodzenia zbliżają się bardzo wielkimi krokami. Ostatnio nie potrafimy ze sobą rozmawiać, zwłaszcza z mamą. Od kiedy przestała mnie karcić, pouczać i zniechęcać i od kiedy zrozumiała, że nie wrócę, chyba wyczerpały się jej tematy. A przecież wciąż jestem jej córką. Tymczasem zachowuje się tak, jakby była na mnie obrażona. Czy to źle, że chciałam się usamodzielnic? Nie mogłam przecież całe życie sterczeć przy jej boku, w ciasnym mieszkaniu, gdzie musiałam patrzeć na jej niezadowoloną minę, ilekroć zapraszałam do siebie jakąś znajomą. Czułam się osaczona, więc kiedy pojawiła się opcja wolności, po prostu z niej skorzystałam.

Chce mi się płakać, ale muszę być silna. I muszę w końcu przeprowadzić z nimi tę rozmowę. Zastanawiam się, co zrobię, jeśli nie przyjmą zaproszenia. Przypuszczam, że matka może nalegać, bym to ja przyjechała do nich. Oczywiście się zgodzę. Bo w tym czasie nikt nie powinien być sam. Wszyscy życzymy sobie rodzinnych i pełnych miłości świąt. Takie jest ich znaczenie. Dlatego zrobię wszystko, by moje też takie były. Moje oraz ich, niezależnie od tego, czy do tego czasu zdążą w końcu zaakceptować moją decyzję o przeprowadzce, czy też nie. I niezależnie od tego, gdzie te święta spędzimy.

Patrzę na podwórko. Pan Józef opiera odgarniacz o swój płot i rękami uklepuje śnieg na wielkiej, usypanej przez niego górze. Potem klęka i zaczyna drażyć otwór. Gdźieniedździe konstrukcja nieco mu się wali, ale uparcie się nie poddaje. Domyślałam się, że to igloo dla Janka, jego wnuka. Nietrudno zauważyć, jak bardzo kocha synka Baśki. Pomimo tego, że nie był planowanym dzieckiem, przyjął go i zaakceptował, bo właśnie tak robią bliscy sobie ludzie. Darzą się bezwarunkową miłością i starają się nawzajem wspierać. Ciekawe, co zrobiłaby moja mama, gdybym powiedziała jej, że zostanie babcią? Pewnie na dobre przestałaby się do mnie odzywać. Wolę nawet o tym nie myśleć.

Idę do salonu, zabieram leżący na stole stary pamiętnik ciotki i niespiesznie przemieszczam się w kierunku kozy, do której oszczędnie wrzuciłam jeden z ostatnich kawałków drewna. Jeśli trochę odbiję się od dna, postaram się o inny rodzaj ogrzewania. Tymczasem nie mam zbyt wielu perspektyw.

Siadam przed rozgrzanym piecykiem, otwieram zeszyt i przewracam kartkę. Docieram do następnego w kolejności wpisu i zaczynam czytać.

2 GRUDNIA 1998

SIEDZIELIŚMY PRZY STOLE I JEDLIŚMY OBIAD. TO RZADKOŚĆ PODCZAS ROBOCZEGO TYGODNIA, BO ZAZWYCZAJ PO PROSTU SIĘ MIJAMY. MAMY ŚRODĘ, A NA POLU PANUJE TAKI MRÓZ, ŻE POZAMARZAŁY ISTOTNE CZĘŚCI LINII PRODUKCYJNEJ I WLEPILI NAM PRZYMUSOWE WOLNE. ALE W CIĄGU OSTATNICH DNI DZIEJE SIĘ WIELE RZECZY, KTÓRE WYKRACZAJĄ POZA GRANICE NORMALNOŚCI. MAGIA ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ ŚWIĄT, MOŻNA BY POWIEDZIEĆ. CHOĆ MAM WRAŻENIE, ŻE Z MAGIĄ MA TO NIEWIELE WSPÓLNEGO.

CZUŁAM NA SOBIE JEGO WZROK, KIEDY JADŁAM. CELOWANIE ŁYŻKĄ W USTA JESZCZE NIGDY NIE SPRAWIAŁO MI TYLE TRUDNOŚCI. WIDZIAŁAM, JAK TRZĘSĄ MI SIĘ RĘCE. NIE CHCIAŁAM, BY KTOŚ TO ZAUWAŻYŁ, WIĘC STWIERDZIŁAM, ŻE SIĘ NAJADŁAM, NIM NA DOBRE ROZPOCZĘŁAM OBIAD. ŻOŁĄDEK SKRĘCAŁ MI SIĘ W SUPEŁ.

MAMA SPYTAŁA MNIE ZATROSKANA, CZY ABY NA PEWNO NIE JESTEM CHORA. TO BYŁ DLA MNIE ZNAK, ŻE POWINNAM LEPIEJ UDAWAĆ. ALE TO NIE BYŁO TAKIE PROSTE, KIEDY W NOCY NIE ZMRUŻYŁAM OKA.

POTEM ZNÓW WYBUCHŁA RODZINNA SPRZECZKA. NA SZCZĘŚCIE BEZ MOJEGO UDZIAŁU. NIE CHCIAŁAM TEGO SŁUCHAĆ. POSZŁAM DO SIEBIE, ZACZĘŁAM SPRZĄTAĆ I PRAKTYCZNIE ZAJĘŁAM RĘCE PRZYGOTOWANIAM I DO ŚWIĄT. ROZWIESZONE NA SCHODACH GIRLANDY JESZCZE NIGDY NIE BYŁY ROZKŁADANE PRZEZE MNIE Z TAKĄ PIECZOŁOWITOŚCIĄ. PRZECIAGAŁAM WSZYSTKO, BYLEBY TYLKO UNIKAĆ DOMOWNIKÓW I SKUPIAĆ SIĘ NA ROBOCIE. PRZED CHWILĄ, NIM ZACZĘŁAM PISAĆ, SKOŃCZYŁAM

SZOROWAĆ ŁAZIENKĘ. TAK PLANUJĘ DOTRWAĆ DO WIECZORNYCH RORAT. PO PRZYJŚCIU Z KOŚCIOŁA PÓJDĘ SPAĆ. A JUTRO PÓJDĘ DO PRACY I WSZYSTKO WRÓCI DO NORMY.

~~EMOCJE ZARAZ ROZSADZĄ MI GŁOWĘ. JUŻ PO DWUNASTEJ. TAK BARDZO TRZĘSIE MI SIĘ RĘKA.~~

Zerkam na pokreślone słowa. Tak rozmazane, że ledwo udaje mi się je rozszyfrować. Wynika z nich ewidentnie, że coś musiało się wydarzyć. Ogarnia mnie niepokój. Emocje ciotki mają na mnie zupełnie nieprzewidywalny wpływ. Nieco poniżej zostało zapisane jeszcze jedno słowo. Tak zakreślone, że nie udaje mi się go odczytać. Pod tą datą Maryla nie zapisała już nic więcej. Szkoda. Ciekawe, o jakich emocjach nie zdecydowała się więcej wspomnieć. Czuję niedosyt, jakby ktoś w połowie przerwał całkiem intrygującą opowieść. Przewracam kolejną stronę i po prostu zaczynam czytać.

3 GRUDNIA 1998

SŁYSZĘ, JAK SIĘ ŚMIEJĄ. TYM BARDZIEJ ZŻERA MNIE POCZUCIE WINY. I COŚ JESZCZE. NIE POTRAFIĘ TEGO NAZWAĆ. NIE CHCĘ WSTAWAĆ Z ŁÓŻKA, CHOĆ WIEM, ŻE ZARAZ BĘDĘ MUSIAŁA SIĘ Z NIMI SKONFRONTOWAĆ. SIEDZĘ Z PODGIĘTYMI NOGAMI I PISZĘ NA KOLANACH. A MOŻE TO, CO WYDARZYŁO SIĘ W NOCY, BYŁO TYLKO SNEM? CHCIAŁABYM TO SOBIE WMÓWIĆ. A JEDNAK JEDYNA PRAWDA JEST TAKA, ŻE WCZORAJSZEGO WIECZORU BYŁ W MOJEJ SYPIALNI. PRAWDZIWSZY NIŻ JAKIKOLWIEK SEN.

KIEDY ZAPUKAŁ DO MOICH DRZWI, LEŻAŁAM JUŻ POD GRUBĄ KOŁDRĄ. Z WŁOSAMI PO TRWAŁEJ ONDULACJI ROZSYPANYMI WOKÓŁ TWARZY. POWIEDZIAŁ, ŻE SZUKA SWOICH OKULARÓW. CHCIAŁ POCZYTAĆ, BO NIE BYŁ W STANIE ZASNAĆ. GŁUPI POWÓD, NIELOGICZNY, BO NIBY CO JEGO OKULARY MIAŁYBY ROBIĆ U MNIE? WSZEDŁ DO ŚRODKA, CHOĆ WYRAŹNIE POWIEDZIAŁAM, ŻE NICZEGO TUTAJ NIE ZNAJDZIE. NICZEGO. MIAŁAM WRAŻENIE, ŻE TO SŁOWO ODPOWIEDNIO WYBRZMIEWA W MOICH USTACH. STAŁ I PATRYŁ NA MNIE TAK, JAK PRZEDWCZORAJ, KIEDY SĄDZIŁAM, ŻE TO WSZYSTKO MOŻE BYĆ TYLKO WYNIKIEM ALKOHOLEWEGO UPOJENIA. TERAZ BYŁ CAŁKIEM TRZEŻWY.

KAZAŁAM MU IŚĆ, TŁUMACZĄC, ŻE TO ŹLE WYGLĄDA. CZUŁAM SIĘ WINNA JEGO OBECNOŚCI, CHOĆ TAK NAPRAWDĘ WCALE DO NICZEGO NIE DOSZŁO. MIAŁAM MĘTLIK W GŁOWIE. JUŻ SAMA NIE WIEDZIAŁAM, CZY NIE WYOBRAŻAM SOBIE ZBYT WIELE. WTEDY POWIEDZIAŁ, ŻE GDYBY MOŻNA BYŁO COFNAĆ CZAS, PODJĄŁBY ZUPEŁNIE INNĄ DECYZJĘ. NIE WIEDZIAŁAM, O CZYM MÓWI, ALE JEGO WZROK TŁUMACZYŁ WSZYSTKO. DOMYŚLIŁAM SIĘ, ŻE MÓWIŁ O NAS. O NASZEJ PIERWSZEJ RANDCE. O NASZEJ MIŁOŚCI, KTÓRA W REZULTACIE ZAKOŃCZYŁA SIĘ SPEKTAKULARNYM FINAŁEM. ZOSTAWIŁ MNIE DLA NIEJ. STASZEK ZOSTAWIŁ MNIE DLA KRYSI. TO BYŁ DLA MNIE CIOS, PO KTÓRYM NIE BYŁAM W STANIE SIĘ POZBIERAĆ.

ALE PRZETRAWIŁAM TO. I TAK MIAŁO ZOSTAĆ NA ZAWSZE.

RAZ ZŁOŻONA PRZED OŁTARZEM PRZYSIĘGA MIAŁA TRWAĆ AŻ PO ŚMIERĆ. NIE WOLNO BYŁO JEJ NIKOMU ZŁAMAĆ. ANI JEMU, ANI TYM BARDZIEJ MNIE.

Jezus Maria!

Zatrząskuję notatnik z hukiem. Czuję się tak, jakbym dostała obuchem w głowę.

Nagle dociera do mnie to, czego już zdążyłam się domyślić. Ale odpychałam od siebie tę wizję tłumaczeniem, że może jestem w błędzie. Że może nie powinnam się tak zapędzać. Teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Stanisław to mój tata. Ciotka przez cały czas pisała właśnie o nim.

Boże Święty.

Jestem wściekła. Wyobrażam sobie, co musiałyby czuć moja mama, gdyby wiedziała, że ojciec zalecał się do Maryli. A może to było powodem ich zwady? Może jakoś się dowiedziała i dlatego zerwali kontakt? To przecież bardzo prawdopodobne. Zaciskam oczy. Muszę ochłonać. Zbyt wiele informacji jak na jeden dzień. Zaczynam rozumieć, dlaczego mama nazywała swoją siostrę wariatką. Pewnie ją za to znienawidziła.

A ojciec? Nic z tego nie rozumiem. Przecież też brał w tym wszystkim udział. Musiał opamiętać się na czas.

Zerkam na leżący obok mnie pamiętnik z autentyczną odrazą. Nie powinnam była tego czytać. Nigdy! To jakieś bzdury. A może ciotka to wszystko sobie wymyśliła? Kto wie, może faktycznie nie była do końca normalna?

Rozglądam się dookoła. Jeśli jednak słowa zapisane w pamiętniku są prawdziwe, to wszystko działo się właśnie tutaj. Pomiędzy ścianami tego budynku.

Zaczynam mieć do siebie pretensje. Targają mną wyrzuty. Może nigdy nie powinnam była tutaj przyjeżdżać? Jakoś mi ciężko. Smutno.

Tak bardzo chciałabym teraz przytulić mamę. Powiedzieć jej, że o wszystkim wiem. Że rozumiem, dlaczego nigdy nie wracała do Tyńca.

Sięgam po telefon. Wybieram numer do rodzinnego domu. Pomimo tego, że oboje rodzice mają komórki, wciąż nie zrezygnowali ze stacjonarki. Na wszelki wypadek, jak mówią. Cokolwiek to znaczy. Mój kciuk zastyga nad nazwą „dom”. W głowie pojawia się kompletna pustka. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie wiem, co tak naprawdę miałabym mamie powiedzieć. Że odkryłam stary notatnik, w którym Maryla opisuje jakieś umizgi ojca? Przecież mogę wywołać tym tylko wielką burzę. Jeśli matka nigdy nie dowiedziała się o opisanych w pamiętniku sytuacjach? Przecież nie doczytałam go do końca. Do diabła, zerknęłam raptem w trzy dni z życia Maryli. Trzy dni! A jest ich znacznie więcej.

Postanawiam ostygnąć.

Zadzwonię jutro. Przemyślę to wszystko na chłodno. Tak będzie lepiej.

Liczę na to, że czas pozwoli mi jakoś poukładać to sobie w głowie.

Nie mam bladego pojęcia, że jutro zupełnie stracę nad wszystkim kontrolę.

ROZDZIAŁ 9

LENA

W pubie przy ulicy Świętego Tomasza krząta się wielu ludzi. Nie bez przyczyny mówi się, że Kraków nigdy nie śpi, nawet tuż po weekendzie. Nigdy nie byłam w tej knajpie, ale Marika powiedziała, że mają tutaj dobre i w miarę tanie drinki. Tanie, choć to pojęcie względne. Dla osób, które starają się odłożyć jakiś grosz na boku, a chcą zwyczajnie odreagować, pozostają inne, budżetowe opcje. Siedzę właśnie przy kolejnym kieliszku, wylewając Marice swoje żale. Czuję, jak dwa poprzednie szoty powoli docierają do mojego mózgu. I wpływają na jego pracę. Mam nadzieję, że to trochę ukoi moje nerwy. Kiedy Marika zobaczyła mnie dzisiaj w pracy, stwierdziła, że koniecznie powinniśmy gdzieś wyjść i pogadać. Wyglądałam tragicznie i tylko dzięki niej jakoś udało mi się przetrwać ten poniedziałek. Za wszelką cenę próbowałam udawać przed klientami, że wszystko jest w porządku. Choć moje przekrwione, zażawione oczy mówiły coś zupełnie innego.

– Jak oni mogli mi to zrobić – opuszczam głowę, kiedy nachodzi mnie kolejna fala rozpaczy. Marika łapie mnie za rękę. – Zawsze spędzaliśmy Wigilię razem. Zawsze. – Użałam się nad sobą jak ostatnia ofiara. Ale wizja samotnych świąt po prostu mnie przeraża. Jest czymś niewyobrażalnym. Rodzice nie tylko nie przyjęli zaproszenia, ale wymyślili coś znacznie gorszego. Kiedy matka poinformowała mnie, że zapisali się z ojcem na wigilijny wyjazd w Bieszczady, sądziłam, że żartuje. Nigdy dotąd nie rwali się na żadne wycieczki. A zwłaszcza w grudniowe dni, kiedy całą trójką zasiadaliśmy wspólnie do wigilijnej kolacji. – Wiesz, co jest najgorsze? – pytam retorycznie. – Ton, jakim to powiedziała. Że ma już dość pichcenia w czasie, kiedy jej też należy się odpoczynek. Jakby przez te wszystkie lata robiła to tylko dla mnie. Z musu. Jakbym to ja ją ograniczała. – Już sama nie wiem, co o tym myśleć. A może tak się właśnie czuła? Przecież nie zostawała z gotowaniem sama. Staralam się jej pomóc, na tyle, na ile mi pozwalała. Często słyszałam, że mam sobie odpuścić, bo tylko ona wie, jak ugotować coś tak, jak akurat trzeba.

– Nie powinna mówić ci takich rzeczy – Marika przysuwa się w moją stronę, kiedy niedaleko niej, przy ladzie, dosiada się jakiś nieznajomy chłopak.

– Czuję się winna. Nasza rodzina powoli się rozpada – kończę, a mój głos zaczyna się łamać. Sięgam po kieliszek. Nie pamiętam, kiedy ostatnio piłam. Chyba na urodzinach mojej znajomej, kiedy kończyła dwadzieścia jeden lat. Trochę czasu zdążyło już zatem upłynąć. Mam słabą głowę. A ta już zaczyna dawać mi się we znaki.

– Przestań się obwiniać. Nie chcę się mądrzyć, ale mama chyba wciąż nie potrafi pogodzić się z twoim odejściem. Może nadal próbuje jakoś grać na twoich emocjach. Sama nie wiem – tłumaczy. – Nie możesz mieć sobie za złe, że chciałaś się usamodzielnic. Przecież rodzice nie są zniedołężniali. Nie potrzebują twojej pomocy – stwierdza.

To, co mówi, ma sens. Zdaję sobie z tego sprawę. A jednak słowa niczego nie zmieniają. Możemy sobie pogadać, a na koniec i tak zostanę sama. Tyle na ten temat.

– Wiem – na moment zamykam oczy.

Obraz dookoła mnie zaczyna stawać się niestabilny.

– Pozwól czasowi upłynąć. Zobaczysz, jeszcze wszystko się poukłada – stwierdza na pocieszenie, kolejny raz ściskając mnie za dłoń. Potakuję, bo przecież nie chcę w kółko zasypywać ją swoimi problemami. I tak wystarczająco długo znosi mój paskudny humor.

Czas przeminie. Świąta też. Choć będą chyba najsmutniejszymi świątami w moim życiu. Upiekę sobie rybę, zrobię zupę grzybową, odpalę świeczki. A następnego dnia pójdę połamać się opłatkiem z panem Józefem i jego rodziną. By choć przez chwilę mieć do kogo otworzyć gębę.

Walczę ze sobą, by nie pozwolić wypłynąć kolejnej porcji łez. Czas się rozchmurzyć.

– Już wszystko w porządku? – pyta Marika.

– Jest okej – kłamię i ona dobrze o tym wie. Uśmiecham się do niej słabo.

– Tylko nie przeginajmy z tym alko. Wiesz, że jutro musimy być w robocie. Szefowa wylałaby nas na zbity pysk, jeśli przez naszą nieobecność klienci zostaliby odprawieni z kwitkiem.

– Wiem – odpowiadam automatycznie, choć tak naprawdę myślami jestem zupełnie gdzieś indziej.

Jutrzejszy dzień pracy jest chyba ostatnim, co przychodzi mi teraz do głowy.

W pubie panuje gwar. Na wiszącym na ścianie telewizorze właśnie rozgrywany jest jakiś ligowy mecz. Znam kilka drużyn, bo mój tata jest wielkim fanem futbolu. Kiedyś ponoć grał w lokalnej drużynie. Zanim się urodziłam.

Stanisław Marczuk. Mój tata.

Facet z pamiątnika.

Znów staje mi przed oczami zielony zeszyt cioci.

– Lena – zagaja Marika. – Lena! – upomina mnie kolejny raz. Słyszę, że mnie woła, a jednak na moment się zawiesiłam. Patrzę na nią, więc kontynuuje. – Zerknij za chwilę przez ramię na lewo. Ale za chwilę, żeby nie było, że o nich gadamy. – Dla zmyłki Lena zaczyna grzebać w torebce, jakby poruszała w tym momencie zupełnie inny temat. – Dwóch typów siedzących przy stoliku co chwila tutaj spogląda. Chyba o nas gadają i jakoś nieszczególnie próbują się z tym kryć. W tym momencie również. – Milknie. – Może po prostu skądś ich znasz?

Czekam jeszcze kilkadziesiąt sekund i niepozornie taksuję wzrokiem całe towarzystwo. Nietrudno odgadnąć, o kim mi mówiła. Szczupły, ciemnowłosey, z delikatnym zarostem dosłownie przejmuję moje spojrzenie. Wstaje jak za zawołaniem. Czym prędzej odwracam się do Mariki. Choć mam wrażenie, że może już być za późno.

– No i zajebicie – mruczy Marika pod nosem, a to znak, że obiekt naszej rozmowy faktycznie do nas zmierza.

– Idzie tu? – pytam, nie odwracając się. Marika nie odpowiada. Patrzy za to na barmana, jak gdyby nigdy nic.

– Hej – męski głos rozlega się tuż obok mojej głowy. A zaraz po nim drugi. Nie mogę udawać, że tego nie słyszę. Nie jestem głucha i nie uciekłam z epoki kamienia łupanego, by chować się po kątach. Potrafię się zachować pomimo tego, że towarzystwo jakichś typów nie jest mi teraz potrzebne do szczęścia.

– Cześć – odpowiadam krótko, zerkając na nich obu. Ciemnowłosey, który na nas patrzył, jest nieco wyższy od swojego znajomego. Drugi jest łysy, choć powiedziałabym, że ma za to bardziej męskie rysy twarzy.

– Co takie dwie piękne dziewczyny robią tutaj same? – pyta.

– Siedzą, po prostu. Coś w tym dziwnego? – Wzruszam ramionami. Kiepska zaczepka. – To nie Afganistan czy Irak, że można poruszać się po takich miejscach tylko w towarzystwie faceta – rzucam mu kąśliwie.

– Oj, dziewczyno. Tam to za wejście do takiego miejsca chyba zwyczajnie by cię ukamienowali. – Nie obraża się. Wciąż sprawia wrażenie bardzo pozytywnie do nas nastawionego. – Nie wspominając o tym, że musiałabyś paradować w tym ich dziwnym, zabudowanym stroju, a ja nie miałbym okazji zobaczyć, jaka jesteś śliczna – wali bez ogródek i wkłada ręce w kieszenie. Wygląda na pewnego siebie. Aż za bardzo. Czas podciąć mu skrzydła.

– Jasne – pryham. Komplementy takie jak te mają na mnie kiepski wpływ. Nigdy nie wiem, jak się zachować. – Gdzie nauczyłeś się tego tekstu? Bo nie wyglądasz na tak sprytnego, by samemu to wymyślić – próbuję go splawić. Mam nadzieję, że sobie pójdzie. Widzę, że jego towarzystwo nie jest Marice na rękę. Mnie również.

– Nooo – przeciąga – powiem ci, że przeczytałem kilka poradników typu „Najlepszy sposób na podryw”. Ale w żadnym z nich nie pisali, jak reagować na tak odporne zachowanie. Chyba będę musiał improwizować – wciąż się śmieje. – Darek! – woła w stronę barmana i podnosi rękę w górę. – Dwa Black Russian dla tych pań. I dwa dla nas. Zdaje się, że przy tej znajomości bez procentów się nie obejdzie – patrzy na mnie zalotnie. Jakby był z siebie dumny.

– Chyba się, cholera, przesłyszałam – komentuje Marika pierwszy raz, odkąd tu przyszli. Podnosi brwi i patrzy na mnie wyczekująco. Powinnam coś powiedzieć, choć wszystkie cięte riposty właśnie poszły gdzieś w las. Zostałam z niczym.

– Nie przesłyszałaś się – tłumaczy jej mój dotychczasowy rozmówca. – Tak w ogóle, jestem Natan, a to Artur – podaje rękę najpierw w moją stronę, potem w stronę Mariki. – Po prostu lubię wyzwania, a tutaj zanoszą się na jedno z nich – szepcze mi nad uchem, a ja toczę wewnętrzną walkę. Chęć rychłego zwiania z tego miejsca bije się z ciekawością. Wiem, że jeśli wrócę do domu, znów zacznę rozdrapywać słabo zagojone rany. Tutaj mogę na chwilę o wszystkim zapomnieć. Może nie będzie tak źle.

– Zamykamy! – stojąca przed nami starsza kobieta znowu zaczyna nam grozić. – Dzisiaj mamy otwarte tylko do dwunastej. Już pierwsza. Ile razy mam wam powtarzać! – grzmi.

– Spokojnie, szefowo – Natan uspokaja, próbując poprawnie się wysławić. Chce mi się śmiać. Wkurzona baba robi naprawdę zabawną minę. Przyglądam się jej, myśląc, ile może mieć lat. Pięćdziesiąt? Czterdzieści. Kurde. Jej twarz trochę mi się rozmazuje. Opieram głowę na dłoni. Chyba nie będę w stanie się podnieść. Trochę lipnie.

W pubie jest kompletnie cicho. Wszyscy wyszli. Łącznie z barmanem. No może poza nami. I szefową. W tym momencie słyhać tylko ją. Mogłaby być trochę ciszej. Kiedy tak wrzeszczy, strasznie boli mnie głowa.

– Zaraz wezwę policję – hardo wyciąga telefon. Chyba sobie żartuje. Jaką policję? Przecież nie jesteśmy przestępcami.

– A dzwoń – Artur zaczyna się z niej śmiać.

– Wezmą nas na wytrzeźwiałkę. To nie jest tani szpas – w Natanie odezwał się głos rozsądku. Choć sam ledwo skleca zdanie. Wcześniej, kiedy wychodził do toalety, musiał trzymać się ściany. Nie wiem, czy teraz gorzej z nim, czy lepiej. Ale dobrze nie jest. Z żadnym z nas.

– Nie możecie po prostu wyjść? – piekli się kobieta. – Do kurwy nędzy!

Zaczynam się jej bać. Jest wściekła.

Próbuję wstać. Podpieram się o stół, ale czuję, jakby ktoś przygwoździł mnie do siedzenia. Przegrywam z grawitacją. I to wszystkie trzy razy. Siadam kompletnie bezradna.

– Nie potrafię – bełkoczę. Naprawdę płacze mi się język. To tylko ją podburza.

– Dzwonię! – krzyczy. Natan cudem się dźwiga.

– Ja znam jednego policjanta – dukam. – No nie, Marika? – próbuję zachować powagę, a mimo to wybucham śmiechem.

Jestem zalana. Już dawno tak się nie urządziłam.

– Mam jego numer – chichocze.

– Masz? – dziwię się. – Serio? – Przez pewien czas myślę, że żartuje.

– Mam, bo kiedyś musiałam do niego zadzwonić, żeby przesunąć wizytę – tłumaczy, wysławiając się znacznie lepiej niż ja. A przecież piła tyle samo. To niesprawiedliwe.

– To zwoń do niego – dukam. – To znaczy dzwoń – poprawiam się, choć to słowo w moich ustach wciąż brzmi dziwnie. Jezu, co za wstyd.

Marika patrzy na mnie nieobecnym wzrokiem. Waha się. Właścicielka znowu zaczyna nas straszyć.

– No nie wiem – mamrocze, jednocześnie sięgając po leżący na stole telefon. Przysuwa go bliżej. A potem to już tylko wzrusza ramionami i reszta idzie jak z płatka. Klika coś po ekranie, przyciska komórkę do ucha i po chwili zaczyna mówić.

ROZDZIAŁ 10

Jakub

Budzik?

Ze snu wrywa mnie telefon. Sięgam ręką do szafki nocnej, by wyłączyć alarm. Po omacku przesuвам dłonią po blacie i w końcu natrafiam na urządzenie. Jestem półżywy. Nawet nie podnoszę głowy z poduszki.

Znowu zaczynam odpływać. Ale dzieje się coś bardzo dziwnego. Otwieram oczy. Odwracam głowę w bok i nasłuchuję.

Cholera.

Dochodzą do mnie jakieś głosy. Skąd? Przecież idąc spać, na pewno wyłączyłem telewizor. A może nie? Ktoś wypowiada moje imię.

Podnoszę się i opieram na łokciach. Ekran mojej komórki wciąż się świeci. Naciągam się, by na niego zerknąć i wtedy zauważam, że wyświetla się na nim czerwony przycisk służący do zakończenia połączenia. A to może oznaczać tylko jedno. Że przed chwilą musiałem je odebrać. Ktoś czeka na linii.

To nie był budzik. Łapię telefon i przeżywam kolejne zdziwienie. Dzwoni do mnie salon fryzjerski. I to o godzinie pierwszej w nocy. Co jest grane?

Ktoś musiał niechcący wybrać połączenie. Nieświadomie nacisnął nie ten numer.

Albo coś musiało się stać. Momentalnie siadam.

– Słucham? – pytam, próbując jak najszybciej oprzytomnieć. Mechanicznie przeczesuję ręką włosy.

– Jakub? – słyszę kobiecy głos i jakieś śmiechy.

– Z kim rozmawiam? – pytam, bo nie jestem pewien, czy to Sylwia, właścicielka salonu, czy może Marika.

– Marika – odpowiada. – Sorki, że o tej porze – tłumaczy trochę niewyraźnie. – W prywatnej sprawie w dodatku, ale potrzebujemy tutaj policjanta.

– Co się stało? – pytam. Wydaje mi się, że jest nieźle nabzdryngolona, ale nie mogę mieć pewności.

– Utknęliśmy w pewnym miejscu. W dodatku jedna pani straszy nas glinami.

Nie wiem, o czym mówi i nie jestem pewien, czy powinienem interweniować. To chyba nie jest moja sprawa. Choć znam Marikę i wiem, że miła z niej dziewczyna. Parę razy załatwiła mi termin na strzyżenie poza kolejką.

– Marika – wzdycham. Naprawdę jestem w kropce. – Gdzie jesteś? – pytam, chyba niepotrzebnie robiąc jej nadzieję.

– W pubie przy świętego Tomasza. Wiesz, tym popularnym – bełkocze. – Proszę, przyjedź tu po nas. Zgarną nas na izbę wytrzeźwień – próbuje wzbudzić moją litość. Szczerze powiedziawszy, tylko się pograża. Naprawdę nie potrzebuję dodatkowych problemów, a już na pewno wożenia tyłka nietrzeźwej dziewczynie.

No i co ja mam teraz zrobić?

Kurwa mać – syczę w myślach.

Opuszczam telefon w dół. Rewelacja.

Oddycham naprawdę ciężko. Wciąż słyszę jej lament. Jeśli nie pojedę, będę zastanawiał się, czy na pewno nie potrzebowała mojej pomocy. Nie ma najmniejszych szans, by udało mi się ponownie zasnąć.

– Dobra – mówię do telefonu. – Zaraz tam będę – kończę szorstkim tonem.

Zakładam dresowe czarne spodnie i szarą bluzę z kapturem, narzucam na siebie czarną bomberkę, biorę kluczyki, zamykam dom i wychodzę. Jest naprawdę zimno, co tylko pogarsza moje nastawienie do całej sytuacji.

Jestem zły, a mimo to wsiadam za kierownicę i jadę. Bo o ile mam naprawdę gdzieś, co ludzie o mnie sądzą, tym, którzy potrzebują pomocy, nie potrafię odmówić. Nawet jeśli w grę wchodzi mocno wstawiona znajoma.

Niecałe pół godziny później znajduję się już na miejscu. Parkuję wzdłuż drogi i już wiem, że coś musi być na rzeczy. Pozostawiony przy jezdni radiowóz jak gwiazda betlejemska wskazuje mi drogę do celu. Za kierownicą nie ma już funkcjonariusza, wychodzi na to, że troszkę się spóźniłem.

Otwieram drzwi do pubu i wchodzę. Już przy wejściu słyszę głośną konwersację. Próby przekrzykiwania się i pijacki bełkot jakiegoś faceta. Po chwili wszystko nabiera sensu, a moim oczom ukazuje się całkiem ciekawa scena.

– Dobry wieczór – zwracam na siebie uwagę.

Marika przytrzymująca się tapicerki skórzanej kanapy stoi obok jednego z policjantów i gestykułuje. Tuż przy niej jak ta katarynka trajkoce coś starsza, nieźle podburzona kobieta.

– Jakub? – jeden z policjantów patrzy w moją stronę. To Bartek. Witam się z nim i z jego młodszym kolegą.

– We własnej osobie – rozkładam ręce na boki.

– Co tutaj robisz? Ciebie też wezwali? – wygląda na skołowanego.

– Można tak to ująć. – Zastanawiam się, jak to rozegrać. – Tyle że nieoficjalnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – dopytuje.

– To, że po prostu ją znam. – Wskazuję na Marikę. Tak naprawdę przyjechałem tutaj tylko z jej powodu. Reszta znajomych w ogóle mnie nie obchodzi. Niech zrobią sobie z nimi, co tylko zechcą. Zerkam na pozostałe towarzystwo. Chyba nieźle się tutaj dzisiaj zabawili. Na dwóch facetów... I na dziewczynę. Jasna cholera! Przecież to Lena. – Jakież to oczywiste – parskam, patrząc jej prosto w twarz. Mogłem się tego domyślić. Problemy nie biorą się znikąd. Są tam, gdzie pojawia się ona.

– Znam czy nie znam – wtrąca starsza pani, która przysłuchuje się naszej rozmowie. To najwyraźniej menedżerka albo właścicielka. – Mnie to nie interesuje. Ja tylko chcę, żeby oni zniknęli z mojego lokalu. Już dawno jest zamknięte! Przecież nie mogę ich tutaj zostawić do rana – jest rozgoryczona i w zasadzie nie ma się jej co dziwić.

– Oczywiście – tłumaczy Bartek. Potem na mnie zerka. – Co proponujesz? Twoja znajoma jest dzisiaj bardzo uciążliwa.

– Zabiorę ją do domu – odpowiadam.

– A reszta? – chce się upewnić.

– Z resztą zróbcie, co uważacie. Nie znam ich.

– Panie władzo, my sobie grzecznie pójdziemy – ożywa jeden z mężczyzn, domyślając się, że jednak będzie musiał ponieść jakieś konsekwencje.

– Jasne. Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej – Bartek uśmiecha się pod nosem. Jest w dobrym humorze, co nie zmienia faktu, że faceci trafią na dość kosztowny nocleg. Ze standardem raczej nie odpowiadającym cenie.

– A ja? – Lena wygląda, jakby przejechał po niej czołg. Nietrudno się domyślić, że również nie należy do trzeźwych.

– Panie władzo, czy ona może pojechać z nami? Byłoby nam przynajmniej raźniej – jeden facet z tego całego ledwo kontaktującego towarzystwa wskazuje na nią ruchem głowy. Rechocze, jakby było z czego. Zaczyna działać mi na nerwy. Tymczasem Lena nie zwraca na niego uwagi. Tak wiele miała ostatnio do powiedzenia. Teraz patrzy tylko na mnie, jakby na coś czekała.

Wzdycham.

– Ją też zabieram – oznajmiam. Patrzę na Bartka, mając nadzieję, że nie będzie miał nic przeciwko.

– To też twoja znajoma? – pyta z kpiącym uśmiechem.

– Za dużo powiedziane. Ale uwierz mi, jeśli ją zabiorę, wyświadczę wam wielką przysługę. – Kręcę głową, bo zdaję sobie sprawę, jak uciążliwa będzie nawalona Lena, skoro na trzeźwo wydaje się nie do zniesienia.

– Naprawdę? – Lena próbuje wstać. Podpiera się rękami o blat, ale proste czynności przychodzą jej z wielkim trudem. Nagle wszyscy patrzą tylko na nią. Kiedy w końcu udaje się jej wyprostować, stoi tak może maksymalnie z pięć sekund. Ani trochę więcej. I z powrotem spada na tyłek. Jęczy. Kładzie łokcie na stole, chowa głowę w dłoniach i zaczyna głośno płakać.

– Ja pierdolę – mruczy Bartek pod nosem.

– Pięknie. Taką mamy dzisiaj młodzież – komentuje starsza pani. – Choć wiele rzeczy już tutaj widziałam.

Zaczynam tracić cierpliwość. Szkoda na to czasu. Już chyba wszyscy mamy tej sytuacji serdecznie dość.

– Chodź, Marika – oznajmiam. Potem podchodzę do Leny i próbuję ją podnieść. Jest kompletnie bezwładna, więc w niczym mi nie pomaga. Łapię ją w okolicach talii, wyszarpuję zza stołu i przerzucam sobie przez plecy.

– Jezus Maria. Jestem do góry nogami – stwierdza tylko, nawet nie próbując się bronić. Zerkam na Marikę, żeby się upewnić, czy będzie w stanie poradzić sobie sama. Potem wychodzę z nimi obiema.

– I co ja mam z tobą, do cholery, zrobić? – odwracam się i zerkam na Lenę leżącą na kanapie mojej supry. Przez chwilę zastanawiam się, czy w ogóle żyje. Podczas gdy jej koleżanka nadawała przez całą trasę jak odbiornik radiowy, ona sama po prostu wyłączyła się z rozmowy. A to do niej zupełnie niepodobne.

Mam konkretną zagwozdkę i to na własne życzenie. Dlaczego? Marika mieszka z rodziną. Właśnie odjeżdżam spod jej domu. Ma rodziców i dwóch starszych braci. Gdyby coś jej się stało, będzie miał jej kto pomóc. Lena jest sama. Wystarczy, że pójdzie do łazienki, straci przytomność i rozwali głowę. Wziąłem za nią odpowiedzialność, a teraz czas na konsekwencje. Nieco podenerwowany wrzucam kolejny bieg i wciskam gaz.

Słyszę, że dziewczyna mamrocze coś pod nosem.

– Słucham? – dopytuję.

– Porzuć mnie, wiesz... w progu drzwi – nieskładnie skleca zdanie. – Doczołgam się do łóżka sama. Słowo... no... – milknie. – Jak to było? Harcerza – kończy. Robię duże oczy i drapię się po brodzie. Naprawdę jest coraz gorzej. Z drugiej strony, nie wiem czemu tak się tym przejmuję. Przecież nie jestem jej niańką. Nie ze mną piła, bym musiał o nią zadbać.

Skręcam w lewo, kierując się w stronę jej domu. Mam nadzieję, że nie zgubiła kluczy, choć widziałem, że ma ze sobą torebkę. Pewnie tam je trzyma. Dyndała na jej ramieniu, kiedy próbowałem jakoś usadowić ją w samochodzie.

– Panie policjancie – znowu zaczyna. Odwracam się profilem w jej kierunku, by lepiej słyszeć. – W skali od jeden do dziesięciu albo, albo – cichnie i nad czymś się zastanawia – albo lepiej do stu, jak bardzo się skompromitowałam?

Ciężko znaleźć odpowiednią skalę. Mogłaby nadal milczeć, bo im więcej gada, tym bardziej się pogrąża.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć – odpowiadam od niechcenia.

– O jacie – dziwi się. – Dużo – słyszę, że się szamocze, więc znowu na nią zerkam. Próbuje się podźwignąć. – A czemu nie sto? – Mówi mi prawie nad uchem, przytrzymując się mojego fotela.

– Oprzyj się – rozkazuję jej. – Już nie wspominając o tym, że mogłabyś zapiąć te pieprzone pasy.

– No dobraaa – przeciąga i zaczyna się kręcić. Ustawiam lusterko tak, by obserwować jej ruchy. Ciągnie pas i próbuje włożyć go do klamry. – Nie trafiam – jęczy rozżalona i patrzy przed siebie. Widzi moje oczy spoglądające na nią w lusterku. Przez moment utrzymujemy kontakt wzrokowy. Uśmiecha się i zaczyna grozić mi palcem. Podnoszę brwi zdziwiony jej reakcją. Więc jednak coś tam kontaktuje. – Mogę to olać? – pyta. – Chyba jesteśmy już blisko domu – spogląda przez okno.

– Olej – wzdycham.

– Taki do smażenia? – W pierwszym momencie nie wiem, o czym gada. Po chwili łapię. Boże drogi. Za jakie grzechy! Kręcę głową, nie odpowiadając na pytanie. – Nie no, przepraszam. Chciałam cię trochę... no wiesz. Rozbawić – dodaje.

– Ubaw po pachy, Lena. Zwłaszcza że dochodzi druga, a ja włóczę się po Tyńcu z dorosłą dziewczyną, która nie potrafi się zachować.

Milknie. I właśnie o to chodziło. Podkręcam radio, w którym leci właśnie jakaś nie najgorsza piosenka. Skupiam się na jeździe, bo zdaje się, że wreszcie będę miał chwilę spokoju. Skręcam w wąską, słabo ośnieżoną uliczkę prowadzącą bezpośrednio do jej posiadłości. Koła grzęzną mi w śniegu, ale jakoś udaje mi się powoli posuwać do przodu. Gdybym jeszcze miał ją taszczyć na plecach taki kawałek, w skali żałosnych przypadków ta noc osiągnęłaby chyba maksymalny poziom.

W aucie rozlega się dziwny dźwięk. Patrzą do lusterka. To bez wątpienia płacz. Lena pociąga nosem, a potem znowu zaczyna lamentować. Przebiega mnie dreszcz niepokoju. Może byłem dla niej zbyt ostry. Ale co miałem zrobić? Pochwalić, że tak się uwalila?

Ściszam odbiornik.

– Co się dzieje? – Ciężko mi opanować głos. Jestem poirytowany, ale staram się brzmieć w miarę

łagodnie.

– Jestem żalosna...

– Nie przesadzaj – ucinam.

– Jestem, Jakub – zwraca się do mnie po imieniu. – Gdyby tak nie było – znowu pociąga nosem – nie byłabym sama. Nawet rodzice się ode mnie odwrócili. Nawet oni. – Zastanawiam się, ile w tym prawdy, a ile pijackiej gadki. Procenty słyną z tego, że lubią zniekształcać rzeczywistość. Chcę jej odpowiedzieć, ale wtedy zaczyna śpiewać. Nuci piosenkę z radia, wydając z siebie najróżniejsze dźwięki niekoniecznie przypominające melodię. Dobrze, że się nie odezwałem. Jutro i tak pewnie nic nie będzie pamiętała.

Parkuję tuż przy furtce. Zaciągam ręczny hamulec.

– Zaprowadzę cię do drzwi – obwieszczam i odpinam pas. Wątpię, by dotarła tam samodzielnie.

– Pójdę sobie sama, wiesz? – stwierdza. Pociąga za klamkę, otwiera drzwi i się gramoli. Wychodzę z auta, by jej pomóc. – Nie... nie... Nie trzeba – mówi. Staje, prostuje się i robi pierwszy krok. Przytrzymuje się samochodu i choć idzie, nietrudno przewidzieć, co się stanie, kiedy nie będzie się miała o co oprzeć. Próbuje biec w stronę furtki, ale wyraźnie przechyla się na jedną stronę. W końcu grzęźnie w śniegu i przegrywa walkę z ziemskim przyciąganiem. Wzdycham i podbiegam do niej.

– Kurwa – mówię do siebie, ale w tym momencie nie mogę znaleźć innego słowa.

– Nie złość się na mnie. – Patrzy przestraszona. Jej niewinny wyraz twarzy naprawdę mnie porusza. – Zaraz wezmę prysznic i się ogarnę.

– Żaden prysznic – wybucham. – Idziesz prosto do łóżka. – Nie powinienem jej pouczać, ale jeśli będzie łaźnić po domu, naprawdę może napytać sobie biedy.

Przytrzymuję ją, aż w końcu udaje się jej wstać. Jest lekka i w przeciwieństwie do jej paskudnego charakteru, całkiem delikatna.

– Zawsze kąpię się przed pójściem do łóżka – tłumaczy się. – Ja... ja... – duka – inaczej nie umiem. – Wisi na moim ramieniu i mam wrażenie, że zaraz położy na mnie głowę i zapadnie w sen. Jest naprawdę porządnie zmęczona. W przeciwieństwie do mnie. Już na dobre odechciało mi się spać. – Możesz już jechać...

Nabieram powietrza.

Mija parę sekund. Zastanawiam się nad jakimś rozsądnym rozwiązaniem, ale tylko jedno przychodzi mi na myśl. Trudno. Szkoda czasu na analizowanie wszystkich „za i przeciw”.

– Wracamy do auta.

– Co? – Cofa głowę, by mi się przyjrzeć. Marszczy brwi kompletnie zdziwiona.

– Zabieram cię do siebie, żeby mieć cię pod kontrolą. Pierwszy i ostatni raz, żeby była jasność – dodaję ostro, bo zdaję sobie sprawę, że taką chęcią pomocy brnę w coraz większe bagno. Na własne życzenie.

ROZDZIAŁ 11

Jakub

Przytrzymuję chwiejącą się Lenę i w przedsionku pomagam jej zdjąć buty. Współpracuje, więc nie jest tak źle. Strzepuje ze spodni resztki śniegu, który oblepił jej ciuchy podczas upadku.

– To chyba nie na miejscu – odwraca się w moją stronę i znowu zaczyna coś mówić. Szczerze powiedziawszy, nie mam ochoty na jakiegokolwiek dyskusję. Chciałbym po prostu, żeby weszła do środka i poszła spać.

– O co ci chodzi? Może nie przeciągajmy i wejdźmy do środka – niecierpliwie się.

– Byłam dla ciebie niemiła. Wiesz... – milknie. – A ty mi pomagasz.

– Dobra. Daj już spokój – urywam temat. Czuję się za nią w tym momencie odpowiedzialny. To wszystko. Nie zależy mi, by miała mnie za miłego.

Wciąż stoi, więc mijam ją i naciskam kłamkę. Pokazuję ręką, by weszła dalej. Robi to, a potem zaczyna się rozglądać.

– Ale tu pięknie – komentuje. Stawia dwa kroki i potyka się o próg. Mój refleks działa, udaje mi się uchronić ją przed upadkiem.

– Dzięki – odpowiadam niemrawo. Choć szczerze mówiąc, nie wiem, cóż pięknego może być w szarych ścianach holu. Chyba chce być po prostu miła. A to do niej niepodobne. – Teraz prosto – tłumaczę, dopóki nie docieramy do salonu.

– Masz dobry gust. – Nie zamierzam wyjaśniać, że o wystrój pokoju zadbała Ola. Od jej śmierci dosłownie nic się tutaj nie zmieniło. Nic. – Też nie masz jeszcze choinki – chichocze.

– I nie będę miał – odpowiadam krótko. Nie czuję się w obowiązku szczegółowo przed nią tłumaczyć. – Posłuchaj, idę tylko do sypialni po koc. Zaczekasz tutaj chwilę? Dasz radę? – dopytuję, bo kto wie, co jeszcze strzeli jej do głowy.

– Mogę spać na podłodze. O tutaj – na dowód swoich słów próbuje siadać na szarych panelach salonu. Tuż obok jasnego dywanu.

– Nie przesadzaj – nie pozwalam jej tego zrobić. Trzymam ją, by nie upadła. – Zaraz rozłożę kanapę.

– Naprawdę nie trzeba. Ja... – Widzę, że zbiera się jej na płacz. Tylko nie to! – Ja naprawdę na to nie zasługuję.

– Przestań się mazać – wzdycham. Jej pijackie marudzenie nie wpływa na mnie dobrze.

Siada na brzegu kanapy. Kładzie dłonie na jasnym materiale i powoli przesuwa się do tyłu. Jej plecy w końcu stykają się z oparciem.

– A ty? – pyta.

– Co ja?

– Gdzie ty będziesz spał?

Patrzę na nią zdezorientowany.

– No chyba nie z tobą – pryham. – Będę w sypialni na górze. Gdyby coś ci się działo, zawołasz mnie. Mam dość czuły sen, więc na pewno zareaguję – stwierdzam z pełnym przekonaniem.

– Nie boisz się, że coś ci ukradnę i zwieję? – zerka na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami. Ma niewinny wyraz twarzy. Jej delikatna uroda mogłaby zmylić. Kto by pomyślał, że w tak wątłym ciele może kryć się wielki diabeł.

– Nie byłabyś w stanie.

– Że niby jesteś gliną? – uśmiecha się prowokująco. Kręcę głową i zakładam ręce pod boki.

– Nie. Że niby ty ledwo funkcjonujesz. – Odwracam się i idę w stronę schodów. Po chwili wchodzę do sypialni. Otwieram przesuwne drzwi wielkiej czarnej szafy i szperam w górnych półkach. Gdzieś z tyłu powinien leżeć duży brązowy koc. Kiedyś z Olą zabraliśmy go do parku. Chciała zorganizować piknik, a ja po długich próbach jej argumentowania zalet takiej rozrywki dałem się namówić. Pamiętam, że przez cały czas rozglądałem się w poszukiwaniu swoich kumpli, którzy padliby ze śmiechu, gdyby mnie wtedy widzieli. Siedzącego przy koszu ze zdrowym jedzeniem. Mieli mnie za stanowczego i bardzo przyziemnego gościa

niedającego się nakłonić do romantycznych akcji.

Wyjmuję koc i zamykam szafę.

Tak cholernie mi ciężko. To wszystko znowu do mnie wraca. Wspomnienia. Zaczynają mnie zżerać jakieś irracjonalne wyrzuty. Jakbym poprzez użyczenie tego głupiego koca zdradzał żonę. Pewnie nie miałyby nic przeciwko. Robię to tylko w dobrej wierze.

Powinienem się ogarnąć.

Biorę z łóżka jedną z dwóch poduszek i schodzę na dół.

Kiedy zmierzam w stronę salonu, zastanawiam się, czy Lena nie zdążyła już odpłynąć. Jest zupełnie cicho. Niestety, wszystko wskazuje, że nie będzie tak łatwo, jakbym sobie życzył. Widzę, że płacze. Kryje twarz w szczupłych dłoniach, a jej ciałem wstrząsa szloch. Odkładam koc na fotel i w pierwszym momencie zwyczajnie ją ignoruję. Wyryczy się i przestanie. Zmierzam w stronę kuchni, zabieram butelkę wody i szklankę. Stawiam na stoliku w salonie. Dziewczyna właśnie wyciera mokre od łez policzki.

– Co się znowu stało? – przykucam obok niej i wykazuję zainteresowanie. Niechętnie bo niechętnie, ale jednak to robię. Może to celowa zagrywka, by wzbudzić we mnie litość? Zatuszować niesmak po dość kontrowersyjnym zachowaniu w czasie naszych ostatnich przypadkowych zetknięć?

– Nic.

– A jednak coś.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – nie chce nic mówić.

– Nie jesteś przezroczysta – odpowiadam, choć na pewno nie będę naciskał. Już chcę wstać, kiedy przesuwam w moją stronę leżący na tapczanie telefon. Musiała wyjąć go z torebki.

– Zobacz – uruchamia ekran i przesuwam go przed mój nos.

Zerkam przelotnie na krótką wiadomość wyświetlającą się na białym tle. Prawdę powiedziawszy, niczego konkretnego mi nie mówi.

„Trzeba było myśleć o tym wcześniej”.

Nie mam pojęcia, w co się wpakowała. Choć treść SMS-a bardzo do niej pasuje. Lena chyba często nie myśli, kiedy coś robi. Wierzę, że komuś mogło to zacząć przeszkadzać.

– Wybacz, ale nie rozumiem.

Przetyka ślinę. Z jej oczu znowu płyną łzy. Nie mogę na to patrzeć. Prawdę mówiąc, nie wygląda, jakby udawała. I ku mojemu zaskoczeniu jej smutek zaczyna mnie poruszać. Nie potrzebuję czyichś trosk. Mam aż nadto własnych. Wkurzam się na samego siebie, że znów dałem się w coś zaangażować.

– Obwinia mnie... Mnie... za rozpad naszej rodziny. – Choć płacze się jej język, wciąż dobrze ją rozumiem. – Matka – dodaje, po czym opuszcza głowę. Wbijają wzrok we własne kolana. Broda jej drży.

– Nie histeryzuj. To pewnie tylko jakaś krótka rodzinna kłótnia. Zdarzają się wszędzie. – Wzruszam ramionami, chcąc jej pokazać, że to przecież nie musi oznaczać wielkiej tragedii.

– Nic nie wiesz – jęczy. – Moja matka została w Ciechodzinku. Znaczą... Ciechocinku – poprawia. Jest coraz bardziej sfrustrowana swoim stanem. – Nie akceptuje mnie – chlipie. – To znaczy nie mnie, ale mojej przeprowadzki. Wyjeżdżają z ojcem na święta – milknie. – A ja... zostanę całkiem sama. – Widzę, jak bardzo ją to boli. Ale przecież nie umiem jej w tym pomóc. Nie rozwiążę jej problemów.

– Współczuję ci – tylko tyle mogę powiedzieć. – Choć do świąt zostało jeszcze trochę czasu. Wiele może się zmienić. – Łza wolno sunąca po policzku skapuje jej na spodnie. Chciałabym podnieść rękę i zetrzeć jej mokrą skórę, bo nie powinna teraz płakać. Świat jest pełen bólu, szkoda go na chwilowe sprzeczki. Mimo to staram się zachować dystans. – A teraz idź już spać. Nie wiem jak ty, ale ja po południu muszę być w robocie. – Podnoszę się, bo powinienem iść już spać. Zastanawiam się, czy w ogóle będę w stanie zmrużyć oko. Jestem rozemocjonowany. – Gdybyś czegoś potrzebowała...

– Mogę o coś zapytać? – przerywa mi, kiedy chcę już odejść. Odwracam się, by na nią spojrzeć. Na jej policzkach pojawiają się wypieki. – A właściwie prosić. – Śmieje się nerwowo. – O coś cię prosić – poprawia się.

– Słucham – odpowiadam.

– Czy mogłabym skorzystać z łazienki i wziąć prysznic? Nie chcę, żebyś był zły, ale... no wiesz... – tłumaczy nieskładnie. Przed momentem naprawdę wierzyłem, że w końcu położę się spać.

– Już wcześniej mówiłaś, że nie możesz bez tego zasnąć – przypominam jej, choć wcale nie dziwię się, że zdążyła zapomnieć. Kiedy podjechalіśmy pod jej dom, nie kontaktowała prawie wcale.

– Nawyk z dzieciństwa – komentuje przejęta. Milknie i zaczyna bawić się skrawkiem koca. – Mama zawsze powtarzała, że jeśli się nie wykąpię, w łóżku zjedzą mnie robaki – zaczyna się śmiać. A ten śmiech trochę mi się udziela. Jest tak irytująca, że aż zabawna, a jej chwilowa poprawa humoru przynosi mi pewną ulgę. To chyba dlatego, że kobiece łzy zawsze robiły na mnie wrażenie. Kiedy byłem mały, sąsiad bił swoją żonę. Nieraz uciekała do naszego domu w kompletnej rozpacz. Mówiła, że go zostawi, bo już dłużej nie da rady tak żyć. A potem zawsze wybaczała. Nigdy nie zgłosiła tego do odpowiednich instytucji, choć tyle razy moja matka ją do tego namawiała. Tłumaczyła, że mimo to go kocha. Zapamiętałem te łzy. Przyglądałem się przerażony sytuacji. U mnie w domu nigdy czegoś podobnego nie było. Miałem wtedy nie więcej niż siedem czy osiem lat.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś już małą dziewczynką i że to nie była prawda? – odpowiadam jej sarkastycznie.

– No wiem – wygląda, jakby była zażenowana. – Ale...

– Łazienka jest tutaj – wskazuję. – Tylko się pospiesz.

Staję przy fotelu i czekam. Przyglądam się, jak Lena niezdarnie próbuje wstać. Przytrzymuje się stolika. Walczy z własną nieudolnością, za wszelką cenę próbując mi udowodnić, że nie jest tak źle. Z marnym efektem. Kiedy znajduje się tuż obok ściany, znów zaczyna tracić równowagę. Idę, by w razie czego ją asekurować.

– To tylko chwilowy zawrót głowy – uspokaja mnie, bo widzi, że postanowiłem interweniować.

– Lena, ja naprawdę mam wątpliwości, czy powinnaś brać teraz prysznic. Ledwo stoisz na nogach.

– Chyba masz rację – odpowiada. Cieszę się, że w końcu odpuściła.

– Robaki naprawdę dadzą ci dzisiaj spokój – żartuję. W końcu sama mi to powiedziała. Nie komentując, powoli wraca.

Tymczasem ją uprzedzam. Rozkładam koc i poprawiam poduszkę, by mogła wreszcie ułożyć się do snu. Kończę i rozglądam się. Lena stoi przy jasnej komodzie i wpatruje się w zdjęcie. W ślubny portret.

Tłumię w sobie dziwne emocje. Boję się, że zaraz rzuci jakimś komentarzem, a ja naprawdę nie jestem gotów, by z kimkolwiek rozmawiać o przeszłości. Tylko mnie rozżłości. To wciąż wydaje się zbyt świeże. Moje rany nie zdążyły się zagoić. Jakby Ola odeszła dopiero wczoraj.

Ale Lena nic nie mówi. Postanawia to przemilczeć. Kiedy w końcu się do mnie odwraca, zauważam tylko, że zdążyła posmutnieć.

Siada na brzegu kanapy. Sunie ręką po miękkim kocu. Potem łapie za skraj bluzki i niespodziewanie zaczyna ją zdejmować. Patrzę na nią jak zahipnotyzowany i zastanawiam się, czy na pewno wie, co właśnie robi.

– No kurczę blade – szamocze się z rękawami. Banalna czynność zaczyna ją przerastać, a jeszcze przed chwilą chciała sama brać w łazience prysznic. Podchodzę bliżej, bo nie mogę na to patrzeć. Pociągam za czarny materiał i w końcu kładę bluzkę obok niej. Lena zostaje w samym staniku, a mój wzrok mimowolnie przebiega po jej nagim ciele.

Nie powinna była tego robić.

Duszno mi. W mojej głowie zaczynają pojawiać się niewłaściwe myśli. Szybko je odpieram.

Nie potrafię przestać na nią patrzeć. Jest zgrabna. Po prostu ładna. Krągła tam, gdzie trzeba. A ja wyczerpany nadmiarem wrażeń dzisiejszego wieczoru po prostu tracę rozum.

– Kładź się – rozkazuję lodowatym tonem, kiedy w końcu udaje mi się oprzytomnieć. Łapię koc i ją przykrywam. Jej głowa nareszcie ląduje na poduszce.

Odwracam się, by czym prędzej odejść.

– Jakub – woła mnie, kiedy jestem już prawie przy schodach. Zatrzymuję się i zaczynam dygotać. Zaciskam pięści, by nie wybuchnąć. Czego, do kurwy nędzy, znowu ode mnie chce?

– Miałas spać! – rzucam gniewnie. Może zbyt ostro, ale naprawdę nie mogę już inaczej. Lena pociąga koc pod samą brodę, jakby naprawdę się mnie bała.

– Chciałam ci tylko podziękować – mówi cicho. Zastanawiam się, czy faktycznie chciała mi to powiedzieć, czy zmieniła zdanie, kiedy usłyszała gniewny ton.

– W porządku – odpowiadam nieco lżej. Wtedy Lena podciąga się na łokciu i patrzy mi prosto w oczy. Widzę, że chce mi coś jeszcze powiedzieć.

– Twoja żona była naprawdę śliczna – przyznaje. Zaciskam dłoń na metalowej poręczy. Nie zdaje sobie

chyba sprawy, że lepiej by było, gdyby nie poruszała tego tematu. W ogóle. Nie ma prawa przywoływać teraz jej postaci. – Była piękna – kontynuuje niezrażona. – Pewnie na ciebie czeka – mówi cicho, walcząc ze snem. Jej powieki wyraźnie zaczynają opadać. Próbuje na mnie patrzeć. – Wiesz... – dodaje już zdecydowanie mniej wyraźnie. – Czeka i chyba się złości, kiedy widzi, jak gnuśniejesz – cichnie na moment, jakby na dobre zasnęła. Mam wrażenie, że nie powie już nic więcej. Wtedy jeszcze przytomnieje. – Chyba... nie miałyby nic przeciwko, gdybyś dał się na chwilę wypożyczyć. – Po jej twarzy błąka się delikatny, błogi uśmiešek.

Zakładam ręce pod boki i po prostu się jej przyglądam. Trawię wypowiedź, która wprawiła mnie w stan osłupienia. Nie tego się spodziewałem. Wypożyczyć? Lena ma naprawdę oryginalne poczucie humoru.

Nie odpowiadam jej. Gaszę światło i w końcu wlokę się po schodach do swojej sypialni. Ciekaw jestem, jak wiele z naszej rozmowy będzie jutro pamiętać. I czy gdy wytrzeźwieje, wróci do niej ta wredna diablica, która na co dzień jej towarzyszy. Bo chociaż tej nocy na dobre musiałem wyjść ze swojej strefy komfortu, doceniam, że coś udało mi się odkryć. Gdzieś tam w głębi duszy Lena nie jest tak pewna siebie, jaką udaje. W jej wnętrzu kryje się mała, zagubiona dziewczynka, a jej głos wzbudził we mnie i takie emocje, których na pewno się po sobie nie spodziewałem.

ROZDZIAŁ 12

LENA

– O nie – rozbudzam się, z każdą sekundą mój stan zaczyna się pogarszać. – O matko! – Łapię się za czoło. Nie wiem, co się dzieje, ale czuję się tak, jakbym właśnie została znokautowana na bokserskim ringu. Albo jeszcze gorzej. Prawdziwa bomba wrażeń, niekoniecznie pozytywnych, zaczyna mnie wgniatać. Tym bardziej, im mocniej uświadamiam sobie, dlaczego się tutaj znalazłam. – Ja pierniczę – stękam i zamykam oczy. Leżę sztywno i czuję, jak zaczyna walić mi serce. Jestem sparaliżowana strachem. Przykryta kocem, przesuwam ręką po nagim brzuchu i moje najgorsze obawy po prostu się potwierdzają. Nie mam na sobie bluzki.

Zastanawiam się, jak tutaj trafiłam. Zwyczajnie urwał mi się film, choć mimo wszystko coś tam mi świta. Powracają do mnie flashbacki. Strzępki rozmów, które nie tworzą spójnego obrazu. Przywołuję wspomnienia, choć lepiej byłoby, gdybym nie miała ich wcale. W każdej scenie, która do mnie powraca, tylko się pograżam.

Z trudem odwracam się na bok i podnoszę powieki. Jakuba nie ma w pokoju. Muszę czym prędzej stąd spieszyć. Nie wiem, co miałabym mu powiedzieć.

Co za wstyd. Jaką idiotką trzeba być, by doprowadzić się do takiego stanu. Wyglądam żałośnie. To na pewno. Choć nikt mnie tak nie urządził. Sama to sobie zrobiłam.

Przytrzymując koc, zrywam się do pozycji siedzącej i zaczynam się rozglądać. Szukam mojej bluzki, ale nigdzie jej nie ma. Schylam się w stronę podłogi i ku swojej uciezce rozpoznaję znajomy kawałek materiału. Czym prędzej zakładam ubranie.

Wstaję, choć ból głowy prawie ścina mnie z nóg. Tak bardzo chce mi się pić, że mam ochotę pobiec do łazienki i wsadzić głowę pod kran. Kac morderca zabija mnie od środka, ale także na zewnątrz. Już nigdy nie tknę alkoholu. Nigdy. Nawet u pana Józefa. Chce mi się rzygać.

– Dzień dobry – słyszę za plecami. I cały mój spontaniczny, mało ambitny, ale namacalny plan ucieczki szlag jasny trafia.

Przegarniam włosy ręką i powoli się odwracam.

– Cześć – odpowiadam cicho, patrząc mu prosto w oczy. Ale tylko przez moment. Potem opuszczam głowę i momentalnie oblewam się purpurą.

– Słyszałem, że wstałaś, więc przyniosłem ci wodę. Wybacz, tabletki nie mam – sugeruje bez cienia złośliwości. Jestem zaskoczona. Nie tego się spodziewałam. Czuję, że to wszystko tylko jakaś przykrywka i za chwilę znowu zacnie być sobą i dowali mi jakimś wyrafinowanym epitetem. Jednak póki co rzucam się na szklankę wody, jakby była co najmniej jakimś wytrawnym Dom Perignon. Tak bardzo tego potrzebuję.

– Ogromnie ci dziękuję – przykładam szklankę do ust i wypijam dosłownie jednym haustem. Picie przynosi mi pewną ulgę, przez co robi mi się odrobinę lepiej. Kiedy szklanka jest już pusta, Jakub wyciąga po nią rękę. Przecieram zwilżone wargi i choć naprawdę mi wstyd, zaczynam mówić. – Jakub, ja – zacinam się – ja chciałam bardzo cię przeprosić. – Jego beznamiętna twarz nie wyraża żadnych emocji. Po prostu słucha. Nie mogę więc sobie wyobrazić, czy jest na mnie bardzo zły, czy tylko trochę. – To nigdy nie powinno się wydarzyć. To znaczy – milknę, szukając odpowiednich słów – to, że się upiłam, to jedno. To mój wstyd. Ale to, że po ciebie dzwoniłyśmy, było kompletnie nie na miejscu. Wydaje mi się, że to ja wpadłam na taki pomysł. – Błądzą spojrzeniem, czekając na jego reakcję. Powinnam wziąć winę na siebie. Przecież Marika nie wymyśliła tego sama.

– Nie sądziłem, że się do tego przyznasz – sprawia wrażenie zaskoczonego. Przekrzywia głowę w bok i mruży oczy. Jakby chciał mi się uważniej przyjrzeć.

– Sądziłeś, że będę kręciła i próbowała się wymigać? – Przykro mi, że tak sądził, ale czego się spodziewałam? Pewnie ma mnie za kompletnie nieodpowiedzialną.

– Sądziłem, że kiedy się obudzisz, będziesz chciała zwiąć.

Robi mi się duszno, bo przecież właśnie to planowałam. Nie musi jednak o tym wiedzieć. Milczę jak grób, kiedy odkłada pustą szklankę na stół.

Czuję zapach jego perfum, kiedy staje obok. W czarnym tiszercie, z zegarkiem na nadgarstku wygląda naprawdę niezłe. Schludnie i zarazem męsko. Czego nie można powiedzieć o mnie.

– Dziękuję, że się mną zająłeś. Jakkolwiek to brzmi – jestem zmieszana. – Zdaję sobie sprawę, jakim byłam dla ciebie ciężarem.

– Zdziwiłabyś się – kontruje.

– Co masz na myśli? – dopytuję. Na jego twarzy pojawia się figlarny uśmiešek. To zaczyna mnie niepokoić. Zakłada ręce na piersi i trzyma mnie w niepewności.

– Wstawiona wydajesz się bardziej znośna niż na trzeźwo. Bywało zatem gorzej – dowala mi. Serio? Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie wypada mi się odwzajemniać, kiedy tyle dla mnie zrobił.

Postanawiam to przemilczeć, nim wpadnie mi do głowy coś mądrzejszego. Biorę do ręki koc, pod którym spałam i żeby nie stać jak słup soli, zaczynam składać go w kostkę.

– Mam tylko nadzieję, że nie gadałam niczego wybitnie głupiego – zagajam z autentyczną skruchą. – Choć biorąc pod uwagę stan, do jakiego się doprowadziłam, to mało prawdopodobne. – Wczoraj straciłam nad sobą kontrolę. A to chyba jedna z najgorszych rzeczy, jaką rozumny człowiek może sobie zafundować.

– Wszystko zależy od punktu widzenia – wzrusza ramionami.

– To jak wyglądało z twojego? – Jestem ciekawa jego opinii, więc po prostu czekam na dalszy ciąg. Tymczasem on nie odpowiada.

Podchodzę do niego bliżej. Patrzę na pełne usta. Na szerokie ramiona, które teraz, w dopasowanym tiszercie, zostały jeszcze bardziej podkreślone. Ból głowy zaczyna mieszać się z jakimiś zupełnie nowymi emocjami. Jakbym na nowo stawała się odurzona. Zaczynam szybciej oddychać. Łaskotanie w brzuchu daje o sobie znać. Czy on też to czuje?

– Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Stało się coś? – pyta zdezorientowany. Odwracam wzrok, by odzyskać fason. Zaciskam zęby wściekła na samą siebie, że właśnie upokorzyłam się do reszty. Zawiesiłam się, gapiąc na niego, jakby coś pomiędzy nami miało się jeszcze wydarzyć. Muszę być wybitnie głupia. I ekstremalnie żałosna, zwłaszcza w jego oczach.

– Nie – tłumaczę. – Ale chyba powinnam już iść.

– Uciekasz? – Podnosi brew i zakłada ręce na piersi.

Idę w stronę wyjścia, o ile dobrze udało mi się zapamiętać.

– Tak – dukam, szukając jakiegoś wytłumaczenia – zanim poczęstujesz mnie mandatem za demoralizowanie ludzi w miejscu publicznym, nieodpowiednie zachowanie czy nękanie służb policyjnych. Jestem pewna, że coś byś tam na mnie znalazł – pół żartem, pół serio próbuję jakoś wybrnąć i zbudować niezbędny dystans, zanim zbłąźnię się przed nim do reszty. W męskim towarzystwie zdecydowanie lepiej wypadam w tej podłej odsłonie. Kiedy dopuszczam do siebie prawdziwe emocje, z góry jestem na przegranej pozycji.

– Nie chcę, by dłużej patrzył na mnie w takim stanie.

Kręci głową i zaczyna za mną iść.

– Gdybym chciał tak zrobić, zostawiłbym cię w tym pubie. Porządnie bym się wyspał, a dziś przyszedłbym pomachać ci ręką na wytrzeźwiałce.

– Jasne – pryham. Pociągam za klamkę i wchodzę do przedsionka. Sięgam po kurtkę.

– Skuś los kolejny raz, to się przekonasz. – Kładzie rękę na ościeżnicy i się na niej opiera. Jego oczy błyszczą. Jakby rzucał mi wyzwanie. Jeszcze nigdy nie widziałam, by były tak żywe. Znowu nie mogę przestać na niego patrzeć.

Schyłam się po buty.

– Że niby nie uratowałbyś mnie po raz drugi? – Staram się przybrać niewinny wyraz twarzy. Marnie mi to idzie, ale przez moment mam wrażenie, że Jakub walczy z własnym uśmiechem. Jakby coś go przed tym powstrzymywało. Zwycięża jednak chłodne spojrzenie. Nie udziela mi odpowiedzi. Nie po raz pierwszy. Otwiera za to niewielką szafkę przymocowaną do ściany i wyjmuje z niej klucze.

– Masz – wkłada mi je w dłoń. – Otwórz samochód i na mnie zaczekaj. – Nie pozwala mi na jakąkolwiek reakcję. Zwyczajnie odchodzi, zostawiając mnie ze swoim poleceniem.

– Nie sądziłam, że mnie odwiezie. Chcę zawołać, że wcale nie musi tego robić, ale gryzę się w język, nim tak naprawdę zdąży zmienić zdanie. Nie byłoby mi do śmiechu paradować w takim stanie po głównych

ulicach przez dobrych kilkanaście minut. Potrzebuję natychmiastowej kąpieli, żeby oprzytomnieć. Wyglądam jak siedem nieszczęść. Choć w tym momencie najbardziej doskwiera mi świadomość, że właśnie w takiej niekorzystnej wersji musi oglądać mnie Jakub.

Jedziemy w milczeniu. Skulona na przednim siedzeniu pasażera łapię za klamkę, kiedy samochód Jakuba zatrzymuje się przy furtce mojego domu. Żegnam go krótkim „dziękuję” i nie obejrzawszy się, biegnę prosto w stronę werandy.

ROZDZIAŁ 13

LENA

Wypakowuję z torby kostkę masła i niosę ją do lodówki. Wyjmuję mleko w proszku, cukier puder, jajka i olejek migdałowy. Odkręcam małą buteleczkę i wacham zapach, który już zawsze będzie mi się kojarzył z Bożym Narodzeniem. Dziś mam zamiar zacząć robić marcepanki. Obiecałam Marice, że wezmę się w garść. Nie rzucam słów na wiatr, więc pomyślałam, że może realizując się kulinarnie, zajmę czymś myśli. A, i wezmę trochę ciasteczek do pracy, żeby zapunktować u szefowej. Przedwczoraj nie poszłam do pracy i choć Marika załagodziła sytuację i dała znać o naszej nieobecności, i tak miałam przerąbane. Sumiennie odpracowałam godziny, które przejęła za mnie pracująca na pół etatu Aśka. Dopiero dzisiaj szefowa zaczęła się do mnie zwracać inaczej niż pełnymi oburzenia półsłówkami. Trudno się jej dziwić. To i tak cud, że nie wyleciałam z roboty z dyscyplinarką w rękę.

Całą drogę powrotną do domu wiele myślałam. Przede wszystkim o Jakubie. O tym, że niesłusznie go potraktowałam i o tym, że nie przeprosiłam go tak, jak należało. Marika mówiła, że była u niego z butelką whisky, ale nie chciał jej przyjąć. Nie wiem, czy miałabym odwagę stanąć w progu jego domu kolejny raz, bo jakoś wygodniej po prostu odciąć się i udawać, że nic się nie wydarzyło. Z drugiej strony sumienie podpowiada mi, że to nie jest dojrzałe wyjście z sytuacji. A ja już dawno przestałam być dzieckiem i powinnam brać odpowiedzialność za wszystkie swoje występki.

Stoję na środku kuchni i próbuję się pozbierać. Powinnam umyć ręce i brać się do tych ciastek, ale w tym momencie naprawdę nie mam do nich głowy. Nie wiem, czy w szufladzie znajdę jakiś wyciskacz do kremów. Kiedy byłam w sklepie, zupełnie o tym zapomniałam. U mamy wyciskacz zawsze czekał na nas schowany w wiklinowym koszyku wepchniętym na jedną z półek.

Zostawiając to wszystko na potem, wlokę się w kierunku salonu. Siadam na kanapie i włączam telewizor. Na ekranie wyświetla się jakiś mecz, więc zmieniam kanał. Ale jak na złość nie leci nic, co mogłoby mnie zainteresować. Rzadko coś oglądam, a i tak mam wrażenie, że repertuar emitowanych filmów nie zmienia się od co najmniej dziesięciu lat. Chyba jestem wybitnie wybredna. Jakoś nie mogę dzisiaj znaleźć dla siebie odpowiedniego miejsca.

Mój wzrok skupia się na przedmiocie leżącym tuż przed moim nosem. Na notatniku oprawionym w zieloną skórzaną okładkę. Nie wiem, czy zanurzenie się w jego kartach poprawi mi humor, ale z pewnością wzbudzi jakieś emocje.

Biorę do rąk pamiętnik ciotki Maryli, wertuję strony i otwieram go dokładnie w miejscu, w którym zakończyłam czytanie ostatnim razem. A potem przewracam kolejną kartkę i całe swoje skupienie kieruję właśnie na nią.

7 GRUDNIA 1998

NIE PISAŁAM PRZEZ KILKA DNI, BO NIE BYŁO O CZYM. ŻYCIE WRÓCIŁO DO NORMALNEGO RYTMU, JAK GDYBY NIGDY NIC. A MOŻE TYLKO PRÓBOWALIŚMY TO SOBIE WMAWIAĆ? CODZIENNOŚĆ WYDAWAŁA SIĘ CAŁKIEM WYGODNA. PRACA, PORZĄDKI, PRACA, GOTOWANIE... AŻ DO WCZORAJ. CHOĆ KIEDY JÓZEK STANAŁ W DRZWIACH NASZEGO DOMU, ŚMIEJĄC SIĘ, ŻE ŚWIĘTY MIKOŁAJ PRZYNIÓSŁ PODAREK GRZECZNYM DZIECIOM, JESZCZE NIC NIE WSKAZYWAŁO, ŻE SYTUACJA ROZWINIE SIĘ TAK DYNAMICZNIE. I ŻE ZNÓW WSZYSTKO STANIE DO GÓRY NOGAMI. BUTELKA GRZAŃCA WYPITA PRZY WSPÓLNYM STOLE, A POTEM KOLEJNA – SKUTECZNIE ROZPLĄTAŁY JĘZYKI. ALE NIE MNIE. WYPIŁAM TYLKO PÓŁ KUBKA DLA TOWARZYSTWA. CHWAŁA PANU ZA TO, ŻE NIE LUBIĘ GRZAŃCA, BO TO WSZYSTKO MOGŁO SKOŃCZYĆ SIĘ RODZINNĄ TRAGEDIĄ.

CAŁY WIECZÓR DOM WYPEŁNIAŁ GWAR. JÓZEK WSPOMINAŁ O SWOIM DZIECIŃSTWIE, A ŻE JEDNAK JEST SPORO STARSZY ODE MNIE, CIEKAWIE BYŁO SŁUCHAĆ. MÓWIŁ O PRZYDZIAŁACH ŚWIĄTECZNYCH PACZEK W SZKOLE, KIEDY TO DZIECI RODZICÓW MAJĄCYCH ZNAJOMOŚCI I POWIĄZANIA DOSTAWAŁY SPECJALNE BONUSY – JEDNĄ POMARAŃCZĘ CZY PRAWDZIWE KAKAO. DZIŚ TO NIC, KIEDYŚ TO BYŁO WSZYSTKO.

NA ŚWIECIE ZAWSZE BRAKOWAŁO SPRAWIEDLIWOŚCI I TO NIE JEST ZMORA TYLKO NASZYCH CZASÓW. KRYSIA ODPADŁA PIERWSZA. ŚMIAŁA SIĘ W NIEBOGŁOSY, A KIEDY ZACZEŁA OPOWIADAĆ, JAK TO MAMA W PODSTAWÓWCE BIŁA NAS PATYKIEM, WIEDZIAŁAM, ŻE MUSI BYĆ NAPRAWDĘ PIJANA. PRZECIEŻ WSZYSCY DOBRZE ZNAJĄ TĘ HISTORIĘ. DZIWNYM TRAFEM PRZYWOŁUJE JĄ ZAWSZE, KIEDY W JEJ ORGANIZMIE POJAWIA SIĘ ALKOHOL. JAKBY PRZY TYM CHCIAŁA SIĘ TROCHĘ WYŻALIĆ. STARE DZIEJE. SINIAKI JUŻ DAWNO SIĘ ZAGOIŁY, A I WIELE GŁUPOT MATKA WYBIŁA NAM W TEN SPOSÓB Z GŁOWY. STASZEK POMÓGŁ JEJ DOJŚĆ DO ŁÓŻKA. SAM WYDAWAŁ SIĘ W O WIELE LEPSZYM STANIE NIŻ MOJA SIOSTRA I MAMA, CHOĆ AKURAT JEJ – ZE WZGLĘDU NA SĘDZIWY WIEK – NIEWIELE DO RAUSZU POTRZEBA. CHOĆ SWOJĄ DROGĄ, ZA KOŁNIERZ NIGDY NIE WYLEWA, A MOGŁABY JUŻ CZASAMI ODPUŚCIĆ. KIEDYŚ W KOŃCU DOPROWADZI SIĘ TYM DO GROBU.

SPRZĄTAŁAM ZE STOŁU, BO NIE LUBIĘ ZOSTAWIAĆ BAŁAGANU NA NASTĘPNY DZIEŃ. SAMA PRZY STOLIKU NUCIŁAM SOBIE MELODIĘ ŚWIĄTECZNEJ PIOSENKI, KTÓRĄ USŁYSZAŁAM DZISIAJ NA MIEŚCIE OD MĘŻCZYZNY GRAJĄCEGO NA AKORDEONIE. BYŁAM PRZEKONANA, ŻE JUŻ WSZYSCY POSZLI SPAĆ. WTEDY STASZEK STANAŁ OBOK MNIE I ZAPYTAŁ, CZY MI W CZYMŚ POMÓC. KIEDY NA BLACIE NIE ZOSTAŁO JUŻ KOMPLETNIENIC. MIAŁAM PRZECZUCIE, ŻE TO BYŁO TYLKO PRETEKSTEM JEGO POWROTU. I ON TEŻ DOSKONAŁE O TYM WIEDZIAŁ.

POWIEDZIAŁAM MU ZGODNIE Z PRAWDĄ, ŻE JUŻ ZE WSZYSTKIM SOBIE PORADZIŁAM. ZAGADNEŁAM, ŻE MUSIMY SIĘ POŁOŻYĆ, BO ZGODNIE Z NOWYM TYGODNIEM PRACY WE WTOREK TAK JAK I DZIŚ, MIELIŚMY WSZYSCY ZNALEŻĆ SIĘ W FABRYCE NA PORANNEJ ZMIANIE. WSPOMNIAŁ COŚ O KRYSI, ŻE ZUPEŁNIE STRACIŁA NAD SOBĄ KONTROLĘ I ŻE CZASAMI DRAŻNI GO JEJ BRAK POWŚCIĄGLIWOŚCI. NIE CHCIAŁAM TEGO KOMENTOWAĆ, BO TO NIE MOJA SPRAWA. MOJA SIOSTRA BYŁA DOROSŁA, A ŻE ZAWSZE LUBIŁA BRYŁOWAĆ W TOWARZYSTWIE I NIE SŁUCHAŁA PRZESTRÓG STASZKA, BYŁO WIADOMO OD DAWNA. WIDZIAŁY GAŁY, CO BRAŁY. KIEDYŚ MU TO IMPONOWAŁO. ZAWSZE BARDZIEJ DO PRZODU, ZAWSZE MIAŁA WIĘCEJ DO POWIEDZENIA. UMIAŁA SIĘ SPRZEDAĆ I UMIAŁA TEŻ NARZUCAĆ INNYM WŁASNE ZDANIE. W TYM BYŁA DOBRA I OWINEŁA SOBIE STASZKA WOKÓŁ PALCA. TERAZ ZACZEŁO MU TO PRZESZKADZAĆ? BYŁO JUŻ ZA PÓŹNO.

NIE SKOMENTOWAŁAM JEGO WYPOWIEDZI. ZRESZTĄ NIE WIEM, CZY W OGÓLE TEGO ODE MNIE OCZEKIWAŁ. MOŻE CHCIAŁ SIĘ WYŻALIĆ? POWINIEN ZNALEŻĆ SOBIE LEPSZEGO KOMPANA DO ZWIERZEŃ. DOBRZE WIE, ŻE TO, CO BYŁO MIĘDZY NAMI I TO, CO STAŁO SIĘ POTEM, DOSTATECZNIE UPRZYKRZYŁO MI ŻYCIE. MUSIAŁAM WYŁĄCZYĆ SWOJE UCZUCIA, A ON SĄDZIŁ, ŻE SŁOWO „PRZEPRASZAM” WYSTARCZY I ZAŁATWI WSZYSTKO.

NIOSŁAM DO ZLEWU OSTATNIĄ PORCJĘ NACZYŃ. WZIĘŁAM PLASTIKOWĄ MISKĘ, DO KTÓREJ NAPUŚCIŁAM LETNIEJ WODY. CHCIAŁAM WSZYSTKO WYSZOROWAĆ. KIEDY WZIĘŁAM DO RĘKI PIERWSZY KLEJĄCY SIĘ OD GRZAŃCA KUBEK, POCZUŁAM NA SWOICH PLECACH JEGO DŁONIE. STAŁ DOKŁADNIE ZA MNĄ, A JEGO KOLANA STYKAŁY SIĘ Z MOIMI NOGAMI. ZADRZAŁAM. ZE STRACHU I Z ZASKOCZENIA. CHCIAŁAM GO ODEPCHNAĆ, A JEDNOCZEŚNIE ODEZWAŁY SIĘ WE MNIE STARE SENTYMENTY. WIEDZIAŁAM, ŻE BĘDĘ TEGO ŻAŁOWAĆ. ŻE BĘDĘ ŻAŁOWAĆ ICH AKCEPTACJI.

KAZAŁAM MU PRZESTAĆ, CHOĆ WIEM, ŻE TON GŁOSU MÓWIŁ COŚ ZUPEŁNIE INNEGO. NACHYLIŁ SIĘ NAD MOIM UCHEM I WYSZEPTAŁ MI, ŻE CAŁY TEN PRZEKLĘTY WIECZÓR CHCIAŁ TO ZROBIĆ. TAK WŁAŚNIE TO OKREŚLIŁ. SŁOWO W SŁOWO. PRZEKLĘTY WIECZÓR. WCIAŻ STOJĄC W BEZRUCHU, ODPOWIEDZIAŁAM MU, ŻE JA CAŁKIEM DOBRZE SIĘ BAWIŁAM. A WTEDY ODWRÓCIŁ MNIE W SWOJĄ STRONĘ TAK, ŻE PRAWIE STYKALIŚMY SIĘ NOSAMI. I ZACZAŁ MNIE CAŁOWAĆ. DOSŁOWNIE W OSTATNIM MOMENCIE ODŁOŻYŁAM KUBEK NA BLAT, ZANIM STŁUKŁAM GO NA DOBRE. POŁOŻYŁAM DŁONIE NA KLATCE PIERSIOWEJ STASZKA I CHCIAŁAM GO ODEPCHNAĆ. ALE NIECH MI BÓG BĘDZIE ŚWIADKIEM, ŻE NIE BYŁAM W STANIE. JAKAŚ DIABELSKA MOC PRZYTRZYMYWAŁA JE W JEDNYM MIEJSCU, NIE POZWALAJĄC DRGNAĆ NAWET O CENTYMETR.

WSZYSTKO DO MNIE WRÓCIŁO. WSZYSTKIE WSPOMNIENIA. NASZE PIERWSZE

SPOTKANIA W FABRYCE, ZALEDWIE PARĘ RANDEK, KTÓRE WYSTARCZYŁY, BYM ODDAŁA MU SWOJE SERCE. A POTEM PRZYPROWADZIŁAM GO DO DOMU, BY PRZEDSTAWIĆ RODZINIE. POZNAŁ KRYSIĘ. OBSERWOWAŁAM ROSNĄCĄ W JEGO OCZACH FASCYNACJĘ MOJĄ SIOSTRĄ I JUŻ WIEDZIAŁAM, ŻE JESTEM PRZEGRANA. W JEGO OCZACH, W OCZACH MAMY CZY I KIEDYŚ W OCZACH ŚWIĘTEJ PAMIĘCI OJCA. BYŁAM TĄ MŁODSZĄ, ZAWSZE STOJĄCĄ NA DRUGIM MIEJSCU.

STASZEK NA CHWILĘ PRZESTAŁ. SPOJRZAŁ NA MNIE TAK, ŻE NIE MUSIAŁ MÓWIĆ NIC WIĘCEJ. WIEDZIAŁAM, ŻE BYŁBY GOTÓW NA DALSZY CIĄG. WEZWAŁ BOGA, A POTEM PRZYSIĄGŁ, ŻE JUŻ DAWNO NIE CZUŁ TAK WIELKICH EMOCJI. ŻE TO WSZYSTKO GO PRZERASTA, ALE NIE MOŻE SIĘ POWSTRZYMAĆ. POWIEDZIAŁ TEŻ, ŻE KRYSIA GO PRZYTLACZA. WTEDY UCIEKŁAM, BO NIE MOĞŁAM DŁUŻEJ TEGO SŁUCHAĆ. UCIEKŁAM PROSTO DO SWOJEJ SYPIALNI, ZOSTAWIAJĄC NIEUMYTY KUBEK, PEŁNĄ WODY MISKĘ I BAŁAGAN NA KUCHENNYM BLACIE. I ZAMKNEŁAM DRZWI NA KLUCZ. ALE ON JUŻ DO NICH NIE ZAPUKAŁ.

Zamykam notatnik. Mimo to niezgrabne litery ciotki Maryli wciąż przemykają mi przed oczami. Nie potrafię się ich pozbyć. Tekst, który przeczytałam, już na zawsze pozostanie w mojej głowie.

Mój ojciec szukał uznania w oczach innej kobiety, chociaż miał już żonę. Nie mogę w to uwierzyć. Mogłabym podejrzewać wszystkich, ale nie jego. I to nie dlatego, że jest moim tatą i że mam wypaczony obraz sytuacji. Ale dlatego, że zawsze wydawał mi się po prostu nudny. Przewidywalny do bólu. Uległy mamie, która z powodzeniem nim sterowała.

Nic już nie wiem. Portrety ludzi, którym zawsze ufałam, nagle stają pod znakiem zapytania. Kim są moi rodzice? Kim byli? W co mam teraz wierzyć, kiedy nawet moi bliscy zdają się skrywać jakieś tajemnice?

Ostatni raz zerkam na notatnik. Przeszywa mnie dreszcz, jakby był przeklęty. Rozglądam się, a przecież jestem tutaj zupełnie sama. Bezpodstawny strach próbuje przejąć nade mną kontrolę. To tylko moja wyobraźnia. Nikogo tutaj nie ma. Sama nie wiem, czego się spodziewałam. Ducha ciotki Maryli, która zabroni mi tego czytać? Parskam pod nosem i idę prosto do łazienki.

Tego wieczoru kładę się znacznie wcześniej niż dotychczas. Potrzebuję snu, by jutro trzeźwo myśleć. W moim życiu ostatnio zbyt wiele się dzieje. Teraźniejszość wysysa ze mnie resztki energii. Przez to głupieję.

A wszystko wskazuje, że tej energii będę na jutrzejszy dzień potrzebować podwójną porcję.

ROZDZIAŁ 14

Jakub

Wkładam do ust ostatni kęs pieczeni, zamykam styropianowe pudełko i odkładam je do zlewu. Po całym miesiącu takiego jedzenia zawsze trochę się tego nabiera. Jednego razu, kiedy matka wpadła do mnie z odwiedzinami i zobaczyła moje śmieci, a raczej worek wypchany takimi właśnie pudełkami, stwierdziła, że w końcu od tego wykituję. Nie mogłem się przyznać, że raczej wykitowałem, gdybym gotował sam. Ale przysięgałem jej po śmierci Olki, że potrafię to robić, bo wiedziałem, że inaczej będzie nalegać na codzienne wizyty w jej domu. Nie żebym nie przepadał za jej obiadami, ale nie chciałem sprawiać problemu. A swoją drogą, w czasie żałoby potrzebowałem być po prostu sam. Rozpacz czy zapewnienia bliskich, że w końcu wszystko będzie dobrze, działały na mnie jak płachta na byka. Prawda była taka, że po prostu drażnili mnie inni ludzie. Ci, którym się poszczęściło, kiedy moje życie legło w gruzach i ci, którzy nie umieli docenić tego, co mają. Stałem się samotnikiem. Może i gburowatym na własne życzenie. Ale nie czułem potrzeby, by to zmieniać.

Myję ręce i siadam w fotelu. Wyciągam z teczki stos papierów, które musiałem przywlec z posterunku, żeby je ponownie sprawdzić. Jestem niespokojny, bo znów na głowę spadły mi dodatkowe obowiązki. Kiedy komendant mnie do siebie wezwał, miałem cichą nadzieję, że poruszy w końcu temat zapowiadanych podwyżek. Ale gdzie tam, wręcz przeciwnie. Pojawiła się za to zupełnie inna kwestia i to cholernie dla mnie niewygodna. Lekcja w szkole podstawowej. Już wolałbym ślęczeć przy biurku i uzupełniać akta po godzinach, niż produkować się przed rozkapryszonymi bachorami, które i tak nie będą chciały mnie słuchać. Czy ja wyglądam na kogoś, kto wie, jak do nich dotrzeć? Sam nie mam pojęcia, kiedy ostatni raz miałem jakiś kontakt z dzieckiem. Nie licząc zdarzeń na drodze, bo tych mam na swoim koncie naprawdę pod dostatkiem. Oczywiście, zasugerowałem komendantowi, że nie jestem dobrym materiałem do tego zadania. Próbowałem się ratować. Ale w zamian za to dowiedziałem się, że nikt nie jest. I że spośród wszystkich możliwych opcji jestem tą możliwie najlepszą. Marne pocieszenie. Prawdę mówiąc, wolałbym znaleźć się pośród tej niechlubnej grupy gorszych.

Właśnie zaczynam szukać długopisu, kiedy z holu rozlega się dzwonek.

Patrzę na zegar i widzę, że dochodzi dziewiąta. Nie mam bladego pojęcia, kto to może być. Jedyne koncepcja, jaka przychodzi mi do głowy, to ktoś z mojego wydziału. W końcu dzisiaj mieliśmy dzień pełen niespodzianek, rozpoczynając od potrąconej na pasach staruszki, po wiadomość o wojewódzkiej kontroli, która czeka nas w najbliższym czasie. I która poniekąd przysłoniła wszystko inne.

Wstaję i zmierzam w kierunku drzwi. Dzwonek ponownie daje o sobie znać. Ktoś jest w gorącej wodzie kąpany, przecież nie stoję w przedsiionku jak kamerdyner i nie czekam, aż ktoś zjawi się u mnie z wizytą.

Na zewnątrz panuje ciemność. Lampka działająca na fotokomórkę zdążyła już chyba zgasnąć. O ile nie dokonała żywota. Przekręcam klucz i otwieram. – Lena? – mówię jej na powitanie, choć doskonale wiem, że to ona. Nie mam jednak pojęcia, co tutaj robi.

– Przepraszam, że wpadłam o takiej porze. – Tłumaczy się, przestępując z nogi na nogę. – Byłam wcześniej, ale cię nie zastałam. Potem musiałam iść do pracy i przyjechałam prosto z salonu.

– Wejdz – zapraszam ją do przedsiionka. Nie żebym był wybitnie gościnnie, ale stojąc w otwartych drzwiach w taki mróz, nie czuję się szczególnie komfortowo.

Trze butami o wycieraczkę i przekracza próg.

– Ja tylko na chwilę. Dziś absolutnie trzeźwa – próbuje żartować. Staję naprzeciwko, zastanawiając się, po co tak naprawdę przyszła. – Jakub, ja jeszcze raz chciałam bardzo cię przeprosić za moje zachowanie. Nie masz pojęcia, jak mi głupio. – Milknie. Wierzę w skruchę, bo widzę ją w jej oczach. Mówią same za siebie.

– Lena, temat jest już zakończony – wtrącam się, bo widzę, że chce coś jeszcze dodać. – Było, minęło i nie roztrząsajmy tego.

– Było, ale wciąż mnie to gryzie. Nie podziękowałam ci tak jak trzeba. – Sięga do torebki i wyciąga jakieś pudełko.

– Nie wygłupiaj się – próbuję ją powstrzymać. Chce mi coś dać i choć nie wiem, co to takiego, nie mam zamiaru niczego brać. Nie pomogłem jej dla zysku i fatalnie bym się czuł, mając z tego jakąś korzyść. A już na pewno materialną.

– Jakub, to naprawdę nic takiego. Marika mówiła mi, że nie chciałeś przyjąć whisky, więc kupiłam ci coś innego. – Jest naprawdę przejęta. Otwiera wieko białego pudełka i zanurza w nim rękę. Chwilę później na jej wskazującym palcu zawisa niebieska, mieniąca się brokatem bombka.

Jestem zaskoczony jej pomysłem. Bombka? Cieszę się, że o mnie pomyślała, co nie zmienia faktu, że nie przyjmę od niej żadnego prezentu.

– Ręcznie malowana – tłumaczy. Domyślam się zatem, że trochę za nią wyłożyła. Wiem, ile potrafią kosztować takie rzeczy. Niektóre nawet parę stów.

Usta Leny wyginają się w nieśmiałym uśmiechu. Jest z siebie zadowolona, jak gdyby ten gest miał jej poprawić samopoczucie.

– Lena, to naprawdę bardzo ładne – nie chcę jej urazić, skoro tak się postarała. Niczego od ciebie nie oczekuję i niczego nie chcę. – Do diabła, nie mam nawet choinki. Nie obchodzę świąt, a przynajmniej nie w ten zewnętrzny sposób. Idę do kościoła na mszę. Jezus i tak się narodzi, bez tych wszystkich świecidełek dookoła. Kiedyś wierzyłem w ich sens. W tę całą cholerną magię. Kiedyś. Choć w tym momencie nie ma to znaczenia. Po prostu niczego od niej nie przyjmę.

Ramiona jej opadają. Garbi się, a na jej twarzy zaczyna gościć smutek.

– Chciałam, żebyś się uśmiechnął – stwierdza cicho, a jej zduszony głos naprawdę mnie porusza. Nie chcę, żeby tak się tym wszystkim przejmowała. Nie o to mi chodziło. Mógłbym przyjąć prezent, ale u mnie tylko by się marnował.

Mam w głowie mętlik. Chcę ją jakoś pocieszyć. Wesprzeć. Do diabła, chcę ją przytulić. Moje emocje zaczynają wyprowadzać mnie w pole, kiedy niewielką przestrzeń pomiędzy nami wypełnia coś dziwnego. Wzrok Leny niewytłumaczalnie mnie przyciąga.

Leny. Nie Oli. Ona nie jest nią. Nie wolno mi myśleć o tej dziewczynie w taki sposób.

Naprawdę oszalałem, pozwalając sobie na chwilę słabości. Przytomnieję na czas i zakładam rękę na piersi.

– Zabierz to do domu, dobrze? – mówię spokojnie, próbując panować nad głosem.

– Nie trafiłam – opuszcza rękę, a dyndająca na jej palcu bombka prawie spada na podłogę. – Szkoda, Kuba. – Wzrusza ramionami. Podchodzi do drzwi, odwraca się do mnie plecami i wiesza bombkę na klamce. Kręcę głową z niedowierzaniem, kiedy pomimo odmowy postanawia postawić kropkę nad i. Przyglądam się powrotowi „dawnej” Leny, która najwyraźniej w każdej sytuacji znajdzie powód, by mi się przeciwstawić. W końcu patrzy na mnie zadowolona ze swojego występku, a ja już sam nie wiem, czy bardziej jestem na nią zły, czy gdzieś tam po trochu ta jej zadziorność trochę zaczyna mi imponować. – Chciałam, żebyś wiedział, że jeśli będziesz czegoś potrzebował, też możesz na mnie liczyć – kładzie dłoń na piersi, a trzymany w drugiej kartonik po bombce stawia na niewielkim parapecie przedsionka. – Będę już uciekać – żegna się ze mną, nie mając pojęcia, że nad moją głową, jak w bajce o pomysłowym Dobromirze, właśnie pojawia się kulka z naprawdę genialnym pomysłem.

– Lena! – skłaniam ją do tego, by jeszcze raz na mnie spojrzała. Zastyga w bezruchu z kluczykami w rękę. Dopiero co zdążyła wyciągnąć je z kieszeni kurtki.

– Tak? – patrzy na mnie niepewnie.

– Mówiłaś przed momentem, że zawsze mogę na ciebie liczyć, tak? – przywołuję jej słowa sprzed dosłownie parunastu sekund. Powoli potakuje, a ja nie potrafię powstrzymać się od śmiechu, kiedy przed oczami staje mi absolutnie genialna scena. – Tak się składa, że dostałem naprawdę bojowe zadanie i będę potrzebował do niego dodatkowej osoby.

– W porządku – odpowiada trochę zaskoczona, choć nie wie, na co tak naprawdę się pisze. – Jasne – znów potakuje. – Postaram zrobić co w mojej mocy, o ile oczywiście będę w stanie – rozkłada ręce i czeka chyba na to, aż powiem, że to żart. Nie tym razem.

– Będiesz – przekonuję ją. – To zadanie jest dosłownie dziecinnie proste. – Akcentuję przedostatnie słowo, zauważając, że w tej sytuacji niesie ze sobą podwójne znaczenie.

ROZDZIAŁ 15

Lena

– Nie, nie... – jąkam się, kiedy dyrektor szkoły wprowadza mnie do szatni szkolnej sali gimnastycznej. Jest dokładnie siódma czterdzieści pięć rano, a ja mam wrażenie, że jeszcze śpię, kiedy stoję przed czymś, czego zupełnie się nie spodziewałam. To nie może być prawda. Na pewno. To stuprocentowy sen.

Mężczyzna w okularach patrzy na mnie przez chwilę zupełnie zmieszany. Odwraca się, jakby liczył, że Jakub za moment tutaj wejdzie.

– Muszę panią zostawić – odpowiada. – Niechętnie, ale muszę – dodaje i znika za drzwiami.

Powracam wzrokiem do potężnej maskotki przedstawiającej policyjnego psa. To kostium. A w tej konkretnej sytuacji kostium przeznaczony dla mnie.

– Bez jaj – mówię do siebie i zamasyżuję wychodzę z szatni. Jednak nim udaje mi się to zrobić, do pomieszczenia wchodzi on. Jakub. Człowiek, który wpakował mnie w to bagno. I który jest chyba absolutnie świadom mojej frustracji. Ironiczny uśmiezek błąkający się po jego twarzy jest tego najlepszym dowodem.

Zamyka drzwi.

– I jak? – pyta, jakby był z siebie dumny.

– Żartujesz, prawda? – Oddycham głęboko, żeby nie wybuchnąć. Jestem wściekła. Choć to mało powiedziane. Przerazona i zła. Zaraz stąd wyjdę i zostawię go samego. Niech robi, co chce. – W życiu tego nie założę! Ty oszalałeś. – Patrzę mu prosto w twarz. Stoi blisko mnie. Robi krok do przodu, tym samym stając kilkadziesiąt centymetrów przed moją twarzą.

– Zaledwie dwa dni temu obiecałaś mi pomoc – wzrusza ramionami. – Poprosiłem cię, żebyś została dzisiaj moją asystentką. Tylko na jednej lekcji. To chyba nie jest wyzwanie ponad siły. – Próbuje mi jeszcze wmówić, że byłam wszystkiego świadoma. No pięknie.

– Właśnie, Jakub – podpieram ręką bok – asystentką – syczę rozeźlona. Wskazującym palcem dłoni celuję w jego klatkę piersiową. – A nie jakimś wielkim, pluszowym, zapchlonym kundlem. – Odwracam się w stronę kostiumu psa.

– To nie kundel. To Sznupiek – poprawia, perfidnie szczerząc zęby. Nie pomaga. Ani sobie, ani tym bardziej mnie. Szczerze powiedziawszy, coraz bardziej zaczyna mnie grzać.

– Sznupiek, Łajka czy Lassie, wszystko mi, do cholery, jedno! – Jestem wyprowadzona z równowagi. – Jak zwał, tak zwał.

Za plecami Jakuba rozlega się pukanie do drzwi, które chwilę później lekko się uchylają.

– Dzieciaki już idą. Proszę nie otwierać drzwi, żeby nie psuć im niespodzianki – dyrektor w zabawnych okularkach wsuwa samą głowę. Przekazuje nam krótką wiadomość, po czym chowa się tak szybko, jak niespodziewanie się pojawił.

Jakub powraca do mnie spojrzeniem. Przygląda mi się uważnie. Na moment zapada cisza.

– Czego ode mnie oczekujesz? – przerywam ją, bo zaraz mnie tutaj szlag jasny trafi.

– Że założysz strój Sznupka i wyjdiesz ze mną do dzieciaków. Opowiem im trochę o zasadach bezpieczeństwa na drodze i na tym koniec – rozkłada ręce, jakby właśnie przedstawił mi najbardziej banalny i oczywisty plan świata. Szkoda, że nie zapoznał mnie z nim wcześniej. Wiem, dlaczego tego nie zrobił. Powód okazuje się diabelnie prosty. Był świadom, że nigdy bym się nie zgodziła.

– Mam udawać jakiegoś zwierza, żebyś ty był zadowolony, tak? Założyć wielki, przepocony strój z gigantyczną głową, którą mogę stracić, klinując się w progu? I ośmieszyć się przed wszystkimi. Nawet nie mam pojęcia, jak się w tym poruszać. Nie rozumiesz tego? – nadaję jak katarynka.

– Nie jest przepocony. Tutaj nie chodzi o moje zadowolenie, tylko dzieci. I nawet jeśli wyrznieś w tym orła i tak nikt cię nie rozpozna. Nie musisz nic mówić. Będziesz tylko machać ręką – tłumaczy.

– Jasne. No pewnie! – Nie dbam już, czy na zewnątrz mnie słyszą. To jego interes. – Wsadziłeś mnie na minę, dlatego spadam. Rób, co chcesz! – Zrywam się i próbuję go staranować. Jestem zdeterminowana i absolutnie przekonana co do słuszności swojej decyzji. Nie zmienię jej. Zawsze może poprosić o pomoc na przykład dyrektora. Ciekawe, czy tak chętnie zgodziłby się wdziac na siebie to coś, byleby zadowolili swoich

uczniów. Dlaczego niby ja mam to robić?

– Lena! – Jakub chce mnie powstrzymać. Już nie jest mu tak bardzo do śmiechu. Łapie mnie w okolicach talii, co na moment dosłownie mnie unieruchamia. Zderzam się z jego twardym torsem, a moje ciało dosłownie zamiera. Dopasowana granatowa koszulka z napisem „policja” opina jego mięśnie. Jasny gwint! Moje serce zaczyna galopować. – Lena – mówi znacznie spokojniej. W końcu zerkam na jego usta. I wyżej. Jego ciemne oczy skierowane są właśnie w dół. Prosto na mnie.

Słyszę jego cichy oddech. Czuję pociągający zapach. Moje nogi nagle stają się galaretowatą papką, co uniemożliwia mi ucieczkę. Problem w tym, że w tej właśnie chwili wcale nie chcę uciekać.

Jakub patrzy na moje wargi. Wcale się z tym nie kryje. Przestrzeń pomiędzy nami nagle robi się niebezpiecznie ciasna. A ja mam ochotę w nią brnąć. Zawęzać ją. Już dawno nie czułam się tak przyjemnie bezbronna. Gotowa na czyjąś bliskość.

– Pomożesz mi? – pyta prawie szeptem.

Opuszczam głowę. Jakub odrywa dłoń od mojej tali i kładzie ją pod mój podbródek. Unosi go nieznacznie, przez co znów na niego spoglądam. Jego dotyk przyjemnie pali. Mam wrażenie, że palce pozostawią na skórze jakiś ślad. Zaczynam wyobrażać sobie rzeczy, które nigdy nie powinny pojawić się w mojej głowie.

Mój instynkt samozachowawczy szaleje. Czemu jednak mam wrażenie, że on czuje dokładnie to samo?

– Pomogę – odpowiadam.

Zamykam oczy przygnieciona natłokiem emocji. Słyszę, że cofa się o krok. Był przy mnie tylko przez chwilę, a już pozostawia po sobie potworną pustkę. Dlaczego?

– Pospieszmy się, Lena. Za chwilę musimy wyjść – staje przy wielkim kostiumie psa, jakby przed chwilą kompletnie nic się nie wydarzyło.

Muszę się otrząsnąć, choć nie potrafię grać. Marna ze mnie aktorka, bo zawsze wszystkie emocje, które się we mnie kotłowały, miałam wymalowane na twarzy. Mimo to przybieram obojętną minę, działając zgodnie z jego regułami. Nie czas na sprzeciw, skoro czeka nas ważne zadanie.

A może to wszystko było tylko wytworem mojej wyobraźni? Nic już nie wiem poza jednym: za moment stanę przed tłumem widzów jako ktoś zupełnie inny, a gruba warstwa pluszu pozwoli mi zasłonić wszystko, co w tym momencie tak bardzo pragnę ukryć.

– Tosia, Danielku, no ludzie złoci! Chodźcie tutaj natychmiast! – Jedna z nauczycielek piekli się, próbując przywołać do porządku wieszające się na mnie dzieci. Czuję, że prędzej czy później spektakularnie runę. To tylko kwestia czasu. – Bo wstawię wam uwagę. Raz, dwa – zaczyna odliczać. Na „trzy” dzieci stają już przy niej.

– Ja też chcę do pieska – woła jakiś chłopiec i pędzi w moją stronę. Jego kolega łapie go za koszulkę. Katastrofa wisi w powietrzu.

– Dajcie pieskowi przejść – nieopodal rozlega się męski głos, a potem widzę jego nadawcę. Staje przede mną dyrektor i wskazuje mi drogę na koniec sali. Niezdarnie człapię w stronę stolika, przy którym już zdążył wygodnie usadowić się Jakub. Ale zamiast jakoś pomóc ujarzmić ten dziki tłum, tylko mi się przygląda. I nie wiedzieć czemu wydaje się naprawdę niezłe bawić.

Rozwrzeszczani uczniowie nie potrafią się uspokoić. Naprawdę podziwiam nauczycieli za ich cierpliwość, bo przecież muszą się z tym zmagać nie tylko od święta, ale każdego dnia. Ja mam dość po dwóch pierwszych minutach.

– Możemy zdjęcie? – za moimi plecami, jak mantrę, ktoś powtarza jedno i to samo.

– Michałku, tłumaczyłam już sto razy, zdjęcia z policjantem będą potem – jakaś pani wzdycha już wyraźnie podenerwowana.

– Ale ja nie chcę z policjantem. Tylko z pieskiem – chłopiec brzmi tak, jakby za moment miał się rozplakać.

– Z pieskiem też – kobieta dodaje, a ja na szczęście docieram do Jakuba.

To dopiero początek, a czuję, że zdążyłam się spocić. Gruba warstwa pluszu i takie środowisko działają na mnie po stokroć mocniej niż sauna. Jestem przekonana, że po kilku takich występach straciłabym parę zbędnych kilogramów. Chociaż taki plus. Na siłę szukam korzyści wynikających z tej sytuacji, by nie myśleć, jak bardzo jestem wkurzona. Ale rozbawiony wzrok szanownego pana policjanta skutecznie mi o tym przypomina. Podchodzę do niego i wielką łapą głaszczę go po głowie. Pod włos, mierzwiąc przy tym jego

doskonałą fryzurę.

Dzieci się śmieją. On grozi mi palcem, udając, że wcale go to nie wzrusza. Wstaje i chrząka, rozpoczynając swój występ. Przedstawia zajmowane przez siebie stanowisko, swoje imię i nazwisko, a potem przechodzi do wykładu.

Mija może kilkanaście minut, w trakcie których po prostu robię za tło. Na środku sali gimnastycznej łąduje makieta przejścia dla pieszych i jakieś atrapy sygnalizacji świetlnej. Zadowolone maluchy popisują się swoimi umiejętnościami i wiedzą dotyczącą zasad bezpieczeństwa, a Jakub tłumaczy, jak ważna jest ostrożność i jak wiele można dzięki niej zyskać. Uczniowie za dobre odpowiedzi otrzymują odblaski. Nic dziwnego, że na każde zadane przez Jakuba pytanie w efekcie pojawia się las rąk. Wszyscy chcą nagrodę.

Wsluchuję się w jego głos. Pewny, zdecydowany i ciepły. Choć nigdy bym go o to nie podejrzewała, naprawdę radzi sobie z dziećmi. Uśmiecha się, a ilekroć odwraca się w moją stronę, mam wrażenie, że robi mi się jeszcze goręcej. Ma naprawdę ładny profil. Prosty nos, intensywne spojrzenie, w którym kryje się tak wiele zagadek.

– Macie do pana policjanta jeszcze jakieś pytania? – Na ziemię sprowadza mnie głos dyrektora, który przeplata się z dźwiękiem szkolnego dzwonka. Właśnie sobie uświadamiam, że minęło już czterdzieści pięć minut lekcji.

Rozglądam się po bardzo zaangażowanej w to wydarzenie publiczności i widzę, co nie jest dla mnie zaskoczeniem, że zgłaszają się prawie wszyscy.

– Proszę – Jakub wskazuje kogoś z tłumu.

– A czy ma pan prawdziwy pistolet? – pada pytanie zadane przez kogoś z przodu. Zerkam na Jakuba, zdając sobie sprawę, że faktycznie musi go mieć. Nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

– Tak, mam. – Odpowiedź policjanta zostaje skwitowana wielkim „łaf”.

– A kajdanki? – wrywa się komuś.

– Kajdanki też są prawdziwe – Jakub jest rozbawiony. Dzieci, jak to dzieci, najbardziej ekscytują się tym, co dla większości wydaje się po prostu niedostępne.

– A czy rozdaje pan mandaty? Moja mama zawsze przeklina, jak widzi policjanta, a pan jest fajny – jeden z chłopców tłumaczy z przejęciem. A ja z trudem powstrzymuję się od śmiechu. Chichoczę po cichu, wyczekując reakcji Jakuba. Opuszcza głowę, jakby próbował coś ukryć. Zastanawiam się, czy to go oburza, czy po prostu śmiesz, ale dałabym własną głowę, że jest w doskonałym humorze.

– Czasami muszę wypisać mandat – Jakub wzrusza ramionami. – Gdyby policjanci tego nie robili, kierowcy czuliby się bezkarni. Jeździliby zbyt szybko, łamaliby przepisy drogowe, w efekcie mielibyśmy więcej wypadków.

Chłopczyk potakuje, jakby zrozumiał. Siada na miejsce, kiedy głos zaczyna zabierać ktoś inny. Wystrzeliwujące w górę rączki mienia mi się przed oczami. Maluchy robią wszystko, by zostać zauważone. Podskakują, machają rękami, ktoś wrywa się z szeregu i rusza w naszą stronę, co spotyka się z szybką reakcją nauczycielki.

Kolejne kilkanaście minut upływa w rytmie niekończących się mniej lub bardziej dziwnych pytań, często zabawnych i stawiających Jakuba w niezręcznej sytuacji. Z każdej jednak jest w stanie jakoś wybrnąć. Nie liczyłam, że przeczuwana przeze mnie katastrofa zakończy się w zupełnie inny sposób. Choć nie mam zamiaru się do tego przyznać, to było całkiem ciekawe doświadczenie.

Na koniec stajemy do pamiątkowych zdjęć. Klasami, żeby dzieciaki były w stanie pomieścić się w kadrze. Chociaż to Jakub był królem tego spotkania, wszyscy chcą stać dokładnie przy moim boku. Rozpoczynają się drobne przepychanki i kłótnie, które nauczycielki starają się jakoś ugasić.

Sala gimnastyczna powoli pustoszeje. Macham dzieciakom na pożegnanie, bujając się w rytm jakiejś piosenki o pracy policjanta. Kiedy zostajemy zupełnie sami, dyrektor zamyka drzwi i podchodzi w naszą stronę. Jakub pomaga mi zdjąć wielki, pluszowy łeb. Potrząsam głową i dmucham, próbując odgarnąć włosy opadające mi na twarz. Dyrektor rusza mi na ratunek i odgarnia z twarzy niesforny kosmyk. Kątem oka zauważam, że Jakub nam się przygląda.

– Bardzo państwu dziękuję. Bardzo – dyrektor wydaje się zachwycony wystąpieniem. – Nie spodziewałem się, że dzieci będą aż tak zainteresowane. Słuchały z takim przejęciem! – W jego głosie pobrzmiewa autentyczny entuzjazm.

– Mam nadzieję, że coś z tego wyniosą – odpowiada beznamiętnie Jakub, po czym zaczyna pakować

do torby gadżety, które ze sobą tutaj przywłókł.

– Z pewnością tak. A teraz zapraszam na kawę i ciastko – dyrektor zerka w moją stronę. Uśmiecha się.
– Kiedy już oczywiście zdąży się pani z tego uwolnić. Mamy sernik i szarlotkę. Piekła jedna z mam rady rodziców i gwarantuję, palce lizać – tłumaczy mi, zupełnie ignorując pochłoniętego sprzątaniami Jakuba. Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Chyba niegrzecznie odmówić, choć szczerze powiedziawszy, wolałabym czym prędzej się stąd ulotnić. Obietnica złożona Jakubowi nie zwolniła mnie ze służbowych obowiązków, a południowa zmiana w salonie fryzjerskim już na mnie czeka.

– Bardzo panu dziękuję. Sama nie wiem – zakłopotana zerka na Jakuba.

– Dziękujemy, ale musimy już wracać do obowiązków – odpowiada za nas oboje, płynnie włączając się do rozmowy.

Dyrektor potakuje, splatając ręce w koszyczek.

– Szkoda, szkoda – mamrocze. – A pani? Może się pani jednak skusi. Szkoda, żeby się zmarnowało – wydaje się niepocieszony. Wcześniej w szatni nie sprawiał wrażenia aż tak gościnnego. – Nieczęsto mamy okazję gościć tutaj tak piękne damy – dodaje ciszej. Nie wiem czemu mam dziwne poczucie, że próbuje mi się przypodobać.

– To znaczy... – zaczynam, ale Jakub nie pozwala mi skończyć.

– Powiedziałem panu, że mamy inne obowiązki. Oboje – staje obok dyrektora i zakłada ręce pod boki.

– Dziękujemy za wszystko, ale musimy już iść.

– No tak – dyrektor drapie się po głowie. Potem zerka w moją stronę i chrząka zmieszany. – W takim razie – rozkłada ręce – nie będę państwa zatrzymywał. Zaczekam na dole – dodaje, po czym odwraca się i odchodzi.

ROZDZIAŁ 16

Jakub

Otwieram klapę bagażnika auta i pakuję do środka torbę ze strojem psa. Zatrząskuję i przechodzę dalej. Łapię za klamkę tylnych drzwi i szarpie. Odpuszczam, choć chciałem wrzucić tam parę pozostałych gadżetów. Zdaje się, że przez ten mróz zamarzły uszczelki. Zimno jak diabli, a ja paraduję w samym tiszercie. Wracam do szatni, żeby zabrać kurtkę.

Już po wszystkim. Godzina edukacyjna przebiegła zgodnie z planem. I byłbym w całkiem dobrym humorze, gdyby pewien nachalny typ po prostu mi go nie popsuł. Może niepotrzebnie się wkurzam, ale nic nie drażni mnie bardziej niż faceci w podeszłym wieku zalecający się do młodych dziewczyn. Jakby brakowało im taktu i wyczucia sytuacji. Chyba dostatecznie wyraźnie wyraziłem się w kwestii proponowanej gościny. Tak trudno było zrozumieć? Szkoda słów.

Staję przed drzwiami szatni i biorę głęboki wdech. Przez głowę kolejny raz zaczynają mi przelatywać różne myśli. Nim rozkojarzę się na dobre, wchodzę do środka. Lena zakłada właśnie drugi but. Na ławce wciąż leży jej zimowa czapka. Próbuje nie zwracać na nią uwagi, sięgam po kurtkę. Wymowna cisza wypełniająca pomieszczenie aż prosi się o jakiś komentarz.

– Ochłonąłeś? – słyszę za plecami głos. Odwracam się w jej stronę, ale zaledwie na moment.

– O czym ty mówisz? – udaję zaskoczonego.

– O dyrektorze przecież – tłumaczy. – Wyglądałeś na wkurzonego.

– A, o to chodzi – odpowiadam. Zapinam kurtkę. – Po prostu nie lubię ludzi, którzy z czymś się narzucają. Nie powinno oznaczać nie. Cała filozofia – kończę.

– Surowe zasady pana policjanta – śmieje się, a jej reakcja sprawia, że zerkam jej prosto w oczy. – Swoją drogą, naprawdę nieźle sobie poradziłeś. Masz świetny kontakt z dziećmi. – O mało nie wybucham śmiechem. Kpiarskim oczywiście. Pierwszy raz ktoś mówi mi coś podobnego. Ja i dzieci?

– Co z tego, skoro na koniec wszyscy chcieli zdjęcie z tobą. Nie musiałaś się odzywać, żeby zrobić wrażenie. A to ostatecznie ja musiałem się tam produkować. – Rozmowa sprawia, że trochę się rozluźniam.

– Nie ze mną, tylko ze Sznupkiem – błyska białymi zębami. Na jednym z policzków pojawia się mały dołek. Mój oddech przyspiesza. Zupełnie nietypowo. Znam ten stan. Już kiedyś go przeżywałem. – Czy chciałeś przez to powiedzieć, że dobrze sobie poradziłam? – Lena porusza wymownie brwiami. Wyraźnie mnie podpuszcza. Wie, że dotąd słowa pochwały względem niej niełatwo przechodziły mi przez gardło.

Co się ze mną do jasnej cholery dzieje? Zastanawiam się, czy bardziej chciałbym oddelegować ją na inną planetę, czy po prostu zatrzymać. Ostatnio im dłużej ze sobą rozmawiamy, tym bardziej skłaniam się ku tej drugiej opcji. Dzisiaj mi pomogła, choć tak naprawdę wcale nie musiała tego robić.

– Tego nie powiedziałem – przecież nie mogę dać jej tej satysfakcji.

– Ale o tym pomyślałeś – dodaje swoje trzy grosze. Potakuje sama sobie z nieskrywanym triumfem. – Wiesz co? Czasami myślę, że trochę boisz się ludzi. – Przekrzywia głowę i wali prosto z mostu. Jak gdyby nigdy nic.

– Słucham? – Mrużę oczy, by uważniej się jej przyjrzeć. Chyba o czymś nie wiem. Ostatnio raczej nie zdarzyło mi się przed nikim uciekać. – Dlaczego miałbym się ich bać? – Nie żebym chciał zgrywać tutaj nieustraszonego. Ale to co mówi, jest absurdem.

– Bo chowasz wszystko w sobie. Nie mówisz zbyt wiele. Tworzysz wokół siebie skorupę, przez którą naprawdę szalenie trudno się przebić. – Kiedy kończy, opuszcza głowę.

Wzdycham.

– Sądzisz, że mówienie wszystkiego, co przychodzi do głowy, jest w porządku? – Robię krótką pauzę. Kiedy na powrót na mnie patrzy, kontynuuję. – Mam chlapać na prawo i lewo, co o kim sądzę? To jest twoim zdaniem okej? – dopytuję, ale nie odpowiada. – Chciałabyś ode mnie usłyszeć, że jesteś lekkomyślna i nierozsądna? Bo akurat to w danym momencie może mi przyjść do głowy?

– Tak mnie widzisz? – Przerzywa mi. Zamyka oczy, ale tylko na parę sekund. Potem szybko zabiera czapkę z ławki i chce mnie minąć. Nietrudno rozszyfrować wyraz jej twarzy. Zraniłem ją. Sprawilem jej ból,

choć nigdy nie powinienem był tego robić.

Łapię ją za rękę i powstrzymuję przed ucieczką. Kolejny już raz tego dnia. Teraz jednak wcale nie chodzi o służbowe obowiązki. Robię to, co podpowiada mi serce.

– Zaczekaj, Lena! – Próbuję na nią wpłynąć, ale udaje się jej wyszarpać. Nie chcę jej przytrzymywać, by nie zrobić jej krzywdy. Wychodzę za nią na pusty korytarz prowadzący prosto do zewnętrznych drzwi. Prawie biegnie. – Lena! – wołam. – Do cholery, Lena! – W końcu się odwraca.

Kiedy to robi, widzę, że po jej policzkach płyną łzy. Żal ściska mnie za gardło.

– Co chcesz mi jeszcze powiedzieć? – Podchodzi do mnie. – Że jestem naiwna? Głupia? Że niczego w życiu nie potrafię? – Targają nią emocje. Znowu chce odejść, nie dopuszczając mnie nawet do słowa. Nim jednak jej się to udaje, opieram rękę o ścianę, blokując jej możliwość ucieczki. Zerka na mnie zaskoczona, kiedy stoję tuż przy niej. Przewyższam ją o głowę, więc patrzę na nią z góry.

– Nigdy więcej nie mów takich rzeczy. – Staram się mówić najspokojniej, jak tylko potrafię. Mimo to mój głos nie brzmi naturalnie. – Bo nie są prawdziwe. Nie jesteś głupia, naiwna ani nierozsądna, choć szczerze powiedziałem, kiedy spotkałem cię pierwszy raz, tak właśnie o tobie pomyślałem. Ty wtedy nazwałaś mnie gburem. – Przypominam jej o tym. – Nie płacz – proszę ją, bo nie mogę patrzeć na jej łzy. Ścieram je wierzchem dłoni, a ona rozchyła lekko usta, jakby mój dotyk zabrał jej powietrze. Jej skóra jest delikatna jak jedwab. Moją ręką styka się z jej ciałem znacznie dłużej, aniżeli trzeba. Tracę rozum, ale w tym momencie walka z emocjami zaczyna mnie przerastać.

– To kim dla ciebie jestem, co? – Lena szepcze prosto w moje usta, skracając dystans, jaki nas dzieli. – Kim, Jakub? – powtarza.

A ja nie potrafię odpowiedzieć na to krótkie, banalnie proste pytanie.

– Nie wiem – kręcę głową i na moment odwracam wzrok. A potem schylam się ku jej twarzy.

Jej miękkie i delikatne wargi są na mnie gotowe. Świat dookoła nas przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie liczy się przeszłość ani to, co będzie. Jest tylko tu i teraz.

Odrywam się na moment po to, by na nią zerknąć. Lena patrzy na mnie spod półprzymkniętych powiek. Jest tak szalenie piękna.

– Kuba – jęczy. Nachylam się, by kontynuować. Rozsądek schodzi na dalszy plan.

Wtedy nieopodal nas rozlega się głośnie chrząknięcie.

Odrywam się od ściany jak rażony prądem. Zakładam ręce pod boki, nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić.

– Państwo już wychodzą, tak? – głos dyrektora przecina ściany korytarza. Wracam na ziemię, a zderzenie z jej powierzchnią nie należy do najprzyjemniejszych. Nie mam pojęcia, jak długo nam się przypatrywał, ale nie spodziewałem się, że tak szybko wróci. Przyszkolna sala gimnastyczna tworzy odrębny budynek, a on zdążył się już z nami pożegnać i wyjść do swojego gabinetu. Lena opuszcza głowę, jakby znalazła się właśnie u niego na dywaniku.

– Tak. My już idziemy – tłumaczę, bo w zasadzie nie powinno go to jakoś szczególnie obchodzić. Nie ma tutaj dzieci. Byliśmy z Leną kompletnie sami.

Jednak to, co się stało, nie powinno się wydarzyć. Nie ze względu na dyrektora. Ale ze względu na naszą sytuację.

Wychodzimy w milczeniu, mijając go niemalże w progu drzwi.

– Do widzenia – dodaje cichutko Lena, a potem mknie prosto w kierunku policyjnego radiowozu.

ROZDZIAŁ 17

Lena

Warunki panujące na drodze nie należą do łatwych. Nocą padało, więc samochody ślizgają się jak na lodowisku. Za parę godzin będę musiała wyjechać do pracy, a przecież nie należę do wybitnie obytych kierowców. Powinnam zacząć się martwić, bo bieżniki w moich oponach pozostawiają wiele do życzenia. Tymczasem w tym momencie to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Absolutnie żadnego. Bo nie potrafię skupić się na niczym innym niż na tym, co wydarzyło się pomiędzy mną a Jakubem dosłownie parę minut temu.

Wracamy do mojego domu, a absolutna cisza sprzyja refleksji. Aż do dzisiejszego dnia nie miałam pojęcia, że pocałunek może mieć tak wiele różnych wymiarów. Ten był zupełnie inny od wszystkich moich poprzednich. Czułam go całym ciałem. Każdą swoją cząstką. W ciągu jednej sekundy byłam gotowa oddać całą siebie. Błagać o więcej. Człowiek, który siedzi obok mnie, jeszcze całkiem nie tak dawno zupełnie obcy, teraz dosłownie mną zawładnął.

Milczy. Jest skupiony. Marzę o tym, by wejść do jego głowy i odkryć myśli. Chciałabym się do niego odezwać, ale zabrakło mi słów. Czekam, aż zrobi to pierwszy.

Tymczasem bawię się zapinką kurtki, stukając w nią palcem i bezsensownie wgapiam się w okno. Moje policzki czerwienieją od emocji, które tak ciężko zatrzymać. Nie potrafię udawać, że nic się nie stało, generując chyba dziewięćdziesiąt dziewięć procent napięcia, jakie wypełnia wnętrze auta. Jedna część ze stu należy do Jakuba, którego kamienna twarz nie wyraża nic. Zupełnie nic oprócz skupienia.

– Kuba... – zaczynam, bo nie potrafię inaczej.

– Lena, posłuchaj – przerywa mi, nim w ogóle zdołam coś dodać. – Zanim coś powiesz, powinnaś wiedzieć, że to, co się stało, nigdy nie powinno było się wydarzyć.

Przełykam ślinę. Zamykam powieki.

Boże...

Zamykam usta, bo nagle wszystko, co chciałam powiedzieć, wydaje się nie na miejscu.

– Rozumiem – wyduszam z trudem, choć nie rozumiem tego wcale. Byłam przekonana, że jego pocałunek był szczery. Że było w nim coś więcej niż spontaniczne pragnienie. Niż chwilowy żar czy przelotny kaprys. Sam zaczął. Przecież to on przejął inicjatywę. Nagle zmienił zdanie?

Powinnam jakoś to skomentować. Powiedzieć na przykład, że ma rację. Ale te słowa nie chcą precyzyjnie mi się przez gardło. Bo nie uważam ich za prawdziwe.

Odwraca się w moją stronę tylko na kilka sekund. Uciekam wzrokiem, bo nie potrafię spojrzeć mu prosto w oczy. Już i tak pokazałam aż nazbyt wiele. Nie powinien widzieć nic więcej.

– Chcę, żebyś wiedziała, że wszystko to, co powiedziałem, było prawdą. Jesteś wartościową i atrakcyjną dziewczyną – dodaje, a ja uodparniam się na jego komplementy. Jego słowa tylko pogłębiają mój fatalny stan. Nie są lekarstwem, bo i tak nie mają żadnego znaczenia. Żadnego, skoro to wszystko było dla niego błędem. – Tutaj chodzi tylko i wyłącznie o mnie. Nie powinienem był tego robić. – Słyszę, jak ciężko oddycha. – Przepraszam. Naprawdę Lena. Bardzo cię przepraszam.

Potakuję głową. To wszystko, na co w tym momencie mnie stać. Chciałabym już tylko jak najszybciej opuścić radiowóz.

Kiedy więc wreszcie wjeżdżamy na szutrową drogę prowadzącą do mojego domu, zbieram w sobie resztki sił, by wykrzesać jedno jedyne zdanie.

– Chciałabym wysiąść tutaj. – Staram się zepchnąć emocje jak najgłębiej. – Jest ślisko, a obok mojego domu możesz się zagrzebać. – Muszę czym prędzej odetchnąć świeżym powietrzem. Nie dam rady siedzieć dłużej obok niego, dźwigając tak ogromne poczucie winy. Karzę samą siebie za naiwność, bo przecież to był tylko pocałunek. Tylko jeden. A ja naprawdę uwierzyłam, że może coś oznaczać.

– Podjadę pod furtkę. Spokojnie – stwierdza chłodno. Znowu. Gdzie, do diabła, podział się mężczyzna, który jeszcze przed kilkunastoma minutami patrzył na mnie zupełnie inaczej. Jakbym była dla niego kimś ważnym. Nie wierzę, że nic teraz nie czuje. Nie wierzę!

– Dzięki – mówię, kiedy tylko zatrzymuje się obok mojego domu.

– To ja dziękuję – odpowiada i choć mam wrażenie, że chce coś dodać, szybko wychodzę.

Zatraskuję za sobą drzwi. Zdejmuję buty, rzucam kurtkę na kanapę w salonie, a kiedy siadam obok niej, wybucha głośnym płaczem. Tak głośno nie płakałam od wielu lat. Wszystko się nawarstwia. Sytuacja z mamą, samotność i zdarzenie z udziałem Jakuba. Ono tylko dołało oliwy do ognia. Każdy z nas ma swoje granice, moja właśnie została mocno nagięta. Nie wytrzymała i pękła, a ja wraz z nią.

Przeżyłam już wiele pocałunków. Krótkich i ledwo zapamiętanych, długich i namiętnych, tych, w trakcie których czułam pożądanie i przyjemność oraz tych, które chciałam jak najszybciej zakończyć. Nad niewieloma się zastanawiałam. Tylko niektóre pozostały ze mną na dłużej. Teraz było jednak zupełnie inaczej i chyba to właśnie boli mnie najbardziej.

Do głowy przychodzi mi tylko jeden wniosek. Beznadziejny. Stawiający mnie w świetle, w którym nie mogę wyglądać już gorzej. Tak bardzo nie chcę tego zaakceptować, ale nie potrafię okłamywać samej siebie. Bo czuję, że beznadziejnie się zakochałam. A załączki tego uczucia dawały mi o sobie znać już jakiś czas temu. Teraz zaatakowały mnie z podwójną siłą. Pech jednak chce, że obiektem moich westchnień stał się mężczyzna, który od samego początku wydawał się tak bardzo nieosiągalny. Jakub Lincner nie jest mi pisany i im prędzej to zrozumie, tym dla mnie lepiej.

11 GRUDNIA 1998

KSIĄDZ PRZYSZEDŁ DZISIAJ DO NAS Z ODWIEDZINAMI KOLEĐOWYMI. MINISTRANCI ODŚPIEWALI ADWENTOWĄ PIEŚŃ, A JEDEN Z NICH TAK BARDZO FAŁSZOWAŁ, ŻE Z TRUDEM ZACHOWAŁAM POWAGĘ. MÓWIŁ COŚ O PRZYKŁADZIE, JAKI DAJEMY. O TYNIECKIEJ SPOŁECZNOŚCI, KTÓRA WSPIERA SIĘ NA KAŻDYM KROKU. PODPYTAŁ, CZY KTOŚ Z NAS NIE ZGODZIŁBY SIĘ NA WZIĘCIE UDZIAŁU W CHARYTATYWNEJ ZBIÓRCE ŚRODKÓW POTRZEBNYCH DO ŻYCIA DLA UBOGICH PARAFIAN. ZGŁOSIŁAM SIĘ, BO PRZECIEŻ KTOŚ MUSI. POMAGANIE DAJE RADOŚĆ.

KIEDY MAMA BYŁA JESZCZE W PEŁNI SIŁ, PRZED ŚWIĘTAMI ZAWSZE ODWIEDZAŁA SĄSIADÓW I OBDAROWYWAŁA ICH WŁASNYMI WYROBAMI, CHOĆ DOBROBYT NIGDY NIE WYLEWAŁ SIĘ JEJ Z KIESZENI. Z CZASEM TA TRADYCJA ZANIKŁA, ALE NIGDY NIE JEST ZA PÓŹNO, BY ZROBIĆ COŚ DOBREGO DLA TYCH, KTÓRZY ŻYJĄ WOKÓŁ NAS. ALE LUDZIE RÓŻNE RZECZY WIDZĄ Z RÓŻNYCH PERSPEKTYW I LUBIĄ INACZEJ JE INTERPRETOWAĆ. WIECZOREM, KIEDY SIEDZIELIŚMY PRZY KOLACJI, KRYSIA, MOJA WŁASNA SIOSTRA, ZARZUCIŁA MI, ŻE ROBIĘ TO WSZYSTKO NA POKAZ. WYGARNEŁA MI, ŻE LEPIEJ ZAJĘŁABYM SIĘ PORZĄDKAMI W DOMU NIŻ PRÓBAMI PRZYPODOBANIA SIĘ KSIĘDZU. PRZECIEŻ SPRZĄTAM I ROBIĘ TO, CO DO MNIE NALEŻY. I NIGDY LUDZKIE POCHWAŁY NIE SKŁONIŁYBY MNIE DO TEGO, BY CZYNIĆ JAKIEŚ DOBRO. TYLKO KU CHWALE BOGA I DLA ZASPOKOJENIA SWOJEGO SUMIENIA. TYLKO. ALE TO BYŁ TYLKO POCZĄTEK AFERY, KTÓRA OD TEGO MOMENTU NIEUCHRONNIE WISIAŁA W POWIETRZU. STASZEK SIĘ ZA MNĄ WSTAWIŁ. POWIEDZIAŁ TYLKO TYLE, ŻE CHYBA PRZESADZA. TYLKO TYLE. KRYSIA WSTAŁA OD STOŁU I UDERZAJĄC RĘKĄ W BLAT WYKRZYCHAŁA, ŻE MOŻE POWINIEN PÓJŚĆ NA ZBIÓRKĘ ZE MNĄ. ŻE W ZASADZIE WSZYSCY JESTEŚMY SIEBIE WARCII I ŻE MAMY ŻREĆ SOBIE SAMI, BO NIE JEST W STANIE NA NAS DŁUŻEJ POTRZEĆ. POSZŁA, A MAMA ZACZEŁA UBOLEWAĆ, ŻE W TAKIM KLIMACIE DOBRYCH ŚWIĄT U NAS NIE BĘDZIE. JAKBY TO BYŁA MOJA I STASZKA WINA.

NIE WIEM, CO JĄ UGRYZŁO. JAKBY COŚ PODEJRZEWAŁA. A PRZECIEŻ POMIĘDZY MNĄ A STASZKIEM TAK NAPRAWDĘ DO NICZEGO NIE DOSZŁO. TAK BARDZO SIĘ PRZED TYM WZBRANIAŁIŚMY. OBOJE. NIE BYŁAM WINNA TEMU, ŻE ON I KRYSIA OSTATNIO NIE DO KOŃCA POTRAFILI SIĘ DOGADAĆ. Z MAŁYMI PRZERWAMI NA POJEDNANIE TOCZYLI NIEUSTANNE WOJNY. ONA WIECZNIE WYGARNIAŁA MU SWOJE ŻALE, ON SIĘ BRONIŁ.

MY ZAŚ ZNALEŻLIŚMY WSPÓLNY JĘZYK I CHYBA TO BOLAŁO JĄ NAJBARDZIEJ. JAKBY CZUŁA, ŻE GO TRACI, A JEDNAK NIE ROBIŁA Z TYM NIC. PROBLEM W TYM, ŻE JA GO ZYSKIWAŁAM. CHOĆ WCALE TEGO NIE CHCIAŁAM I WCALE O TO NIE ZABIĘGAŁAM. WIEDZIAŁAM, ŻE TO ZŁE I ŻE NIGDY, PRZENIGDY NIE BĘDZIE MI WOLNO POZWOLIĆ SOBIE NA JAKIEKOLWIEK UCZUCIA. DZIELIŁA NAS PRZYSIĘGA MAŁŻEŃSKA. DOKŁADNIE TA,

KTÓREJ KILKA LAT TEMU MI NIE ZŁOŻYŁ.

Na papier spada jedna z moich łez. Niebieski atrament momentalnie rozmazuje się na kartce i tworzy niewielką plamę. Moja ciotka była nieszczęśliwa. Po raz pierwszy od momentu, kiedy zagłębiam się w jej pamiętnik, jest mi jej naprawdę żal. U jej boku żył człowiek, do którego musiała niewątpliwie coś czuć, a którego nie mogła nawet dotknąć.

Właśnie odkrywam karty przeszłości, towarzysząc postaciom z krwi i kości w ich własnej historii. Historii pisanej przez samo życie. To nie jest dla mnie łatwe. Moje nastawienie do tego wszystkiego zmienia się jak w kalejdoskopie. Ale tutaj w grę wchodziła miłość, a w tym momencie, jak nigdy wcześniej zdaję sobie sprawę, jak wiele może namieszać. Nie powinnam nikogo oceniać i nie zamierzam tego robić. Niezależnie od tego, co przyniesie dalszy ciąg.

22 GRUDNIA 1998

KUPIŁAM MAK. DWA WORECZKI MIELONEGO MAKU. TO WŁAŚCIWIE ZBĘDNY SZCZEGÓŁ, ALE TAK NAPRAWDĘ OD NIEGO WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO. PRZYGOTOWAŁAM KUCHENNE NARZĘDZIA I ZABRAŁAM SIĘ DO ROBOTY. OBIĘCAŁAM, ŻE W TYM ROKU PRZYRZĄDZĘ LENIWE KLUSKI Z MAKIEM I KUTIĘ Z SUSZONYMI FIGAMI. WZIEŁAM NA SIEBIE TAKŻE PRZYRZĄDZENIE RYB, PASZTECIKÓW Z GRZYBAMI I KAPUSTY Z GROCHEM. ŻEBY ODCIĄŻYĆ MATKĘ, KTÓRA Z DNIA NA DZIEŃ CORAZ BARDZIEJ SŁABŁA. CHCIAŁAM TEŻ, ŻEBY KRYSIA I STASZEK MIELI DLA SIEBIE CZAS. WIERZYŁAM, ŻE JEŚLI POŁĄCZY ICH SZCZERA ROZMOWA, PROBLEMY ROZWIĄŻĄ SIĘ SAME, A JA ZNÓW BĘDĘ MOGŁA ODETCNAĆ. PRZEJĘŁAM NIEKTÓRE ZE ŚWIĄTECZNYCH OBOWIĄZKÓW SIOSTRY, A ONA Z TEGO TYTUŁU WYDAWAŁA SIĘ NAPRAWDĘ ZADOWOLONA. PODZIĘKOWAŁA MI TAK, JAK ZA STARYCH DOBRYCH CZASÓW. I JAK ZA STARYCH DOBRYCH CZASÓW WYDAWAŁA SIĘ BYĆ W DOBRYM HUMORZE. OBOJE POSZLI DO TEATRU. KIEDYŚ CHODZILI DO NIEGO ZNACZNIE CZEŚCIEJ. MOJA SIOSTRA STWIERDZIŁA, ŻE ZANIEDBALI MAŁŻEŃSKIE RELACJE I MUSZĄ JE ODBUDOWAĆ. COKOLWIEK TO ZNACZYŁO. ALE JA WIEDZIAŁAM, ŻE JEŚLI ONA NIE PRZESTANIE OBRZUCAĆ STASZKA PRETENSJAMI O NIEPOWODZENIA, TO ANI TEATR, ANI KINO CZY ROMANTYCZNE SPACERY NIE POMOGĄ.

JAKOŚ TAK CIĘŻKO BYŁO MI NA SERCU. OSTATNIE NIESPODZIEWANE WYDARZENIA ROZDRAPAŁY STARE RANY. PRZEZ TYLE LAT MIJALIŚMY SIĘ OBOJĘTNIE. WYSTARCZYŁA CHWILA, BY WSZYSTKO POWRÓCIŁO.

WŁAŚNIE KOŃCZYŁAM ROBIĆ KARPIA PO ŻYDOWSKU, KIEDY USŁYSZAŁAM OTWIERAJĄCE SIĘ DRZWI. UMYŁAM RĘCE, NUCĄC Z MAMĄ POD NOSEM STARE PASTORAŁKI. KIEDY ŻYŁ TATA, ŚPIEWALIŚMY JE ZNACZNIE CZEŚCIEJ. BYŁ PRAWDZIWĄ SKARBNICĄ WIEDZY I CO CHWILA UCZYŁ NAS NOWYCH TEKSTÓW. SAME Z MAMĄ NIE WIEDZIAŁYŚMY, SKĄD TO WSZYSTKO BRAŁ.

SIĘGNĘŁAM PO DRUGI Z WORECZKÓW Z MAKIEM. SUPEŁ ZAWIĄZANY NA SAMYM KOŃCU NIE CHCIAŁ PUŚCIĆ, WIĘC POŁOŻYŁAM WOREK NA BLACIE I PRÓBOWAŁAM WYDRAŻYĆ DZIURĘ. POCIĄGNĘŁAM MOCNIEJ, A CIENKIE SZTUCZNE TWORZYWO ROZSUNĘŁO SIĘ ZNACZNIE MOCNIEJ, NIŻ ZAKŁADAŁAM. DROBNE ZIARENKA POSYPAŁY SIĘ NA PODŁOGĘ, A JA, PRÓBUJĄC JE RATOWAĆ, NAROBIŁAM JESZCZE WIĘKSZEGO BAŁAGANU. CAŁOŚĆ WYLĄDOWAŁA NA PARKIECIE.

„BRAWO SIOSTRA” – KRYSIA POWITAŁA MNIE NAPRAWDĘ ROZBAWIONA. „RÓB TAK DALEJ, TO NA WIGILIĘ BĘDIEMY JEDLI SUCHY CHLEB”. NIBY ŻARTEM, A JEDNAK USZCZYPLIWIE. POCZUŁAM, JAK NERWY ZACZYNAJĄ KOŁATAĆ MOJE I TAK MOCNO NADWYRĘŻONE JUŻ SERCE. ZERKNĘŁAM NA STASZKA, KTÓRY WCALE JEJ NIE WTÓROWAŁ. PATRYŁ NA MNIE ZA TO TAK, JAKBY CHCIAŁ RZUCIĆ MI SIĘ NA RATUNEK. SAMA NIE WIEDZIAŁAM, CZY TEGO BYM SOBIE ŻYCZYŁA. WIEM, CO WTEDY MOGŁOBY SIĘ STAĆ.

ZOSTAWIAJĄC TEN CAŁY KRAM, MINĘŁAM ICH I WYBIEGŁAM Z KUCHNI. NIE CHCIAŁAM, ŻEBY WIDZIELI, JAK POD POWIEKAMI SZCZYPIĄ MNIE ŁZY.

„A JĄ CO UGRYZŁO” – TAK SKOMENTOWAŁA MOJE ZACHOWANIE. NIE WIEM, CO MÓWIŁA POTE, BO ZABRAŁAM KURTKE I WYBIEGŁAM NA MRÓZ. MOKRĄ TWARZ OD RAZU DOPADŁO UCZUCIE CHŁODU. PODCIĄGNĘŁAM FUTERKOWY KOŁNIERZ I ZATOPIŁAM W NIM

POLICZKI TAK MOCNO, JAK TYLKO BYŁAM W STANIE. SPACEROWAŁAM Z DOBRĄ GODZINĘ. DOSZŁAM DO WNIOSKU, ŻE POMIMO ZIMNA NIE CHCĘ WRACAĆ DO DOMU. POSZŁAM DO KOŚCIOŁA, GDZIE PRZY OŁTARZU STAŁA JUŻ DREWNIANA STAJENKA Z WIELKIMI KOLOROWYMI FIGURAMI JEZUSA ORAZ JEGO RODZICÓW. NIE PŁAKAŁAM, MUSIAŁAM SIĘ TRZYMAĆ, BO OPRÓCZ MNIE W ŁAWKACH SIEDZIELI INNI LUDZIE. ODBYWAŁA SIĘ PRZEDŚWIĄTECZNA SPOWIEDŹ I KOMPLETNĄ CISZĘ OD CZASU DO CZASU PRZERYWAŁO TYLKO CICHE POSTUKIWANIE W KONFESJONAŁ.

KIEDY WRÓCIŁAM DO DOMU, POSZŁAM PROSTO DO SIEBIE. NIE CHCIAŁAM Z NIKIM ROZMAWIAĆ, CHOĆ MATKA STANĘŁA MI NA DRODZE W NOCNEJ KOSZULI I POWIEDZIAŁA, ŻE NIE POWINNAM SIĘ TAK OBRAŻAĆ. O NICZYM NIE MIAŁA POJĘCIA. NIE WIDZIAŁA, JAK BARDZO CIERPIĘ. JAK WALCZĘ Z WŁASNYMI SŁABOŚCIAMI, BO CZYJEŚ SZCZĘŚCIE BYŁO DLA MNIE WAŻNIEJSZE NIŻ SWOJE WŁASNE. ALBO NIE CHCIAŁA TEGO WIDZIEĆ. I TO BYŁO DLA MNIE NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCE. SAMOTNOŚĆ POŚRÓD LUDZI POWOLI ZABIJA. DLATEGO ZACZĘŁAM PISAĆ. ŻEBY NIE ZWARIOWAĆ. BO KAŻDY Z NAS MUSI MIEĆ KOGOŚ, ŻEBY WYRZUCIĆ Z SIEBIE WSZYSTKIE CIĄŻĄCE MYŚLI.

23 GRUDNIA 1998

OBUDZIŁAM SIĘ O SZÓSTEJ NAD RANEM, A WIĘC SPAŁAM NIE WIĘCEJ NIŻ DWIE I PÓŁ GODZINY. LEDWO OTWORZYŁAM OCZY, A JUŻ POCZUŁAM, JAK SZYBKO BIJE MI SERCE. LEŻAŁAM TAK I MYŚLAŁAM, CZY TO, CO WYDARZYŁO SIĘ ZALEDWIE PARĘ CHWIL WCZEŚNIEJ, BYŁO PRAWDZIWE. A MOŻE BYŁO TYLKO SNEM. W NOCY, KIEDY ZMÓWIŁAM JUŻ MODLITWĘ I POŁOŻYŁAM SIĘ SPAĆ, OTWORZYŁY SIĘ DRZWI MOJEGO POKOJU. TO BYŁ STASZEK. TYM RAZEM NIE ZAPUKAŁ. SKARCIŁAM GO, BO PRZECIEŻ MOĞŁAM SIĘ WŁAŚNIE PRZEBIERAĆ. ODPOWIEDZIAŁ, ŻE TO BYŁBY NAJPIĘKNIEJSZY WIDOK JEGO ŻYCIA. NIE SPODZIEWAŁAM SIĘ, ŻE AKURAT TEGO DNIA BĘDZIE TAK BARDZO BEZPOŚREDNI. USIADŁ NA SKRAJU MOJEGO ŁÓŻKA. ZŁAPAŁ MNIE ZA RĘKĘ I PRZEPROSIŁ ZA ZACHOWANIE KRYSI. JAKO JEDYNY PRAWDZIWIE SIĘ ZA MNĄ WSTAWIŁ, CHOĆ WCALE TEGO OD NIEGO NIE OCZEKIWAŁAM. POWIEDZIAŁAM, ŻE TO NIE ON JEST WINIEN I ŻE JUŻ NIE JEST MI TAK BARDZO PRZYKRO. ŻE PRZESADZIŁAM, WYCHODZĄC Z DOMU. CHOĆ TO WSZYSTKO BYŁO KŁAMSTWEM. CZUŁAM SIĘ ŻŁE. CZUŁAM SIĘ PO PROSTU GORSZA.

KAZAŁAM MU WRACAĆ DO ŻONY. W KOŃCU GDYBY NIE JEGO WYBORY, NASZA HISTORIA MOĞŁABY POTOCZYĆ SIĘ INACZEJ. JESZCZE JAKIŚ CZAS TEMU BYŁ NIĄ OCZAROWANY. NIEPOTRZEBNIE ZACZAŁ ROZGRZEBYWAĆ TO, CO NIE BYŁO JUŻ AKTUALNE.

ALE ON NIE CHCIAŁ DO NIEJ WRÓCIĆ. ZAMIAST TEGO PRZYSIADŁ JESZCZE BLIŻEJ MNIE. PRZYCISNAŁ MOJĄ DŁOŃ DO SWOJEGO SERCA I POWIEDZIAŁ, ŻE ŻAŁUJE CAŁEJ PRZESZŁOŚCI. NIE WYTRZYMAŁAM. CHOĆ NIGDY PRZED NIM NIE PŁAKAŁAM, NIGDY, TO BYŁ MÓJ PIERWSZY RAZ. NIETRUDNO SIĘ DOMYŚLIĆ, JAK SZOKUJĄCE OKAZAŁY SIĘ DLA NIEGO MOJE ŁZY. PRÓBOWAŁAM JE UKRYĆ. STŁUMIĆ. ALE DOSKONALE JE WIDZIAŁ. WYSZEPTAŁAM MU, ŻE JA TEŻ JEJ ŻAŁUJĘ. A POTEM WSZYSTKO POTOCZYŁO SIĘ TAK SZYBKO.

SZARPNAŁ KOŁDRĘ, ODSŁANIAJĄC MOJĄ NOCNA KOSZULĘ. BYŁAM ZBYT OSZOŁOMIONA JEGO PORYWCZOŚCIĄ, BY ZAREAGOWAĆ. PRZYCISNAŁ CZOŁO DO MOJEGO CZOŁA TAK, ŻE TYŁ MOJEJ GŁOWY WSPARŁ SIĘ O ŁOŻNICĘ. I MNIE POCAŁOWAŁ. TAK, JAK KIEDYŚ.

PALCAMI ZŁAPAŁ MNIE ZA RAMIĘ. DOSKONALE ZDAŁAM SOBIE Z TEGO SPRAWĘ, BO JEGO DOTYK CZUJĘ TAM DO TERAZ. POTEM PRZESUNĄŁ DŁOŃ NIŻEJ. ODWAŻNIE, W KIERUNKU BRZUCHA. NIE WIEM, CZY TO BYŁ INSTYKNT, PRZYPADEK CZY ZAMIERZONE DZIAŁANIE, ALE SPRAWIŁ, ŻE ZNALAZŁAM SIĘ W OGNIU. NIE WIDZIAŁAM ŚWIATA POZA NIM. W TYM JEDNYM MOMENCIE.

ODSUNĄŁ SIĘ PIERWSZY.

PRZEZ CHWILĘ NIE ODZYWALIŚMY SIĘ DO SIEBIE. „CZUJĘ SIĘ, JAKBYM SIĘ NA NOWO URODZIŁ” – TAK MI POWIEDZIAŁ. ODPOWIEDZIAŁAM MU, ŻE JA PRZEZ NIEGO UMRE.

UŚMIECHNAŁ SIĘ, CHOĆ MNIE WCALE NIE BYŁO DO ŚMIECHU. BAŁAM SIĘ SWOICH WŁASNYCH PRAGNIEŃ. TEGO, ŻE NAGLE ZAMARZYŁAM O CZYMŚ WIĘCEJ. DZIĘKOWAŁAM BOGU W MYŚLACH, ŻE WSTAŁ. NIE WIEM, MOŻE CZEKAŁ, AŻ DOPOWIEM COŚ. NIE CHCIAŁAM GO ZATRZYMYWAĆ, WIĘC W KOŃCU POSZEDŁ. ODPROWADZONY SZYBKIM ODDECHEM WYPŁYWAJĄCYM Z MOJEJ PIERSI.

ROZDZIAŁ 18

Jakub

Odkładam na blat paczkę miętowych gum i czekam, aż sprzedawczynie przyniesie mi dwie zamówione kawy. Dzisiaj nie ma na zmianie Marty, więc Arek siedzi w radiowozie, nie mając zamiaru wychylać nosa. Chociaż pogoda nie jest wcale taka zła. Nie ma wiatru, a jakąś godzinę temu termometr w aucie wskazywał zero stopni na zewnątrz. Lekko prószący śnieg ma więc szansę przed jutrzejszą Wigilią na nowo utworzyć warstwę puchu, przez wielu tak wyczekiwanego. Przez ostatnie opady deszczu wszystko zdążyło się rozpuścić. Nie wspominając o tym, że zamiast całkiem ładnego krajobrazu wszędzie dookoła widać tylko błoto.

Zerkam za siebie. Widzę, że za moimi plecami zdążyła się już utworzyć całkiem pokaźna kolejka zniecierpliwionych osób. Mam wrażenie, że gdyby nie policyjny mundur, już dawno by mnie zlinczowali. Zniecierpliwiona starsza pani wygląda, jakby chciała mnie co najmniej pokasać za tę zamówioną kawę. Aż zaczynam czuć się winny. Skądś ją kojarzę, ale nie pamiętam, jak się nazywa.

Gdziekolwiek człowiek się nie ruszy, dzisiaj wszędzie pełno ludzi. Na parkingach większych marketów już z samego rana zdążyło zabraknąć miejsc. Świat oszalał, a ludzie kupują na potęgę. Większość z tego i tak wylądzuje w śmietniku, bo któż będzie w stanie przejeść tyle dań w ciągu jednej kolacji. I ewentualnie w ciągu dwóch następnych dni, kiedy przygotowane na Wigilię specjały będą jeszcze zdatne do spożycia.

– Pana kawki – sprzedawczynie, starsza kobieta w bardzo przesadnym i niekoniecznie estetycznym makijażu, podaje mi ekologiczne kubki i nakłada na nie plastikowe osłonki. Dorzuca cynamonowy cukier, który zdążyłem ostatnio polubić. Cieszę się, że o tym pamiętała.

– Dziękuję – odpowiadam. – I jeszcze te gumy – wskazuję na leżące na ladzie opakowanie.

Gdzieś za mną znów słychać otwierające się drzwi. Wyjmuję portfel i automatycznie odwracam się. Chcę wrócić do wyjmowania pieniędzy, kiedy uświadamiam sobie, któż taki przed momentem właśnie mignął mi przed oczami.

Przecież to Lena.

Na powrót się odwracam. Nie dostrzega mnie zajęta przytrzymywaniem szklanych drzwi, przez które wchodzi jakiś chłopak. Śmieje się i coś do niej mówi. Stają obok siebie, a więc przyszli tutaj razem.

Mrużę oczy, bo mam wrażenie, że skądś go znam.

– Siedemnaście pięćdziesiąt – słyszę zniecierpliwiony głos sprzedawczynie. Reflektuję się, że przecież powinienem zapłacić. Bóg jeden wie, ile razy zdążyła to powiedzieć, kiedy ja zwyczajnie się zawiesiłem.

– Przepraszam. Już płacę – odpowiadam, choć moje myśli wciąż pozostają gdzie indziej.

Nagle mnie olśniewa. To oczywiście! Przecież to ten typ, którego widziałem jakiś czas temu w pubie. Tej nocy, kiedy podwoziłem prawie nieprzytomną Lenę do domu. Siedział z nią i z Mariką w boksie i nie wyglądał wtedy na trzeźwego. Co ja gadam, był konkretnie wstawiony.

Płacę, zabieram zakupy i zmierzam w kierunku drzwi. Czuję się nieswojo. Jakbym bym rozdrażniony. Nie wiem dlaczego, choć jakoś nie po drodze mi tutaj z obecnością Leny. Być może przez to, co się pomiędzy nami wydarzyło. Może przez coś innego. Nieważne.

Nie widziałem jej przez kilka dni, choć zdawałem sobie sprawę, że w końcu przyjdzie nam się zetknąć. Mieszkanie w małej społeczności miewa swoje wady, choć nie spodziewałem się, że tak trudno będzie mi się zdystansować. Nie powinienem o niej myśleć. W ogóle. Choć w ciągu ostatnich dni parę razy powracała we wspomnieniach. Ten przeklęty pocałunek, który wydarzył się poza moją kontrolą, wciąż za mną chodzi. Chciałabym szczerze go żałować, ale najgorsze jest to, że czasami pozwalam sobie myśleć o nim inaczej.

Pieprzyć to. Otwieram drzwi i wchodzę do radiowozu.

– Jezu, tyle czasu. Gdybym nie widział cię przez szybę, pomyślałbym, że poszedłeś tam do kibla i cię zatwardziło. – Arek odbiera ode mnie kubek z kawą. – Albo że robisz w tym kiblu coś zupełnie innego – rechocze.

– Nie chrzań – łapię za pas i przeciągam go przez ramię. – Jasne, coś zupełnie innego z tą starą lampucera. Kiwam brodą na sklep, mając na myśli sprzedawczynię.

– Albo z samym sobą – wybucha śmiechem. Potem upija łyk kawy i odkłada ją na bok. Nie spieszy mu

się do dalszej jazdy. Już wyobrażam sobie komentarze ludzi z kolejki. Ile razy przyszło mi przyjmować na klatę oskarżenia dotyczące tego, że w tej policji nic nie robimy i tylko chowamy się po kątach. Ale najlepsze jest to, że kiedy zaczynamy coś robić, jest jeszcze gorzej. Wtedy wylewa się na nas prawdziwa lawina hejtu. Paradoks.

Pakuję paczkę gum do schowka. Mam zamiar wyciągnąć zbożowego batona, kiedy ze sklepu wychodzi Lena. Oczywiście nie sama. Nietrudno zauważyć, że nie zdecydowała się nic kupić. Najwyraźniej zniechęciła ją długa kolejka. Czego się spodziewała w taki czas?

Obserwuję ją mimowolnie, kiedy wystawia przed siebie rękę, jakby próbowała złapać w dłoń spadające płatki śniegu. W tym czasie chłopak wyjmuje z kieszeni czapkę i nakłada jej na głowę. Cóż za bohaterstwo. Jakby od tej odrobiny śniegu miała się pochorować.

Przesadzam.

Biorą się za ręce i zacierają w kierunku drogi prowadzącej do cmentarza. Jak gdyby nigdy nic. Zastanawiam się, czy widziała, że wciąż tutaj stoimy.

– Znasz ich? – pyta Arek, bo chyba nurtuje go, że z takim zapalem im się przyglądam. Wcale nie chcę tego robić. Próbuję się ogarnąć, ale jakaś przeklęta siła każe mi zerknąć na nich znowu. Czuję frustrację. Nie wiadomo czemu. Adrenalina zaczyna buzować w moich żyłach, jakby ktoś właśnie rzucał mi przed nos wyzwanie.

Kurwa! Co jest grane? Co jest teraz ze mną nie tak?

– Znam – odpowiadam krótko, nie mając zamiaru tłumaczyć nic więcej. Gapię się na parę, która powoli zaczyna się oddalać i nagle nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Tak ciężko mi beczynie usiedzieć w miejscu.

Jezu. Wariuję. A przecież nic wielkiego się nie wydarzyło. Dziewczyna, którą znam, po prostu kogoś sobie znalazła. To przecież normalne.

Dziewczyna, która pozwoliła mi się pocałować. Która jeszcze niedawno wyglądała tak, jakby była gotowa o nas zawalczyć. Tak łatwo jej było o tym zapomnieć? Najwyraźniej tak, skoro właśnie w najlepsze gawędzi sobie z zupełnie innym gościem.

Nagle oboje się zatrzymują. Chłopak przechodzi przez drogę. Staje na tle usypanej kopki ziemi, kiedy Lena wyjmuje komórkę i wystawia urządzenie dokładnie w jego stronę. On skacze, kiedy ona najwyraźniej próbuje to uchwycić. Powtarzają tę czynność jeszcze parę razy.

Przecież to cholernie dziecinne. Przewracam oczami, czując, jak dosłownie zżera mnie irytacja.

Chłopak wraca, przebiegając przez drogę. Nawet nie ogląda się na bok, biorąc za pewnik, że w pobliżu nie przejeżdża żadne auto. Ma pasy zaledwie dwadzieścia metrów od siebie. Tak ciężko mu było z nich skorzystać?

– Co jest? – pyta Arek.

– Podjedź do nich – mówię, coraz bardziej nabuzowany.

– Dlaczego? – pyta, choć zgodnie z moim zaleceniem przekręca kluczyk w stacyjce.

– Przebieganie przez jezdnię w niedozwolonym miejscu. Bez zachowania środków ostrożności – recytuję, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo przesadzam. Ale w tym momencie nie potrafię się opanować.

Oczy Arka rosną. Cholernie szeroko. Nic z tego nie rozumie, bo dotąd zawsze przymykałem oko na drobne przewinienia.

Nie zamierzam niczego dopowiadać. Wracam do widoku z za szyby.

Lena i chłopak stoją, wgapiając się w ekran komórki. Zupełnie nieświadomi, że zaraz zwyczajnie im przerwę. Lena nie powinna się z nim zadawać. To nieodpowiedzialny typ. Nie znam go, ale wystarczy mi, że się schlał i pozwolił, by ona zrobiła to samo. Gdyby nie telefon Mariki, oboje trafiliby na wytrzeźwiajątkę. Ktoś powinien nią wstrząsnąć.

Radiowóz cofa, by znaleźć się na jezdni i zaczyna się powoli toczyć. Arek hamuje, kiedy znajdujemy się parę metrów od nich. Nawet nas nie widzą, zupełnie pochłonięci swoimi sprawami.

Lena orientuje się pierwsza. Kiedy wysiadam z auta i zakładam na głowę czapkę, wygląda tak, jakby zobaczyła statek widmo. Otwiera pomalowane na czerwono usta, niemalże tworząc z nich okrągłą literkę „o”. Kurwa! Znowu te pieprzone usta. Otrząsam się ze wspomnień, próbując zachować profesjonalizm. Na tyle, na ile w tym momencie jestem w stanie.

– Dzień dobry państwu – witam się. – Podkomisarz Jakub Lincner.

– Cześć – wydusza z siebie Lena, po czym patrzy kompletnie oszołomiona na chłopaka stojącego obok.

Porusza wargami jak wigilijny karp.

– Powodem zatrzymania pana – akcentuję to słowo – jest przejście przez jezdnię w niedozwolonym miejscu. A właściwie przebiegnięcie bez zachowania środków ostrożności.

– Co? – Lena wydaje z siebie piskliwy głos. – Do licha. Zwariowałeś? – pyta, marszcząc brwi. Łapie typa pod łokieć. Dotyka go. Co nie uchodzi mojej uwadze.

Jestem wściekły. Sądziłem, że wypowiadając te słowa, poczuję się lepiej. Ale, do jasnej cholery, nie czuję się lepiej nawet w jednym procencie. Wręcz przeciwnie.

– Droga to nie plac zabaw – tłumaczę. – I proszę uważać na słowa. Nie zwariowałem, za to wykonuję swoją pracę. A moim obowiązkiem jest dbanie o bezpieczeństwo – tłumaczę. – Innych i wasze – dodaję, jakby w tej rozmowie właśnie to stawało się najważniejszym faktem.

Zapada chwila ciszy. Teraz nie mogę się już wycofać.

– Panie policjancie – zaczyna chłopak – wiem. Przecież uważaliśmy. To chyba nic takiego – jąka się jak dziecko. – Może jakoś się dogadamy. Jutro Wigilia.

– Owszem – jestem stanowczy. Próby wywołania litości na doprawdy różne sposoby już przestały mnie dziwić. – Nadchodzą święta. Ale to nie powód, by zatracić zdrowy rozsądek.

– Grozi mi mandat? – dopytuje kompletnie zdezorientowany. Grozi. Choć szczerze powiedziawszy, bardzo symboliczny. Czuję się jak idiota. Niepotrzebnie do nich podchodziłem.

– Tak. W wysokości pięćdziesięciu złotych – odpowiadam, bo przecież muszę.

– Lena, ty go znasz? – chłopak zwraca się do niej. Wygląda, jakby nagle miał się rozplakać. Trzeba było myśleć o tym wcześniej. Naprawdę będzie próbował negocjować przy takiej kwocie? – Proszę, pogadaj z nim.

Patrzy na mnie rozeźlona. Jakby dosłownie chciała wydrapać mi oczy. Potem maszeruje parę metrów dalej i zatrzymuje się z założonymi rękoma, autentycznie gromiąc mnie wzrokiem.

– Jakub, jeśli to nie problem, proszę cię na słowo – woła mnie na bok. Scena jak z kiepskiej komedii. Zastanawiam się, co zrobić. Jak to wszystko rozegrać. Choć nie mam zbyt wiele czasu na obmyślanie dobrego scenariusza tej rozmowy. Nie powinienem był mieszać prywaty ze służbowymi obowiązkami. Ale już to zrobiłem. Sam to wszystko zacząłem, w ogóle nie przywiązując wagi do konsekwencji. Jak kompletny laik. Jak mogłem tak bardzo dać się wyprowadzić z równowagi? Nie poznaję sam siebie. Do cholery! Zachowałem się jak największy kretyn.

Idę.

– Słucham. Tylko szybko – mówię do niej oschle. – Jestem w pracy i nie mam czasu na bezsensowne negocjacje – jestem zły. I nie potrafię tego ukryć.

Lena patrzy na mnie, jakby niczego nie rozumiała. Widzę w jej oczach tak wiele znaków zapytania.

– O co tak właściwie chodzi, co? – pyta. – Jakub. – Kręci głową. – Bo chyba nie o przebiegnięcie przez drogę. Dlaczego, do diabła, znowu wszystko komplikujesz! – woła rozemocjonowana.

– Ciii – uciszam ją. Nie powinna odgrywać tutaj takich scen.

– Naprawdę dasz mu ten pieprzony mandat? Taki z ciebie służbista? – Przemawia przez nią rozgoryczenie.

Patrzę na jej usta. Na te same, których parę dni temu miałem okazję zakosztować. Dotknąć. Miałem okazję ją poczuć. To był mój błąd. Błąd, który ciągnie się za mną aż do teraz. Jestem zazdrosny. Tak bardzo nie chcę tego zaakceptować, ale wiem, że to nic innego. Widok Leny z innym mężczyzną zadziałał na mnie jak płachta na byka. A przecież nie mam do niej żadnych praw. Dobrowolnie wszystkie przekreśliłem.

– Serio, Lena, typ z pubu? Nie był w stanie o ciebie zadbać, kiedy nie potrafiłaś zrobić nawet kroku – wygarniam jej. Kiedy potrzebowała pomocy, wziąłem to na swoje barki. Ja o nią wtedy zadbałem, nie on.

– Każdy popełnia błędy – wytyka mi. – Natan to wesoły i pozytywny gość.

– Nie jest dla ciebie.

– Tak? – wtrąca, nie pozwalając mi powiedzieć nic więcej. Przysuwa twarz w moją stronę. Jest coraz bardziej wściekła. – A kto jest dla mnie, co? Może mi powiesz? – prycha. – Może taki typ, który wykorzystuje czyjąś pomoc i naiwność, całuje jakby naprawdę mu na tym zależało, a potem stwierdza jak gdyby nigdy nic, że to wszystko było tylko chwilowym kaprysem. Żartem – zniża głos, imitując męski ton. Czuję się, jakbym dostał obuchem w łeb. Bo najgorsze jest to, że ma rację. Lena mówi prawdę. W tym wszystkim chodzi tylko o moje emocje. Zupełnie nieplanowane. Takie, z którymi zwyczajnie nie jestem w stanie sobie poradzić.

– Nie przeinaczaj, Lena. Nigdy nie powiedziałem, że to wszystko było żartem. – Dopiero teraz widzę, jak bardzo cierpi. Jak ogromną wyrządziłem jej krzywdę.

– Dobrze wiedzieć, że jesteś świadom, że gadamy o tobie. Brawo panie policjancie – dodaje sarkastycznie. – Wiesz co? – Robi krótką przerwę. – Wal się – syczy mi prosto w twarz.

A potem odwraca się i idzie w kierunku swojego chłopaka. Zostawiając mnie samego.

– Kurwa – mówię do siebie, kiedy oboje są już na tyle daleko, że nie mogą tego usłyszeć. To mój jedyny komentarz. Jakże trafny. Wracam do radiowozu wściekły jak diabli. Mam tylko nadzieję, że Arek na czas zorientuje się, że nie jestem w nastroju do głupich żartów na ten temat.

– Kto to był? – pyta dociekliwie, bo przecież wszystkiemu się przyglądał. – Bo nie wmówisz mi, że przypadkowa parka, która popełniła drobne wykroczenie drogowe.

Nabieram powietrza w płuca.

– Nie, Arek – opuszczam głowę i zaczynam intensywnie pocierać czoło palcami. Pulsujący ból zaczyna rozchodzić się po całej głowie. – To nie była przypadkowa parka.

– W takim razie kto?

Najlepsze jest to, że sam nie potrafię udzielić sobie odpowiedzi na to pytanie.

– Nie chcę o tym gadać – zamykam dyskusję, marząc, by ten dzień jak najszybciej dobiegł końca.

ROZDZIAŁ 19

Lena

Wycieram ręce w ścierkę i przesuwam ekran telefonu, by podpatrzeć, jaki jest kolejny etap przepisu na wigilijną zupę z suszonych śliwek. Była nieodłącznym elementem naszych świąt, ale zawsze robiła ją mama.

Myślałam, że gotowanie mi pomoże. Tymczasem jakoś mi tak ciężko na duszy. Niewidzialna siła próbuje sprowokować mnie do płaczu, ale postanowiłam, że tego dnia nie będę wylewać łez. Ojciec zawsze powtarzał, że to, co robi się w Wigilię Bożego Narodzenia, będzie towarzyszyło człowiekowi przez cały rok. A że jestem skazana na samotność, to przynajmniej zadbam o dobry nastrój. Z przymrużeniem oka, bo przecież jestem ostatnią osobą, która wierzy w przesady.

Wczoraj rozmawiałam z rodzicami przez telefon. Tata był bardziej wylewny, matka ograniczyła się do kilku słów. Wiem, że są już w górach. I że zdążyli tam poznać znajomych, których – według opinii matki – również opuścili dzieci. Nikogo nie opuszczałam. Tego dnia chciałam być z nimi. To oni mnie opuścili w czasie, kiedy rodzina powinna trzymać się razem.

Pociągam nosem i mrugam pospiesznie, by odgonić nadchodzące uderzenie łez. Powoli przechodzi, tak jak miną także i całe święta. Odejdą w niepamięć i znowu wszystko jakoś wróci do normy. Grunt to dobre nastawienie.

Natan, z którym wczoraj się widziałam, wyjeżdża z bliskimi do schorowanej babci, więc spotkamy się dopiero dzień po Bożym Narodzeniu. Nie mogę mieć mu tego za złe, przecież nie jestem dla niego nikim ważnym. Jeszcze. Widzieliśmy się raptem trzy razy. Wspomniał, że poznam jego znajomych, bo mają taką swoją tradycję, że kiedy święta już się kończą, urządzają z przyjaciółmi spotkanie przy rumie z colą. Oryginalny zwyczaj, ale jeśli mamy coś ze sobą stworzyć, choć to całkiem odważne stwierdzenie, powinnam to zaakceptować.

Wlewam do garnka kompot śliwkowy i zabieram się do zakleпки z mąki i śmietany. A potem włączam w telefonie melodię jednej z kolęd i próbuję jakoś wprowadzić się w klimat tego wyjątkowego grudniowego czasu. Zerkając przez okno na prószący śnieg. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio przydarzyły się nam białe święta. Przez chwilę zastanawiam się, czy na Kujawach, w moich rodzinnych stronach, jest podobnie. Szybko orientuję się, że to i tak nie ma znaczenia. I pędzę otworzyć drzwi, bo słyszę, że najwyraźniej przyszedł do mnie pan Józek z żoną i z Baską, dokładnie tak, jak zapowiadał. W ciągu ostatnich dni ci ludzie są mi bliżsi niż własna rodzina. Przykro mi jedynie, że w dobrej wierze muszę tak perfidnie ich okłamywać. Kiedy ostatnio pytali o wigilijną kolację, powiedziałam, że wybieram się do znajomych. Wiedziałam, że gdyby znali prawdę, nalegaliby, bym przyszła do nich. To byłoby już nadużyciem ich gościnności.

Dochodzi siedemnasta. Na zewnątrz niebo już dawno zdążyło się ściemnić. Pomimo panującego mroku wszechobecny śnieg dodaje krajobrazowi jasności. W blasku przydrożnej latarni widać opadające na ziemię białe płatki. Odrywam się od okna i zmiierzam w kierunku piecyka, by dołożyć do niego kawałek drewna. Na szczęście dostawa dotarła na czas. Musiałam tylko zapłacić dodatkowo za porąbanie, co zupełnie mi umknęło. Na szczęście dostawca miał znajomego, który się dla mnie tym zajął. Czułam, że od machania siekierą prędzej porąbałabym sobie gnaty niż docelowe trzy kubiki. Wolałam to komuś zlecić.

Wyciągam na stół ostatnią z potraw. Delikatny sernik z pianką z białek, którego przepis z niemałą obawą próbowałam odtworzyć w pamięci. Robiłam go wiele razy, choć wciąż nie spisałam dokładnej ilości składników. Było zatem „na oko”, ale wyszło nie najgorzej. Zresztą, nie miałam wyjścia. Matka i tak nie zabrała w góry starego przepiśnika, a nawet gdyby to zrobiła, nie odważyłabym się jej o to zapytać. Z obawy, że załamię mi się głos.

Odpalam świeczkę, którą zakupiłam w galerii od jednego z aniołków spacerujących po piętrach z koszyczkiem. Podobnie jak i paczkę opłatków. Bo przecież mam sąsiadów i koleżanki z pracy, z którymi będę mogła się podzielić. W świąteczne dni albo i po nich. Ważny jest gest.

Potem zerkam na choinkę, podchodzę do niej i włączam białe lampki, bo w ferworze przygotowań zupełnie mi to umknęło. Pod drzewkiem leżą paczki ze słodyczami, które zrobiłam dla pana Józefa i jego żony, dla Mariki, szefowej, Aśki oraz Basi z maluchem. Nie wiedziałam, co im kupić, więc postawiłam na banały.

Sobie samej nie kupiłam nic, bo jaki byłby sens w pakowaniu i rozpakowywaniu prezentu dla samej siebie. Szkoda papieru.

Siadam przy stole i wymawiam parę słów modlitwy. Śpiewam kolędy, a potem zaczynam jeść. Przerazająca cisza wydaje się tak bardzo nienaturalna tego dnia. Dziwna i niespotykana. Włączam telewizję, gdzie właśnie odbywa się jakiś świąteczny koncert. On sprawia, że robi mi się odrobinę lżej.

Nie przygotowałam dwunastu potraw. Ciężko byłoby zrobić je dla jednej osoby. Musiałabym być szalona, by spędzić w kuchni kilka dni po to, żeby potem większość wrzucić do kosza. Niby mogłabym zanieść co nieco do jadłodajni, bo przecież nie brakuje w Krakowie miejsc, w których ludzie dzielą się jedzeniem z uboższymi. Jednak nie ufam aż tak swoim kulinarnym zdolnościom. Jeśli kogoś zatruję, to tylko siebie.

Kończę jeść, ale zostawiam jedzenie na stole. Jeszcze do niego wrócę. Zabieram tylko opłatek, ubieram się ciepło i wychodzę. Mróz szczypie w policzki, więc wracam po grubszy szal i rękawiczki. Dokładnie odśnieżam samochód i zastanawiam się, jak bardzo śliskie tego wieczoru będą okoliczne drogi. Wsiadam do auta i ruszam.

Mknę zupełnie pustą drogą, mijam oświetlone lampkami domy. Jest klimatycznie i pięknie. A wyludnione obrzeża Krakowa pozwalają mi na refleksje. W domach jest jasno, w każdym z nich ludzie po swojemu przeżywają Wigilię Bożego Narodzenia. Z radością, nadziejami i lękami. Bo chyba niezależnie od tego, czy powodzi nam się lepiej, czy gorzej, każdy niesie jakiś bagaż doświadczeń i obaw.

Parkuję w wyznaczonym miejscu i gaszę silnik. Zatrzasnę drzwi, a reflektory mojego fiata migają na znak, że pilot przy kluczykach zadziałał jak powinien i zamknął auto. Poprawiam w rękę znicz w kształcie zielonej choinki i mknę w stronę cmentarnej bramy, uważając, by nie wywinąć spektakularnego orła. Choć i tak nie miałabym świadków. Wokół nie ma żywej duszy, co wcale mnie nie dziwi.

Śnieżna pokrywa nieźle kamufluje ukryty pod nią lód. Człapię jak pingwin, drobnymi kroczkami, ale lepsze to niż obolały tyłek, na którym przez parę dni trudno będzie usiąść.

Otwieram metalową furtę i wchodzę na cmentarz. Widzę liczne ślady butów, tego wieczoru nie byłam jedyną osobą pragnącą odwiedzić to miejsce. Przypominają mi się słowa jednej z piosenek. O nieobecnych w świąteczne dni, którzy powracają w pamięci. Nim zaczynam na dobre wpadać w nastrój przygnębienia, skręcam w alejkę prowadzącą prosto do grobu ciotki Maryli i po chwili pochylam się nad jej mogiłą. Zdażyła się na niej zgromadzić czapa białego puchu. Zgarniam ręką część, mocząc przy tym rękaw płaszcza. Stawiam znicz na stwardniałej ziemi i go zapalam. W mojej głowie wciąż kołaczą słowa zapisane w notatniku.

Kim tak naprawdę była dla mojego ojca Maryla? Czy spodziewała się, że jej osobiste zwierzenia mogą kiedyś wpaść w czyjeś ręce? W moje ręce, a przecież jestem córką człowieka, o którym tak często wspominała. Może przed śmiercią nie zdażyła pozbyć się wspomnień spisanych na kartach? Może po prostu o tym zapomniała? Odpowiedzi już na zawsze pozostaną dla mnie zagadką.

Wyjmuję z kieszeni opłatek. Zdażył się połamać, kiedy wsiadałam do auta. Część kładę tuż obok znicza.

– Wesółych Świąt, ciociu – wypowiadam półszepem, a mój własny głos sprawia, że po ciele przebiega mi dziwny dreszcz.

Wokół panuje cisza, a ja mam wrażenie, jakby właśnie działo się coś niezwykłego. Może tak właśnie miało być? Może miałam się dzisiaj tutaj znaleźć, by wreszcie Maryla, gdzieś tam, po drugiej stronie, przestała czuć się samotna? Łamanie się opłatkiem jest jak symbol pojednania. Drobnym gestem, a sprawia, jakby na duszy zaczęło mi się robić lżej.

Otulam się rękami, bo delikatne podmuchy wiatru potęgują uczucie zimna. Rozglądam się, ale wokół nie widać żywej duszy. Pokryte śniegiem tuje bezgłośnie się kołyszają. Sunę wzrokiem dalej, kiedy nagle coś zauważam. Coś, a właściwie kogoś.

Przez chwilę zastanawiam się, czy to nie krzak albo jakieś małe drzewko. Jednak kiedy porusza się i poprawia coś przy dłoni, orientuję się, że na cmentarzu oprócz mnie stoi ktoś jeszcze.

– Boże... – wrywa mi się. To publiczne miejsce, więc w zasadzie nie powinno mnie to szokować. Mimo to zaczynam czuć się nieswojo. Jakby stojący kilkanaście metrów dalej człowiek miał stanowić dla mnie jakieś zagrożenie. Próbuję nie zwracać na niego uwagi. Wszystkie myśli skupiam na celu, w jakim tu przyszedłam.

Postać stoi nieruchomo, a mój wzrok wciąż ucieka w jej stronę. Znów zaczynam się modlić. Jestem jednak rozstrojona. Zastanawiam się, czy nie powinnam wracać do auta. Gdyby ktoś chciał mnie tutaj

skrzywdzić, nikt nie przyszedłby mi z pomocą. Ale to przecież spokojna okolica, a ja z reguły ufam ludziom. W takich momentach przychodzą jednak człowiekowi do głowy same głupie wizje. Te najgorsze, można by rzec.

Doprawdy zwariowałam. Żli ludzie nie przychodzą na cmentarz, by spotkać się ze swoimi bliskimi. To przecież może być nawet ktoś, kogo kojarzę. Ktoś, kto wbrew pozorom ma ze mną wiele wspólnego. Na przekór rozsądkowi i własnym obawom, postanawiam udowodnić sama sobie, że strach ma wielkie oczy.

Jak gdyby nigdy nic maszeruję przed siebie w stronę nieznanego mi człowieka. Kiedy jestem może trzy czy cztery metry od niego, stoję jak wryta. Uświadamiam sobie dobitnie, z kim mam do czynienia. Chcę się wycofać. Choć rozważam także drugą opcję – minięcia go i udawania, że to wcale nie ja.

Wtedy zostaję zauważona.

– Lena? – Tuż obok rozlega się męski głos. – Co, do diabła, robisz tutaj o tej porze? – Patrzę prosto na twarz Jakuba, który ten wigilijny wieczór spędza najwyraźniej przy grobie żony. Mogłam się tego spodziewać.

– Ciebie też miło tutaj widzieć – burczę pod nosem i próbuję odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jego obecność bardziej cieszy mnie, czy złości. Przynajmniej wiem, że mogę się czuć bezpieczna. – I nie wzywaj diabła w świętym miejscu – karcę go.

Mija parę sekund, nim ponownie się odzywa.

– Nie odpowiedziałas mi na pytanie. Co tutaj robisz? – Wydaje się być zły. – Już ciemno. W okolicy nie ma żywej duszy. Nie boisz się? – Czemu mam wrażenie, że chce mnie skarcić. Nagle zaczął się o mnie martwić?

– A czego mam się bać? – Udaję niewzruszoną, choć przed sobą przyznaję, że przez parę chwil było mi nieswojo. – Ducha? – parskam śmiechem.

– Mówią, że nie martwych powinniśmy się bać, a żywych, Lena. Trochę rozsądku na następny raz. Jesteś tutaj sama, więc nim ktoś zgłosiłby twoje zaginięcie, zdążyliby cię wywieźć daleko za granicę.

– Nie bądź śmieszny – chichoczę nerwowo. Chyba mimo wszystko przesadza. – To nie amerykański Boston.

– Ale po zmroku szlajają się po okolicy różni ludzie. Nie dalej niż rok temu zaginął tutaj facet. – Przerywa. – Mówię poważnie, Lena. Nocne spacerowanie to nie jest najlepszy pomysł. – Nie brzmi już tak, jakby chciał mnie skarcić. Ale jak człowiek, który mówi to wszystko z troski.

Zastanawiam się, co odpowiedzieć.

– Może po prostu też nie chciałam być dzisiaj sama. Zdaje się, że ciotka leżąca parę metrów pod ziemią jest jedynym towarzystwem, które chciało mnie dzisiaj znieść. – Wzruszam ramionami. – A przynajmniej nie miała wyboru. Biedna. – Próbuję rozluźnić atmosferę.

– Twój chłoptaş się dzisiaj nie zjawił? – zaczyna, a ja natychmiast przypominam sobie wczorajsze zajście. Przez moment naprawdę zdążyłam o nim zapomnieć. I pomyśleć, że jeszcze przed sekundą chciałam zadbać o lepszy klimat pomiędzy nami.

– Mówisz o Natanie? – Celowo podkreślam jego imię. To nie żaden chłoptaş, a facet noszący imię. Swoją drogą, całkiem ładnie brzmiące.

– Nie wiem, jak się nazywa – bagatelizuje.

– Nie zjawił się, bo miał już wcześniej inne plany – tłumaczę się, choć przecież wcale nie ma takiej potrzeby. Nic mu do tego. – Niepotrzebnie wczoraj na niego naskoczyłaś – zmieniam ton rozmowy. Nie będę udawać, że nic się nie stało.

– Naskoczyłem? – Jest zdziwiony. Albo dobrze gra. – Stawiasz mnie w roli jakiegoś oprycha, kiedy po prostu zwróciłem wam uwagę na wykroczenie. To moja praca.

– Och – wzdygam. Kręcę głową. – W takim razie dziękuję – odpowiadam z ironią w głosie. – Wygląda na to, że zrobiłaś mi przysługę, nie wypisując Natanowi mandatu – jestem podenerwowana.

– Nie żartuj sobie. – Jego głos jest niski. Głęboki. Zupełnie inny od głosu Natana.

– Nie żartuję, Kuba. Bo miałam wrażenie, że byłeś po prostu cholernie zazdrosny – mówię bez zastanowienia. A kiedy zapada cisza, uświadamiam sobie, że naprawdę uzewnętrzniłam swoje bardzo prywatne, szalenie intymne myśli. Naprawdę to powiedziałam!

Momentalnie oblewam się rumieńcem, choć w panującym tutaj półmroku nikt nie będzie w stanie tego dojrzeć. Nawet on.

Widzę, że na mnie patrzy. Mam ochotę uciec. Zażenowanie zaciska mi gardło. Chciałabym coś dodać,

ale nie potrafię wydusić z siebie ani jednego słowa więcej.

Boże. Zaczynam tego żałować.

– Nie spodziewałem się tego od ciebie usłyszeć – komentuje tylko, odwracając się w stronę grobu swojej żony. Podnosi ręce i pociera nimi twarz. Milczy. A ja nie wiem, jak powinnam to odebrać. Czy w taki sposób zakończył naszą rozmowę? Zdaje się, że tak. Bo już więcej nie ma zamiaru się do mnie odezwać.

Odwracam się i odchodzę. Jednak nie w stronę grobu ciotki Maryli. Kieruję się prosto na przycmentarny parking, by jak najszybciej odjechać do domu.

Siadam przed telewizorem z kawałkiem sernika. Nawet jego słodycz nie jest w stanie pokonać smaku goryczy, której mam w sobie tak wiele, że chyba za chwilę zacznie się ze mnie wylewać. Przed momentem dzwoniłam do rodziców z życzeniami. Poza sympatycznie brzmiącymi pustymi słowami i zapewnieniami, że świetnie się bawią, nie dowiedziałam się niczego. W tle było słycać gwar roześmianych ludzi i dźwięk odgrywanej na akordeonie kolędy. Nie wiem, czy ktoś śpiewał na żywo, czy nagranie leciało z radia. Nim zdążyłam zapytać o szczegóły, musieli kończyć, bo ktoś ich wołał. Ktoś był dla nich ważniejszy od własnej córki.

Nie powinnam się smucić. Nie wolno mi mieć do nich żalu. To był ich wybór, mają prawo do szczęścia i nikt nie powiedział, że wolno mi ich ograniczać.

Kładę obok siebie notatnik ciotki. Jest dość gruby, choć mam wrażenie, że wiele kartek zostało wyrwanych. Zakończyłam czytanie w miejscu, po którym nastąpiła pewna pustka. Zamiast tekstu na stronach pojawiły się jakieś rysunki, większe czy mniejsze serduszka, zakreślone słowa, wzór jakiegoś wianka. Choć wertując pobieżnie wewnątrz, widziałam, że dalej znowu zostało coś zapisane. Ostatnio nie miałam czasu, dziś mam zamiar przeczytać całość. Do ostatniej kropki. Może wtedy będę miała pełniejszy obraz sytuacji.

W telewizji kończy się właśnie reklama. Na szklanym ekranie pojawia się rozwrzeszczana twarz małego Kevina. Chociaż film emitowany jest co roku i wszedł już w polską tradycję, nie widziałam go od lat. Miałam przesyt, więc skutecznie go unikałam. Teraz jednak patrzę, w końcu Kevin, tak samo jak ja, został na święta sam. Z dwojga złego, chyba miał gorzej niż ja. Śmieję się sama do siebie i biorę do ust kolejny kawałek sernika. Potem odkładam talerzyk obok siebie i podciągam nogi pod samą brodę. Zerkam na piecyk, w którym ogień rozszalał się na dobre. W domu jest ciepło.

Przypominam sobie dawne czasy. Chwile, kiedy byłam małą dziewczynką. W każdą Wigilię ojciec kazał wypatrywać pierwszej gwiazdy. Kiedy się pojawiała, zasiadaliśmy do stołu, a ja po cichu wypowiadałam do niej swoje życzenie. Marząc o nowych zabawkach. Pamiętam, że kiedyś, kiedy miałam może z dziesięć lat, wyszeptalam do gwiazdki prośbę, by moja pani od polskiego złamała nogę. Albo rękę. Albo najlepiej i to, i to. Mieliliśmy na święta zadaną lekturę, a po powrocie czekała nas kartkówka. Nienawidziłam czytać, więc wolałam liczyć na jakiś szczęśliwy traf. Szczęśliwy dla mnie, choć niekoniecznie dla niej. Byłam okropnym dzieckiem, że w ogóle myślałam o takich rzeczach.

Nie wiem, czego zapragnęłabym dziś, gdybym wciąż wierzyła w moc spełniania życzeń. Może tego, by ktoś po prostu przy mnie był.

Zaciskam powieki i opieram głowę na kolanach. Rozpraszam ponure wizje, skutecznie odpierając atak smutku.

Powracam do oglądania filmu, kiedy nagle rozlega się pukanie do drzwi.

Momentalnie odwracam się w kierunku przedsionka i ściszam telewizor.

Wstaję.

Może coś mi się przesyłzało. Może to w telewizji? Jednak żadna z wyświetlających się scen nie pasuje do tego dźwięku.

Pukanie się powtarza.

Nie spodziewałam się dzisiaj gości.

Może to pan Józef albo Baśka wpadli do mnie z opłatkiem? Choć nie wspominali, że jeszcze przyjdą. Myślą przecież, że spotykam się ze znajomymi.

Powinnam to jednak sprawdzić. Nie mogę udawać, że mnie nie ma, kiedy w jednym z okien widać światło. Idę w kierunku drzwi. Nie jestem aż tak odważna, by otwierać w ciemno. Próbuję dojrzeć coś przez przyciemnianą szybkę, ale początkowo mój wzrok zderza się tylko z jakimś ciemnym kształtem. To nie wróży dobrze. Baśka ani pan Józef nie mają takiego płaszczka.

Zerkam nieco wyżej.

Łapię się za usta, bo kiedy sprawa staje się klarowna, ciężko mi powstrzymać głosne „co?”.
Przed drzwiami mojego domu, jak gdyby nigdy nic, stoi Jakub Lincner.
I czeka, aż wreszcie mu otworzę.

ROZDZIAŁ 20

Jakub

– Ty? – To pierwsze słowa które słyszę, kiedy Lena w końcu otwiera. Z włosami spiętymi na czubku głowy, w luźnej bluzie i z miną świadcząca o tym, że jestem chyba ostatnią osobą, której się spodziewała. Trzy razy odchodziłem od drzwi. Gdyby ktoś widział to z daleka, uznałby mnie za niespełna rozumu albo co gorsza za jakiegoś złodzieja. Teraz jest jeszcze gorzej. Ale nie przyszedłem tutaj, by milczeć. Zbyt wiele słów zostało wypowiedzianych, bym teraz mógł po prostu milczeć.

– Mogę wejść? – pytam, by nie wpuszczać zimna do środka.

Milczy i uważnie mi się przygląda. W końcu cofa się o krok, torując mi drogę. Zakłada ręce na piersi i z nieukrywanym zdziwieniem patrzy mi prosto w oczy. Nie zdejmuję butów ani nie ściągam kurtki, bo nie planuję pchać się dalej. Nie jestem zapowiedzianym gościem, choć mówi się, że w wigilijny wieczór każdy powinien mieć na stole przygotowany dodatkowy talerz na taki wypadek.

– Nie ukrywam, że jestem zaskoczona – mówi. Jak zawsze otwarcie. Między innymi za to ją podziwiam. Za swobodę, z jaką wypowiada własne myśli. Ja na co dzień spycham je w głąb. Dziś będę zatem musiał wyjść ze swojej strefy komfortu.

– Nie chcę ci przeszkadzać ani mieszać w planach, ale...

– Nie mam planów – wzrusza ramionami. – Twoja wizyta i tak niczego nie zmienia – dodaje, a ja mam wrażenie, że nie jest świadoma tego, jak wiele może zmienić. Po to tutaj przyszedłem, żeby coś jej powiedzieć.

– Bo widzisz – znów zaczynam. Kręcę, nie potrafię od razu przejść do sedna. Jestem tchórzem. Przywołuję się do porządku, zanim zabraknie jej cierpliwości. – Powiedziałaś mi dzisiaj, że ostatnie zajście było spowodowane moją zazdrością.

– Kuba – wzdycha i opuszcza głowę. Stopą szura po ziemi, próbując przesunąć na bok jakiś mały kamyczek. Trochę nabrudziłem, chociaż przed wejściem starałem się dobrze oczyścić buty ze śniegu. – Tak tylko powiedziałam...

– Problem w tym, że miałaś rację. – Mówię to, a wtedy ona patrzy mi prosto w twarz. Jej ładnie wyprofilowane brwi ściągają się ku dołowi. Nie to spodziewała się ode mnie usłyszeć. Liczyła, że znów będę zaprzeczał. – Byłem zazdrosny. – Dodaję gwoli ścisłości. I niezależnie od tego, co się za moment stanie, jestem z siebie dumny. Wreszcie to z siebie wydusiłem.

– Nie rozumiem – dopytuje, jakby czekała na konkrety.

– To wszystko, co pomiędzy nami się działo, te wszystkie słowa, którymi cię zraniłem... – Nie kończę, a mógłbym wymieniać dalej. – Ja po prostu się bałem.

– Mnie? – wtrąca, wskazując na siebie dłonią. – Mnie się bałeś, Kuba?

Zapada cisza.

Atmosfera w niewielkim przedśionku robi się gęściejsza. Moje serce znowu ożywa. Po tak długim czasie chowania, wystawione jak na dłoni.

– Nie ciebie, Lena. Ale własnych uczuć. Tego, co dzieje się ze mną, kiedy jesteś obok. – Kończę świadom tego, jak fatalnie to wszystko wygląda. Ale tak właśnie jest.

Nie wie, co odpowiedzieć. Na jej miejscu chyba zareagowałbym tak samo. Człowiek, który kilkukrotnie uprzykrzył jej życie, stoi przed nią teraz, spowiadając się ze swoich myśli. Pierwszy w życiu raz. Odgarnia włosy za ucho. Jest wyraźnie zmieszana. Być może niepotrzebnie tutaj przyszedłem. Jednak byłem jej to winny. Byłem jej winny prawdę. Na przekór sobie i własnej wygodzie musiałem wziąć to na swoje barki i postawić sytuację jasno. Tak, byłem zazdrosny, choć początkowo nie akceptowałem tego terminu w swoim słowniku. – Pójdę już – łapię za klamkę. – Powiedziałem chyba wszystko.

– Nie – powstrzymuje mnie, a jej dłoń łąduje na mankietcie mojego czarnego płaszcza. Jej gwałtowny ruch zaskakuje nie tylko mnie, ale i ją samą. Słyszę jej przyspieszony oddech. – Nie możesz teraz odejść.

– Nie chcę mieszać ci w codzienności. Nie zasługujesz na to całe bagno, jakie za sobą ciągnę. – Jest młoda. Energiczna. Chce się bawić, kiedy ja umarłem trzy lata temu razem z moją żoną. Pogrzebany za życia. Teraz jednak, od bardzo dawna, poczułem, jakbym rozpaczliwie chciał wydostać się na powierzchnię.

– Już w niej namieszałeś, Kuba. Nie wiesz nawet, jak bardzo – zaciska powieki i przytakuje głową na potwierdzenie swoich słów. – Począwszy od twojej pierwszej wizyty w salonie.

– Nie potraktowałem cię wtedy sprawiedliwie – przyznaję. Bo przecież tak to wszystko się zaczęło. Od samego początku chciałem przed nią uciec, a mimo to siła, z jaką mnie przyciągała, okazała się silniejsza.

– Nie potraktowałeś. Chociaż powiem, że już wtedy twój głos wywoływał u mnie ciarki na rękach. – Nieśmiało się uśmiecha.

Ola mówiła mi dokładnie tak samo. Szeptala mi te słowa do ucha. Pamiętam jak dziś. Zerkam na Lenę zdezorientowany, bo właśnie dociera do mnie, że pierwszy raz od bardzo dawna echo mojej zmarłej żony nie wywołuje rozpaczliwego bólu. Jest żywym wspomnieniem. Takim, które da się zaakceptować.

– Czemu się śmiejesz? – próbuje mnie rozszyfrować.

Kręcę głową, bo sam nie wiem, czy powinienem jej to mówić.

– Po prostu już to kiedyś słyszałem.

– Od twojej żony, prawda? Od Oli – zgaduje, trafiając w samo sedno.

– Od niej. Zawsze była tylko ona – przyznaję. – Ale teraz jesteś ty. – Nie spodziewałem się, że kiedyś będę w stanie wypowiedzieć te słowa do jakiejś kobiety. Nie pomyślałbym nigdy, że sam w nie uwierzę. – To, co działo się pomiędzy nami, zaczynało mnie przerastać. Ale teraz, kiedy jesteś obok, wszystko nabiera klarowności. Dlatego tutaj jestem. Żeby ci o tym powiedzieć. I żeby się przekonać, czy było warto.

– I jak? – dopytuje. – Jak, Kuba? Było?

Temperatura pomiędzy nami sięga chyba zenitu. Jestem jak dziecko brodzące we mgle. Wiem tylko jedno. Tak bardzo jej pragnę.

– Gdybym mógł cofnąć czas i miał okazję stanąć w progu twoich drzwi jeszcze raz, zrobiłbym to samo.

Lena milczy, a jednak w jej oczach zbierają się łzy. Robią się szklane i wcale nie próbuje z tym walczyć. Podchodzi o krok bliżej, staje na palcach i kładzie ręce na moich ramionach. Patrzy na mnie, jakby szukała akceptacji, a potem zawiesza się na mojej szyi, przylegając do mnie całym ciałem. Kładę dłonie na jej plecach i tulę ją jeszcze mocniej. Z wycuciem, by nie straciła tchu. Wtedy opiera głowę na mojej klatce piersiowej. Zimny płaszcz nie stanowi dla niej żadnej przeszkody.

– Nie buduj więcej murów, Kuba – mówi i pociąga nosem. Jakby rozpląkała się na dobre. – Obiecuj, że za chwilę nie powiesz mi, jak bardzo żałujesz swoich słów.

– Obiecuję – tym razem nie rzucam deklaracji na wiatr. Tym razem jestem tego pewien.

– Chodźmy do środka.

Siedzę na kanapie, rozglądając się po przytulnie urządzonej pomieszczeniu. Tuż obok mnie stoi przystrojona lampkami choinka. Na ekranie telewizora z wyciszonym głosem leci oklepany do bólu „Kevin”.

Wchodzi Lena i stawia przede mną talerz z jakimś ciastkiem. Zajmuje miejsce obok i zarzuca włosy na plecy. Musiała je właśnie rozpuścić, bo zanim wszedłem do salonu, były spięte.

– Wiesz – zamyśla się. – Zanim zapukałeś, zastanawiałam się, czego mogłabym sobie dzisiaj życzyć.

– Czego? – Jestem ciekaw.

– Wierz mi albo nie, ale chciałam po prostu, by ktoś był przy mnie. W tym wyjątkowym dniu. Żeby nie czuła się tak potwornie samotna – kładzie swoją rękę na mojej. – Ale nawet w najodważniejszych marzeniach nie posunęłabym się tak daleko, by prosić o ciebie. A ty jesteś – wzrusza się. Targają ją emocje. A ja nie jestem w stanie ich ukoić, kiedy sam dosłownie płonę.

Głaszczę jej policzek. Jest taka krucha. Tak bardzo delikatna.

– I nigdzie się nie wybieram. Będę, jeśli po prostu mi na to pozwolisz – odpowiadam.

Pochyliłam się nad nią tak, by końcówki naszych nosów mogły się zetknąć. Oddycha prosto w moją twarz. Niebieskie tęczęwki nikną mi z widoku, kiedy oboje zamykamy powieki. Pomiędzy nami rodzi się napięcie, które pozytywnie mnie ogłupia. Jak po trawce za nastoletnich lat. Tylko tysiącokrotnie mocniej.

– Boże, Kuba – szepcze. – Jesteś moim najpiękniejszym wigilijnym prezentem – jej palce zanurzają się w moich włosach. Masuje tył mojej głowy, a ja przejmuję kontrolę i całuję ją. Jej wargi są jeszcze bardziej uzależniające, niż zdążyłem to zapamiętać. A miałem wrażenie, że już bardziej być nie mogą. Kiedy przerywamy, siada na mnie okrakiem. Przesuwa się z moich kolan tak, by być jeszcze bliżej mnie. Góruje nade mną, a ja przyglądam się jej ruchom. W moim umyśle pojawia się jeden wniosek. Lena jest piękna. Pociągająca. I tak mocno na mnie działa.

Kładzie dłonie na moich policzkach, obejmując rękami moją twarz. Znów zaczynamy się całować.

Spokojnie, wolno, a jednak dogłębnie, jakbyśmy chcieli się sobą wzajemnie nasycić. Zaczynam przebudzać się z długiego letargu i to w czasie świąt, które po śmierci Oli zdążyłem znienawidzić.

Muskam jej szyję. Odślania ją przede mną, niemalże jęcząc, kiedy kawałek po kawałeczku pieszczę kolejne fragmenty jej ciała. Reaguję na nią. I nie jestem w stanie tego ukryć. Jestem gotowy na więcej i tak trudno będzie mi się powstrzymać przed kolejnym krokiem. Ale nie chcę jej ponaglać. To, co dzisiaj się wydarzyło, jest nowe dla nas obojga. Zapukałem do drzwi jej domu, wcale tego nie planując.

W końcu obejmuję ją i przyciągam do siebie. Kładzie głowę na moim ramieniu, a ja czuję jej szybko opadające i podnoszące się na powrót piersi. Jestem pewien, że słyszę jej mocno bijące serce. Choć moje nie ustępuje mu w tempie ani o krok. Głaszczę długie, jasne włosy. Pachną świeżością. Jakimiś kwiatami, może to po prostu róże. Ten zapach już na zawsze będzie mi się kojarzył tylko z Leną.

Spleceni w uścisku tkwimy tak jeszcze przez wiele chwil. Od czasu do czasu przerywając słowa krótkimi pocałunkami. Lena mówi, a jej głos brzmi jak melodia. Zjawiła się w Tyńcu wcale nie tak dawno i nagle wywróciła cały mój świat do góry nogami.

– Czy to znaczy, że pozwolisz mi w końcu dotknąć swoich włosów nożyczkami? – pyta, kiedy mijają już dobre dwie godziny naszego spotkania.

Śmieję się, bo wiem, że to drobna prowokacja.

– Czy ja wiem – udaję niezdecydowanego. – Teraz, kiedy już dotarło do mnie, że jednak potrafisz być emocjonalnie stabilna i nie dokonasz na mojej głowie rozboju, chyba tak.

Jej oczy rosną.

– A więc o to chodziło – dziwi się. – Bałeś się narzędzia w moich dłoniach. Czuleś, że mogą być niebezpiecznie – porusza wymownie brwiami.

– Kto wie, co może siedzieć w głowie drobnej wariatce – droczę się z nią, bo wiem, że mogę sobie na to pozwolić.

Nie obraża się. To nie w jej stylu. Czekam na kontrę.

– Teraz już wiesz, co w niej siedzi, Kuba. Tylko i wyłącznie ty – odpowiada, absolutnie wygrywając ten słowny pojedynek.

Trzymam ją mocno. Kurczowo. Jakby była moją kotwicą. A wierząc w moc spełnienia świątecznych życzeń, chciałbym po prostu, żeby było tak na zawsze.

ROZDZIAŁ 21

Lena

Słucham głosu matki, która nie szczędzi mi przez telefon zachwyków nad tegorocznymi świętami. Ponoć zastanawiają się z ojcem, czy nie zostać w pensjonacie do sylwestra. Niech zostają. Dla mnie bez różnicy. Otulam się ciepłym kocem przesiąkniętym zapachem mężczyzny, który do reszty zawrócił mi w głowie. Nagle to, co sprawiało mi ból, przestaje mieć znaczenie.

– Wiesz, są tu tacy ludzie ze Śląska. Janina przywiozła cztery słoiki moczki – opowiada rozentuzjasmowana. – To taki wigilijny kompot z piernika i bakalii. Sama zjadłam trzy porcje i jestem zachwycona. Pychota!

– A potem cały wieczór bolał ją brzuch – słyszę w tle głos ojca. – Z obżarstwa.

– Sam nie byłeś lepszy – odpowiada bardzo niezadowolona. Domyślałam się, że te słowa kierowane są do niego. Matka nie lubi, kiedy ojciec zwraca jej na coś uwagę. Nawet w przypadku drobnostek zawsze brakowało jej dystansu do siebie. Trochę jak w notatniku ciotki. Niektóre sprawy pomimo upływu czasu wcale się nie zmieniły. Ciekawe, czy inne też... Moje myśli się rozpraszają. Słowa zapisane na kartach uderzają we mnie ze zdwojoną siłą. Przed chwilą usłyszałam głos człowieka, który we wspomnieniach ciotki Maryli odgrywa jedną z najważniejszych ról.

– Nie sprzeczczać się teraz. Cieszę się, że się wam tam podoba – wracam do rozmowy.

Zapada chwila ciszy.

– Nie sprzeczcamy się – bąka matka do telefonu. – Dobra, będziemy już kończyć – sprawnie przechodzi do finału. Przez chwilę liczyłam, że zapyta, co u mnie. Ale najwyraźniej to pozostaje poza kręgiem jej obecnych zainteresowań.

– Daj mi ją jeszcze – słyszę stłumiony głos ojca, który najwyraźniej chce mi coś powiedzieć. – Halo – mówi po chwili do słuchawki.

– Słucham tato.

– Kochamy cię, córeczko – wypowiada trzy słowa. Trzy słowa, które prawie ścinają mnie z nóg. Moje gardło momentalnie się zwęża. Czuję przygniatający ból w klatce piersiowej. Wargi zaczynają mi drżeć. Kładę rękę na czole i za wszelką cenę próbuję się pozbierać. – Jesteś tam? – dopytuje. – Halo, Lena.

– Jestem – wyduszam z siebie. Nie chcę, by słyszał, jak bardzo poruszyło mnie jego wyznanie. – Ja też was kocham – dodaję.

Po południu odwiedzam dom pana Józefa. Przychodzę z opłatkiem i drobnymi prezentami, ale gościna, jaką dla mnie urządzają, przekracza moje wszelakie oczekiwania. Moje podarunki praktycznie nikną w obliczu tego, co przychodzi mi od nich otrzymać. Jak przy królewskim stole na blacie lądują przeróżne potrawy, a o istnieniu niektórych nie miałam dotąd bladego pojęcia.

– Jedzże Lenka, boś chuda jak patyk – pan Józef ponagla mnie, choć dopiero siadłam na krześle. Sam nie próżnuje, nakładając sobie na talerz porcję smakowicie wyglądającego makowca. Słyszałam, że jego żona jest wybitną kucharką i kiedyś często chodziła pomagać ludziom przy organizacji wesel czy komunii odbywających się w domach. Teraz większość ludzi korzysta z usług restauracji czy firm cateringowych. Wszystko wydaje się znacznie łatwiejsze, a ludzie i tak nie mają na nic czasu.

– Panie Józefie, proszę mi wierzyć, że ostatnio trochę mi przybyło. Nie odwrotnie.

Faktycznie, zauważyłam, że jeansowe spodnie, które kupiłam na początku roku, gniotą mnie w brzuch. I jeśli byłaby to jedna para, dałoby się jeszcze jakoś wytłumaczyć. Ale niestety w grę wchodzi ich więcej. Niemożliwe, by nagle wszystkie się skurczyły.

– Jasne, Lena. – Basia kręci głową. – Przybyło ci chyba w uszach. – Nie mogę się nie roześmiać. W takim towarzystwie znikają wszelakie kompleksy. Swoją drogą, mam wrażenie, że jako nastolatka miałam ich znacznie więcej. Matka nieraz karciała mnie, że nie powinnam tyle jeść, bo nikogo sobie nie znajdę. Być może to miało wpływ na moją niską samoocenę. Ale kiedy poszłam do szkoły średniej i przekonałam się, że jednak wzbudzam zainteresowanie u chłopaków, zrozumiałam, że chyba nie jest ze mną tak źle. Teraz w zasadzie też mam w życiu ważniejsze problemy niż przejmowanie się dwoma kilogramami.

– Dzisiaj moda na wieszaki – pan Józef podejmuje temat. – Głodzą się niepotrzebnie dziewczuchy, a komużże się podobają kości powleczone skórą! Ani to cycka nie mają, ani tyłka porządnego. W niecywilizowanych krajach powiedzieliby, że te nasze modelki to jakieś żebroczki, bo wynędzniały i na jedzenie im pieniędzy brak. No powiedźże, że tak nie jest, jak tak jest – zwraca się do swojej żony. – Ty się Lenka nie przejmuj kilogramami – dobrze mi radzi.

– Panie Józefie, spokojnie. Z obsesyjnej walki o idealną sylwetkę już chyba wyrosłam – odpowiadam. Choć rzecz jasna, nie chciałabym stracić formy. Gdzieś trzeba zachować umiar. Wiem, że gdybym przesadziła, po prostu źle bym się ze sobą czuła.

Rozglądam się. W mieszkaniu pana Józefa jest chyba więcej świątecznych dekoracji niż w galerii handlowej. To ma swój urok, święta czuć tutaj dosłownie w każdym calu. Sztuczna choinka aż ugina się od ozdób, malowanych bombek, za które dzisiaj płaci się krocie. Te, jak wyjaśniła Baśka, są całkiem stare, ponoć jeszcze z czasów PRL-u. Grzybki, pajacyki, kolorowe szyszki i bałwanki. Widziałam kiedyś podobne na jednej ze stron internetowych z używanymi rzeczami i cena, jaką sobie za nie życzone, naprawdę robiła wrażenie.

– A pamiętacie Danusię, co mieszkała na Lutego Tura? – dopytuje pan Józef. Nie wiem, o kogo chodzi, ale Baśka przejmuje inicjatywę, by wtajemniczyć mnie w jej postać.

– Pewnie – odpowiada, a potem odwraca się w moim kierunku. – Mieszkała tutaj niedaleko jedna taka dziewczyna, Danusia Plutko. Czy jakoś tak – milknie na moment. – Już dokładnie nazwiska nie pamiętam – robi niezadowoloną minę, a przecież to mało istotny szczegół. – Była otyła. Naprawdę bardzo, bardzo otyła. Że aż miewała problemy z prostymi, codziennymi czynnościami. Ale znalazła chłopaka, zakochała się na zabój i chciała zrobić wszystko, żeby go przy sobie zatrzymać – wzdycha. – Rzecz jasna, on niczego od niej nie oczekiwał i wcale nie wymagał, ale Danusia zaczęła się odchudzać. Schudła osiemdziesiąt kilogramów. Wyobrazasz to sobie? Jeździła do jakichś specjalistów, na ćwiczenia i tak dalej. Potem wyglądała już zupełnie inaczej. I wiesz co? – przerywa, budując tym samym napięcie. – Facet ją zostawił. Bo już się mu nie podobała. Znalazł sobie inną, tak otyłą jak Danusia wcześniej.

– Nieźle – komentuję nieco zaskoczona.

– Kochanego ciała nigdy za wiele – odzywa się pan Józef, którego dobry humor nie opuszcza chyba nigdy.

– No, ale bez przesady, tato – odzywa się Baśka. – Taka otyłość to już chyba choroba.

– Kto co lubi. – Jej ojciec wzrusza ramionami. A potem wszyscy spoglądamy na małego Janka, który jak gdyby nigdy nie podchodzi do choinki i piastkuje jedną z bombek. Baśka go karci, a ja mam wrażenie, że po prostu chciał zwrócić na siebie uwagę. Wszyscy pochłonięci rozmową zupełnie zapomnieli o tym małym człowieczku, który przecież do pewnego czasu bardzo grzecznie bawił się jakimiś klockami.

– Czasami nie mam już do niego sił. Tłumaczę mu, że tak nie wolno, a on nic sobie z tego nie robi – wzdycha Baśka i bierze go na kolana. Mały się wyrывa, bo najwyraźniej popsuła mu całkiem dobrą zabawę.

– Niedaleko pada jabko łód jabłoni. Jak to godają. – Pan Józef prowokacyjnie zerka na Baśkę. Domyślam się, że jako dziecko nie należała do najspokojniejszych. I choć jej w tym momencie nie jest do śmiechu, co kwituje pokazowym przewróceniem oczami i nietęgą miną, ja czuję się tutaj jak u siebie. Pośród ludzi, którzy niczego i nikogo nie udają.

Po przeszło trzech godzinach wracam do domu. Rozmawiam z Jakubem przez telefon, a potem otwieram pamiętnik ciotki Maryli i zaczynam czytać.

23 LUTY 1999

DROGI PAMIĘTNIKU, NIE POTRAFIĘ ZNALEŹĆ SŁÓW, BY OPISAĆ TO, CO SIĘ DZIEJE. ZWOLNIŁAM SIĘ WCZEŚNIEJ Z ROBOTY, A TERAZ LEŻĘ WE WŁASNYM ŁÓŻKU I GRYŻĘ PODUSZKĘ, ŻEBY NIKT NIE USŁYSZAŁ MOJEGO SZŁOCHU. JESZCZE GODZINĘ TEMU ZASTANAWIAŁAM SIĘ, CZY ZNAJDĘ SZNUR, KTÓRY WYTRZYMA MÓJ CIEŻAR. NIGDY NIE MIAŁAM SAMOBÓJCZYCH MYŚLI, TERAZ CO CHWILA DO MNIE PRZYCHODZĄ. A JA PŁACZĘ NAD NIMI I NAD SWOIM STANEM, I SAMA NIE WIEM, NAD CZYM JUŻ BARDZIEJ.

ZABAWA SIĘ SKOŃCZYŁA.

NIE PISAŁAM NIC PRZEZ DŁUGI CZAS, ALE OPOWIADANIE O ZDARZENIACH PO PROSTU MNIE PRZEROSŁO. ILE RAZY PRÓBOWAŁAM ZACZAĆ, WSTYDZIŁAM SIĘ WŁASNYCH WSPOMNIENI. TYCH OBRAZÓW I SCEN, KTÓRE MIAŁABYM OPISAĆ SŁÓWAMI. POZOSTAŁY

TYLKO W MOJEJ GŁOWIE. NIE POTRZEBOWAŁAM SIĘ NIMI DZIELIĆ. NAWET Z TOBĄ PAMIĘTNIKU. NAWET Z TOBĄ. DAŁAM SIĘ WCIĄGNAĆ W WIR, ZAŚLEPIONA CZYMŚ, CZEGO NIE POTRAFIĘ NAZWAĆ. IM DŁUŻEJ W TO BRNĘŁAM, TYM BARDZIEJ PRZESTAŁAM ZAUWAŻAĆ WSZYSTKO DOKOŁA. WSZYSTKIE MOJE WARTOŚCI POSZŁY GDZIEŚ W POLE. OKAZAŁAM SIĘ SŁABA. ZBYT SŁABA, ŻEBY SIĘ OPRZEĆ. ULEGŁAM, TOCZĄC ZE SOBĄ NIEUSTANNĄ WALKĘ. WIEDZIAŁAM, ŻE TO ZŁE, A JEDNAK NIE UMIAŁAM PRZESTAĆ. BYŁAM I JESTEM ZAKOCHANA. A TERAZ JESZCZE TO.

JUŻ OSTATNIO COŚ PODEJRZEWAŁAM. NIGDY NIE MIAŁAM ZAWROTÓW GŁOWY. NIGDY RANKIEM NIE ZBIERAŁO MNIE NA WYMIOTY. A PRZYNAJMNIEJ NIE PRZEZ KILKA DNI POD RZĄD. MATKA OSTATNIO WSPOMNIAŁA, ŻE POWINNAM WYBRAĆ SIĘ NA BADANIA, BO LEKCEWAŻĘ WŁASNE ZDROWIE. WEDŁUG NIEJ TO MÓGŁ BYĆ NAWET NOWOTWÓR. NIE ROZUMIAŁA, DLACZEGO IGNORUJĘ TE OBJAWY.

A JA JUŻ SAMA NIE WIEM, CZY WOLAŁABYM BYĆ CHORA, CZY ŻEBY PRZYTRAFIŁO MI SIĘ TO. JESTEM W CIĄŻY.

BOŻE KOCHANY. WYBACZ MI, ŻE ZGRZESZYŁAM.

Ostatnie zdanie czytam trzy razy i przerywam czytanie pamiętnika ciotki. Przesuwam palcem po tekście i widzę, jak na mojej ręce pojawia się gęsia skórka. Każdy włoszek staje dęba.

Co to, do jasnej cholery, ma znaczyć!

Nie miałam pojęcia, że ciotka miała dziecko. Wpatruję się w jeden punkt, a moje myśli dosłownie szaleją. Aż zaczyna boleć mnie głowa.

Jeszcze raz zerkam na datę. Musiałoby być w moim wieku. Ale może ciotka je usunęła. Może kiedy mój ojciec się o tym dowiedział, skłonił ją do aborcji. Zapewne oboje tak zdecydowali.

A może dziecko zmarło samo. Przed porodem albo już po. Take rzeczy też się zdarzają. Gdyby było inaczej, z pewnością bym o tym wiedziała.

Przełykam ślinę, bo w moim gardle urasta gigantyczna gula.

Może mam kuzynkę i nic o tym nie wiem.

Do diabła. Same może i może. Wertuję kartki notatnika, ale są zupełnie puste. Na końcu parę numerów, wcześniej kilka rysunków i nic więcej. Jak tak można! Dlaczego nic więcej nie dopisała! Ani jednego słowa. Strona po stronie od nowa pobieżnie śledzę tekst. Ale wszystko już czytałam.

Czy to był koniec jej uczucia z moim ojcem? Zrobił jej dziecko i tyle? Domyślam się, że mieli romans, niewinne igraszki posunęły się dalej. To o niego chodziło, choć w ostatnim wpisie nie padło jego imię. Ani razu. A może mam urojenia? Przesadzam?

Muszę poznać prawdę. Dowiedzieć się, co się stało z dzieckiem ciotki.

Działam jak w amoku.

Biorę telefon do ręki i wybieram numer matki. Dzwonię. Z każdym kolejnym sygnałem moje serce wali coraz mocniej. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie dzieje się ze mną coś złego. Mój organizm nie zachowuje się normalnie.

Ale matka nie odbiera. W słuchawce automatyczna sekretarka obwiesza mi, że mam spróbować później albo nagrać się po sygnale. Klikam w czerwoną słuchawkę. Ręka z telefonem bezwładnie opada mi na kanapę.

Może to i lepiej, że nie odebrała. Wiem, że temat ciotki działa na nią jak płachta na byka. Chciałam tylko zapytać o kuzynkę. Dochodzi do mnie, że przy okazji rozdrapałabym dawne rany. Temat zdrady, bo przecież tutaj chodzi także o mojego ojca. Jak mogłam to pominąć. Wciąż jestem jednak w szoku. Nie zachowuję się rozsądnie. Ani trochę.

Zaciskam powieki. Dociera do mnie, jak bardzo jestem głupia. Nie powinnam do nich dzwonić. To wszystko wydaje się jednak tak bardzo poplątane. Nierealne. Jakby ktoś napisał scenariusz do kiepskiego filmu i próbował wkręcić mnie w fabułę.

Podchodzę do szafki z dokumentami ciotki. Są tam jakieś stare akta. Muszę je przejrzeć. Przegrzebać. Otwieram drzwiczki, które wydają ciche zgrzytnięcie, i zaczynam szukać.

ROZDZIAŁ 22

Jakub

Zerkam na telefon, ale nadal milczy. Nie chcę wyjść na desperata, więc nie mam zamiaru atakować Leny wiadomościami. Wczorajszy pierwszy dzień świąt spędziłem w robocie. Ktoś musi, a że już od trzech lat Boże Narodzenie obchodziłem tylko wewnętrznie, nie sprawiało mi różnicy dom czy komenda. Zdaję sobie sprawę, że znajomi mający rodziny czy małe dzieci na pewno potrzebują wtedy wolnego bardziej niż ja. Dlatego już na początku miesiąca zgłosiłem się na dyżur. Potem nie było odwrotu.

A wczorajszy dzień nie należał do łatwych. Interwencja z potrąconym dziesięciolatkiem, który wszedł na pasy wpatrzony w telefon komórkowy. Zupełnie zniecka. Ponoć, bo na miejscu nie było ani kamer, ani żadnych świadków. Biorąc pod uwagę warunki, kierowca miał problem z wyhamowaniem. Oczywiście, został uznany za winnego. Całe szczęście, że jechał powoli i wszystko skończyło się tylko złamaną ręką. Tylko i aż. Wypadki z udziałem dzieci bolą najbardziej.

Inna sprawa, że czasami zastanawiam się nad słusznością przepisu, który przyznaje przechodniom pełne prawo pierwszeństwa na pasach. Niektórym z nich naprawdę brak wyobraźni.

Kiedy wróciłem do domu, rozmawiałem za to z Leną przez telefon. Zasugerowała wieczorne spotkanie w drugi dzień świąt, ale w natłoku tematów nie dogadaliśmy godziny. Dochodzi siedemnasta, a ja pięćdziesiąt minut temu napisałem jej wiadomość z zapytaniem, o której mam po nią wpaść. Nie odpisała do teraz. Może po prostu śpi albo jest u sąsiada. Kiedy człowiek zaczyna snuć domysły, w głowie zawsze pojawiają się najgorsze opcje. Moje są absurdalne, więc staram się je ignorować, choć mam prawo się martwić. Lena mieszka przecież zupełnie sama.

Prawda jest taka, że od dwóch dni czuję się jak nastoletni szczeniak. Przez większą część dnia zupełnie odklejony od rzeczywistości, co niekoniecznie pomaga w pracy policjanta. Nie potrafię się zdystansować do zdarzeń wigilijnego wieczoru. Najbardziej wkurzająca dziewczyna na świecie dokopała się gdzieś do mojego wnętrza. I choć tak usilnie się przed tym wzbraniałem, przepadłem. Teraz myślę tylko o niej. O jej ustach. O dotyku i o tym, jak bardzo chcę jej bliskości.

Dzwonię do mamy, żeby zapytać, czy już przestała boleć ją głowa. Kiedy rozmawiałem z nią przed południem, narzekała na straszną migrenę. Ostatnio miewa je coraz częściej, choć pamiętam, że już jako dziecko obserwowałem u niej podobne ataki. Paskudna sprawa, której dzięki Bogu nigdy nie przeżyłem.

W następnej kolejności wybieram numer do ciotki i wuja. Są zdziwieni, że kieruję do nich życzenia wesołych świąt, bo już dawno nie składałem ich nikomu. W zasadzie święta już prawie minęły, ale liczy się gest.

Dochodzi osiemnasta, a mój telefon nadal nie wyświetla żadnej wiadomości od Leny. Zaniepokojony postanawiam zadzwonić.

W słuchawce rozlega się jeden, drugi, trzeci sygnał. Potem słyszę kolejne. Już mam wrażenie, że za chwilę automatyczna sekretarka odklepie swoją kwestię, kiedy sygnał zostaje przerwany. Zamiast niego rozlega się jakiś szum. Szmer i głośny śmiech. Jednak taki, który zdecydowanie nie należy do Leny. To męski głos.

– Halo? – próbuję zwrócić na siebie uwagę. – Lena, jesteś tam? – pytam. Ale nikt się nie odzywa. A przynajmniej nie bezpośrednio do mnie. Zamiast tego słychać toczące się rozmowy. Pełne dobrego humoru. Ponawiam zapytanie, jednak efekt jest podobny. Wygląda na to, że Lena musiała przypadkowo odebrać połączenie. Mam wrażenie, że ją słyszę. Wypowiada właśnie imię, które wiele mi wyjaśnia. Natan. To ten chłopak, z którym widziałem ją pod sklepem. Ten sam, z którym planowała się spotkać, nim pozwoliliśmy sobie na upust naszych emocji. Zdążyłem je zapamiętać.

Rozłączam się.

Siadam na kanapie.

Jestem ogłupiony i już sam nie wiem, czy mam prawo do takiej reakcji.

Sądziłem, że skoro pomiędzy nami coś się wydarzyło, nie będzie szukać szczęścia u jego boku. Chciała się spotkać, tymczasem siedzę sam, kiedy ona w najlepsze bawi się z kimś, kogo jeszcze trzy dni temu trzymała

za rękę. Może trzyma i dziś. Może robią coś więcej. Przecież ich nie widzę. Sporo za to jestem w stanie sobie wyobrazić.

Czuję się oszukany.

Cholernie zraniony. Zaufałem jej. A ona zwyczajnie mnie wystawiła. Jak mogłem tak dać się nabrać? Jeśli chodziło jej o zemstę, muszę przyznać, że okazała się spektakularna. Mogłem się domyślić, że związek z młodą dziewczyną oczekującą od życia zabawy nie ma żadnych szans, kiedy po drugiej stronie staje ponury wdowiec, człowiek z bagażem doświadczeń, który niewiele ma do zaoferowania.

Kurwa.

Opieram łokcie o kolana. Pochylam głowę i chowam ją w dłoniach. Nabrała mnie, mniej czy bardziej świadomie. Jeszcze do wczoraj byłem przekonany, że niczego przede mną nie udawała. Że to wszystko pomiędzy nami było po prostu prawdziwe.

Wpadam w pustkę. Włączam telewizor, by zagłuszyć wewnętrzne poczucie porażki. Przecież mogłem się tego spodziewać. Mój głos rozsądku od jakiegoś czasu szeptał coraz ciszej, aż w końcu wygasł do reszty. Jak mogłem przestać go słuchać? Zmieniam kanały, ale i tak na niczym nie potrafię się skupić. Wstaję i biorę kluczyki od auta. Muszę wyjść z domu. Pojechać gdziekolwiek, żeby odreagować. Ściskam je tak mocno, że prawie bieleją mi knykcie, aż w końcu je odkładam. Nie powinienem prowadzić, kiedy przemawiają przeze mnie emocje. Nie chcę narobić żadnych głupot. Pamiętam wypadek, do którego doprowadził mój znajomy po rozstaniu ze swoją dziewczyną. Jeździ na wózku po dziś dzień. Próbuję przypomnieć sobie szczegóły, by nie zwariować od palącego poczucia zazdrości. Ale ona znów przysłania mi wszystko.

Pół godziny później mój telefon zaczyna dzwonić. Jestem zdenerwowany. „Lena” wyświetlająca się na ekranie tylko potęguje ten stan. Nie odbieram. Bo sam nie wiem, co miałbym jej powiedzieć. Może milczenie okaże się najlepszym rozwiązaniem. Dla nas obojga.

Ale kiedy połączenie cichnie, Lena dzwoni kolejny raz. Zakładam ręce pod boki, wgapiając się w jeden punkt. W telewizji leci właśnie jakiś kolędowy koncert. Robię krok do przodu i działam impulsywnie. Klikam w zielony przycisk i przykładam słuchawkę do ucha.

– Kuba? – pyta, choć to przecież oczywiste. Nie mogła usłyszeć nikogo więcej. Nie wiem, po co dzwoni. Nagle sobie o mnie przypomniała? Wcześniej miała to gdzieś. I co mi teraz powie, że mnie nabrała? Albo że właśnie skończyła spotkanie ze swoim chłopakiem i znalazła dla mnie czas? A właściwie jego ochłapy.

– Nie dzwoń do mnie więcej – odpowiadam jej gorzko, nie pozwalając dojść do słowa. Nim zdąży zareagować, kończę połączenie. Potem wyłączam telefon, by już więcej dzisiaj nie psuł mi humoru. O ile można go zmiażdżyć jeszcze mocniej, bo czuję się tak, jakbym znów sięgnął samego dna. Dna zwanego upokorzeniem.

ROZDZIAŁ 23

Lena

Jadę samochodem, próbując dzielić uwagę pomiędzy jezdnię a moją komórkę.

„Abonent chwilowo niedostępny. Prosimy spróbować ponownie”. W koło Macieju jedno i to samo. Rzucam telefon do wnętrza koła skrzyni biegów i łapię kierownicę oburącz. W centrum Krakowa, pomimo świątecznej pory, porusza się naprawdę sporo aut. Z prawej jedzie właśnie jakiś tramwaj, któremu chyba muszę ustąpić pierwszeństwa, chociaż mam zielone światło. Zaczynam się w tym wszystkim gubić. Wytężam umysł, żeby niczego nie nawywijać.

Skąd miałam wiedzieć, że Natan schowa mój telefon do swojej kieszeni?! Nie słyszałam, że dzwonił. Do diabła! Nie wiem, co w tym momencie myśli sobie Jakub, ale fakt jest taki, że nie chce ze mną gadać. Wyłączył telefon, a to najlepszy dowód, jak bardzo musi być zły.

W tej sytuacji mam tylko jedno wyjście. Odpuszczam dzwonienie, bo przestaje mieć sens. Poza tym jadę autem. Naprawdę nie stać mnie na mandaty, a ponoć nowy taryfikator przewiduje naprawdę srogie kary za każde wykroczenie drogowe.

Skrećam w jakąś dziwną uliczkę. Wszystko mi się miesza. Już sama nie wiem, gdzie się znalazłam. Chyba za bardzo się pospieszyłam. Przede mną stoi jakiś gigantyczny, ładnie udekorowany lampkami budynek z wielkimi oknami. Czerwony napis i kilka gwiazdek umieszczonych tuż obok niego podpowiadają mi, że to chyba jakiś hotel. Parkuję przed czerwonym szlabanem, który blokuje drogę wjazdu i nie gasząc silnika, wklepuję w nawigację docelowe miejsce. A potem ruszam.

Kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt minut później, bo zupełnie straciłam rachubę czasu, stoję pod drzwiami domu Jakuba. Naciskam dzwonek i czekam. I wiem jedno, że chyba przed żadnym życiowym egzaminem nie stresowałam się tak bardzo, jak teraz. Niezależnie od tego, co mogę usłyszeć, muszę z nim porozmawiać.

Przestępuję z nogi na nogę, wpatrując się w klamkę, która nie chce się poruszyć. W końcu nieruchomieję, a lampka, która po moim przyjściu automatycznie oświetliła schody, zwyczajnie gaśnie. Zdaje się jednak, że po drugiej stronie słychać jakiś szmer. Potem szcęk przekręcanego w zamku klucza.

Ogarnia mnie przerażenie. Przejmujący lęk. Najgorsze co mogłabym zrobić, to po prostu się rozplakać. A przecież nie zrobiłam nic złego. Sprawy po prostu się skomplikowały.

W końcu otwierają się drzwi.

Staje w nich Jakub. W luźnych dresowych spodniach, wymiętej czarnej koszulce i z włosami nieprzypominającymi starannie ułożonej fryzury. Jakbym przeszkodziła mu we śnie. Opiera rękę o ościeżnicę, jakby chciał zablokować mi drogę, a przecież bez jego zgody nie pchałabym się.

Patrzy na mnie gniewnie.

– Po co przyjechałaś? – pyta nieprzyjemnym tonem na powitanie. Jakbym była jego wrogiem.

– Nie odbierasz mojego telefonu – tłumaczę niepewnie, bawiąc się rękawami swojej kurtki. Jest zimno. Mógłby wpuścić mnie do środka. Choć zastanawiam się, czy ten nagle odczuwalny chłód to wynik niskiej temperatury, czy jego nastawienia. Jakby wszystkie uczucia, które do mnie żywił, przestały mieć znaczenie.

– Ty też nie odbierałaś – ucina. – Coś jeszcze? – Prędko chce się mnie pozbyć. Dlaczego taki jest?

– Kuba, ty nic nie rozumiesz – dukam.

– Wyjaśnijmy coś sobie, Lena. – Prostuje się. – Bo widzę, że masz wielki problem z oceną sytuacji. Chyba ty nic nie rozumiesz. Nabrałaś mnie. Sądziłem, że coś dla ciebie znaczę. Tymczasem, spotykając się ze mną, wcale nie miałaś zamiaru zrezygnować z bezpiecznej innej opcji. Nie będę tym drugim. Ani też nie będę nikim się dzielił. Jesteś młoda, może takie zabawy cię kręcą. Ale mnie już nie. Oczekuję od życia czegoś zupełnie innego. – Jest rozgoryczony. Wyrzuca z siebie wszystko, co leży mu na sercu. Nie pozwala mi nic powiedzieć, choć cały czas próbuję się wtrącić.

– Wiem, że dzwoniłeś. Natan zabrał mi telefon i schował do swojej kieszeni – prawie krzyczę, żeby w końcu usłyszał mój głos. – To miał być według niego żart, choć wydaje mi się, że przez cały czas łudził się, że może jeszcze coś ugrać. Pewnie schował go wtedy, kiedy dzwoniłeś. – Milknę na chwilę, by zaczerpnąć

powietrza. – Byli tam jego znajomi i znajome. Była Marika, trochę straciłam rachubę czasu. Naprawdę cię za to przepraszam – czuję, jak łamie mi się głos. Ma prawo być zły, ale nigdy nie pomyślałam, że mógłby być dla mnie drugą opcją. O czym on mówi?

– Ciesz się, że dobrze się bawiłaś. I nie mam zamiaru ci tego odbierać. Chyba nie potrafiłbym dać ci tego samego. Dlatego nie mamy już ze sobą o czym gadać – chce zamknąć drzwi. Widzę, jak targają nim emocje. Opuszczam głowę. Smutek chwyta mnie za gardło. Boli, kiedy próbuję przełknąć ślinę.

– To nie tak – wołam, powstrzymując go przed zamknięciem. Mój rozpaczliwy głos jest najlepszym dowodem, jak bardzo mi przykro. Czuję, jakbym traciła coś ważnego. To nie może się tak skończyć.

– Jak? – syczy. A ja jestem wdzięczna, że mimo wszystko pozwala mi dokończyć.

– Umówiłam się z Natanem, żeby mu o nas powiedzieć. Zasługiwał na to. Spotykaliśmy się krótko i niczego wielkiego mu nie obiecywałam, ale chciałam mu powiedzieć prosto w oczy, że jestem zakochana. – Patrzę na twarz Jakuba. Wreszcie daje mi szansę. – W tobie.

Podnosi brwi. Jakby nie tego się spodziewał. Ale chwilę potem kręci już głową. Parska pod nosem, jakby mi nie wierzył.

– Kiedy to sobie wymyśliłaś? Jadąc tutaj? – prycha.

– Mam swój honor – kontynuuję, ignorując jego przytyk. – Dlatego nie chciałam zbywać go SMS-em. Był na mnie zły, kiedy dowiedział się, że chodzi o ciebie. Rzecz jasna, wcale cię nie polubił. – Nie mam zamiaru go urazić. Ale nie chcę mieć przed nim żadnych tajemnic. Żadnych. – Weź mój telefon. – Wkładam rękę do kieszeni i podaję go w jego stronę. – I zadzwoń do Mariki. Albo do Natana. Do kogokolwiek spośród tych, którzy tam byli. I zapytaj, co się wydarzyło. – Jestem pewna siebie. Bo niczego nie ukrywam. – Powiedzą ci. Dowiesz się, że stojąc tu – celuję palcem w podłogę – przed tobą – milknę na parę sekund – nie skłamałam ani słowem. – Chce mi się płakać. – Zależy mi na tobie. Tylko na tobie, Jakub. Tak, jak jeszcze nie zależało mi na nikim.

Zamyka powieki. Jakby próbować po cichu trawić moje słowa.

– Zadzwoń – zachęcam go.

Otwiera oczy. Są smutne.

– Nie mam zamiaru do nikogo dzwonić. Jeśli mielibyśmy zacząć od kontroli i braku zaufania, to wszystko już na starcie byłoby pozbawione sensu – mówi.

– Wciąż widzisz w tym jakiś sens? – Łapię być może ostatnią deskę ratunku. Ale chcę zrobić wszystko, żeby mi uwierzył. Nie mogę patrzeć, jak cierpi. Nie zasługuje na to. Jednak nie zasługuję na to także i ja. Jestem z nim absolutnie szczerą. I chcę być szczęśliwa. Z Jakubem u swojego boku.

– Wejdz – szepcze, torując mi drogę do środka.

– Kuba – mówię, a gorycz smutku wypełnia mi usta. Chcę zmieść ten posmak. Poczuć coś zupełnie innego. – Nie przyszłam tutaj, żeby być niewygodnym gościem. Odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy widzisz w tym jakiś sens? – Biorę głęboki oddech i próbuję zachować kontrolę nad emocjami. – Bo jeśli nie, odejdę i już więcej tutaj nie wrócę. – Tak mi ciężko na sercu, kiedy pod powiekami zaczynają szczypać pierwsze łzy.

– Widzę. – Lekko się uśmiecha. A to najpiękniejszy widok, jaki mogłam sobie wyobrazić. – Inaczej już dawno zamknąłbym te drzwi.

W milczeniu przekraczam próg jego domu. Zdejmuję brudne od śniegu buty, rozpinam kurtkę, odwieszam ją i przechodzę dalej.

Kiedy staję u progu jego salonu, jak flashbacki powracają do mnie chwile, kiedy byłam tutaj pierwszy raz. Kompletnie pijana. Zdążyłam to wszystko zapamiętać inaczej.

Na stole stoi butelka wina. Wciąż prawie pełna. W kieliszku jest niewielka ilość. Obok leży telefon. Ten sam, na który tak natarczywie próbowałam się dodzwonić.

Jakub znajduje się tuż za mną. Czuję jego obecność. Odwracam się i widzę, że na mnie patrzy.

Postawny i szalenie przystojny. Dzieli nas dystans metra, może dwóch. A ja uświadamiam sobie, jak bardzo za nim tęskniłam. Skracam przestrzeń pomiędzy nami. Podbiegam do niego i obejmuję za szyję. Pozwalam mu znaleźć się w swoich ramionach, a on to odwzajemnia. Daje mi siebie, przylegając szczerze do mojego ciała. Jakby tęsknił równie mocno. Jakbyśmy w tym momencie byli dla siebie całym światem.

Przecieram łzę wzruszenia, która niechciana błąka się po moim policzku. Jestem szczęśliwa.

– Nie wybaczyłamby sobie, gdybym cię teraz straciła – mówię. A on puszcza moje plecy, odsuwa się i patrzy mi prosto w twarz. Jakby chciał zobaczyć emocje na niej wypisane.

– Ty płaczesz? – pyta. Zauważa moje wilgotne policzki i przeciera je opuszkami palca. Jego dotyk przyjemnie pali. Dokładnie tak samo, jak ostatnim razem. Ciarki momentalnie przenikają mnie od stóp aż po czubek głowy. Kciuk Jakuba zsuwa się na moje wargi. Przeciera nim moje lekko rozchylone usta, skupiając wzrok właśnie na tym fragmencie mojego ciała. Pragnę, żeby mnie pocałował. Moje zmysły szaleją. A on to robi. Jego wargi delikatnie stykają się z moimi. Dyktuje kolejne ruchy, pieszcząc mój język. Tak intensywnie, że ledwo stoję na nogach.

Jego ręka na powrót trafia na moje plecy. A potem dołącza do niej druga. Jakub dostaje się pod moją bluzkę, gładzi nagą skórę. Kładę dłonie na jego klatce piersiowej. Dotykam jego brzucha, a on mi na to pozwala. Nie miałam pojęcia, że czyjaś obecność może w ciągu jednej sekundy podnieść poziom napięcia poza jakąkolwiek skalę. Jakub właśnie to robi. Rozpina guziki mojej bluzki. Bezwstydnie patrząc na mój czarny stanik. Jego oczy płoną, co jeszcze bardziej mnie podnieca. Kiedy jego palcom ulega ostatni z guzików, obejmuje moją talię. Rozchyła poły czerwonego materiału i schyla się, by ustami dotknąć mojej szyi. Mojego dekoltu. W końcu zatrzymuje się i podnosi głowę, by na mnie spojrzeć.

– Doprowadzasz mnie do szału, Lena – wyznaje chrapliwym głosem. Zanurzam palce w jego włosach, przeczesując je delikatnie. Są tak bardzo gęste, że opuszki moich palców dosłownie nikną pomiędzy nimi. – Pozbądźmy się tego – kilkoma sprawnymi ruchami sprawia, że moja bluzka ląduje na podłodze.

Całując mnie, zsuwa ramiączka biustonosza. Pieści moje ramiona, aż w końcu dociera do haftki. Stanik opada, a na piersi trafiają jego ciepłe dłonie. Moje sutki sztywnieją pod wpływem dotyku, kiedy zatacza wokół nich koliste ruchy. Wraz z każdą milisekundą w pomieszczeniu robi się coraz bardziej gorąco.

Ciągnę jego koszulkę, by się jej pozbyć. Pomaga mi, a kiedy staje przede mną półnagi, przyciągam do siebie jego głowę. Nasze ciała ocierają się. Tak ciężko zachować równomierny oddech, kiedy mam wrażenie, że za moment osiągnę szczyt. I wcale nie chodzi o to, że już dawno nie pozwalałam komuś na tak wiele. Ale o to, że jestem bezgranicznie zadurzona w człowieku, który sprawia, że definicja przyjemności w moim słowniku zaczyna pisać się na nowo.

Bierze mnie na ręce i przenosi na kanapę. Ostrożnie kładzie mnie na poduszce, na którą już wcześniej zdążyłam zwrócić uwagę.

– Wszystko w porządku? – pyta, górując nade mną. Jakby chciał się upewnić, czy nie zabrnął za daleko.

– Bardziej być nie mogło – odpowiadam piskliwym głosem, ale nie stać mnie na inny.

Uśmiecha się zadowolony. A ja łaknę jego szczęścia nie mniej niż tego, by nie przerywał.

– Boże... – Nabiera powietrza w płuca. – Co ty ze mną robisz? – Nie przestaje na mnie patrzeć. Nie potrafię odpowiedzieć na jego pytanie, a i on zapewne tego ode mnie nie oczekuje. Podnoszę się na łokciach, kiedy kładzie się nade mną. Muska moje usta zaledwie przez chwilę, by po chwili zacząć pieścić językiem moje piersi. Jego delikatny zarost drażni każdą moją komórkę, a ja czuję jego dotyk także znacznie niżej. Pulsowanie w moim podbrzuszu daje mi jasny sygnał, że jestem gotowa na więcej. Jakub rozpina guzik moich spodni. Przesuwa się w dół. Zostaję w samych majtkach. – Chodź do mnie – wstaje. Podnoszę się, on siada na kanapie i pokazuje, żebym usadowiła się na jego kolanach. Kiedy to robię, jego ręka trafia pomiędzy moje nogi. Odsuwa na bok materiał moich majtek i zaczyna mnie pieścić. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Jego ruchy stają się zdecydowane. Otwieram oczy, by na niego spojrzeć, kiedy przestają panować na swoim ciałem. Ma głowę opartą o tył kanapy i patrzy na mnie spod półprzymkniętych powiek. Zaciska szczęki, co podkreśla męskie rysy jego twarzy. – Dojdz dla mnie – prosi. A to dla mnie znak, że nie zamierza przestać. Dyszę coraz szybciej, kiedy w końcu przechodzi mnie fala rozkoszy. Wyginam się do tyłu, a potem opadam na jego ramiona. Rozdygotana uderzeniem rozkoszy.

Po kilku sekundach dźwigam głowę z jego barku. Tak, by nasze czoła mogły się zetknąć. Obejmuję jego twarz dłońmi i patrzę mu prosto w oczy.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Odebrałeś mi rozum, Kuba – jęczę. – Już dawno tak się nie czułam.

– Jak? – dopytuje, z zainteresowaniem podnosząc brwi.

– Tak dobrze – szepczę. – Tak dobrze – powtarzam, żeby był tego świadom. – Więc jeśli chcesz... – Nie wiem, jak to powiedzieć – to możemy... – płacze mi się język. Zachowuję się, jakbym była czymś odurzona. A przecież nie wypięłam ani kropelki alkoholu. Moje policzki zaczynają się czerwienić. Palą, jakby ktoś potraktował je ogniem.

– Chcę – przejmuję kontrolę. Jestem mu za to wdzięczna. – Nie możesz mieć pojęcia, jak mocno cię pragnę.

Schodzę z niego. On wstaje. Nie wiem, co powinnam robić. Mam wrażenie, że każde moje posunięcie nie będzie nawet w jednym procencie tak doskonałe, jak jego. Podchodzę do niego, zahaczając o gumkę jego spodni.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – mówi. – Kładź się – dodaje władczo. Ton jego głosu jest dla mnie zaskoczeniem. Szalenie pozytywnym. Pewność siebie Jakuba dodaje mu uroku. Przyjemny dreszcz przebiegający po moich plecach daje o sobie znać. Zgodnie z jego słowami kładę się na kanapie. – Na boku – dodaje. – Jego oczy zwiężają się w szparki.

Przytakuję.

On kładzie się obok mnie. Pieści moje uda, celowo budując napięcie. A ja pomimo tego, że przed chwilą dla niego doszłam, znów czuję niedosyt. Jego palec dociera do mojego wnętrza. Posuwiste ruchy, coraz szybsze, nagle ustają.

– Błagam, Kuba – jęczę. – Wejźdź we mnie – dodaje.

– Chciałem się tylko upewnić, czy jesteś gotowa – prowokuje mnie. Słyszę to w jego głosie. Jest doświadczonym mężczyzną, pod wieloma względami, właśnie mam okazję się o tym przekonać.

– Jestem. Jestem gotowa – przerywam. – Na ciebie – dodaje.

Kiedy we mnie wchodzi, nie mogę powstrzymać westchnięcia. Każdy jego ruch działa na mnie ze zdwojoną siłą, a jego palce drażniące moje sutki tylko potęgują wszystkie doznania.

– Za chwilę... znowu... – dyszę. – Kuba... – Nie kończę, kiedy moje mięśnie spinają się tak, że wyginam plecy w łuk.

On nieruchomieje. Jego ręka zaciska się na moim brzuchu, nie sprawiając mi nawet krzty bólu. Opiera czoło o moje plecy, nie mówiąc nic. Słyszę, jak szybko oddycha. Czuję to na własnej skórze, którą przyjemnie przy tym łaskocze. Potem muska mnie w ramię.

– Dziękuję – mówi mi cicho do ucha. – Dziękuję ci, że jesteś tylko moja.

– Szepcz do mnie więcej – odpowiadam.

Przez jakiś czas leżymy wtuleni. Bez słów, bo nasza bliskość jest tak wymowna, że nie potrzeba już niczego.

ROZDZIAŁ 24

Jakub

Lena leży obok mnie. Zupełnie naga. Pod okrywającym nas kocem trzyma rękę na mojej piersi. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Jej idealne, krągłe tam gdzie trzeba ciało przylega do mojego boku.

– Naprawdę przez trzy lata z nikim nie byłeś? – Podnosi głowę i patrzy prosto na mnie. Zerkam na nią, bo czuję jej wzrok. – No wiesz... – waha się, czy to powiedzieć. – Fizycznie.

– Lenka – wzdycham. – Wiem, jak żałośnie to brzmi. Ale doskonale wiesz, dlaczego tak było. – Nie chcę psuć nastroju, więc wołałbym nie gadać o tym, jak bardzo przeżyłem utratę Oli. Chociaż w ciągu ostatnich dni wiele się zmieniło, ta kwestia wciąż mnie przygniata.

– I byłąś gotów umrzeć w celibacie? Serio? – Robi duże oczy i kręci głową. – Zmarnowałąś taki potencjał – stwierdza. A ja uświadamiam sobie, że przy niej nawet trudne tematy stają się bardziej znośne.

– Niektóre myśli mogłabyś zachować dla siebie – komentuję pół żartem, pół serio.

– Przecież właśnie powiedziałam ci komplement – oburza się, choć wiem, że udaje.

– Tak – wzdycham. – Ale stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji. Nie wiem, co mam odpowiedzieć.

– Ty zawsze wiesz, co powiedzieć – chichocze. – No dalej. Powiedz, że też jestem zajebista.

– Nie użyję tego słowa – patrzę na nią, próbując zachować powagę.

– Dlaczego? – dziwi się.

– Bo nie oddaje twojego uroku. Mam w pracy kumpla, dla którego wszystko dookoła jest po prostu zajebiste. Ma dość ograniczony zasób słów, więc uwierz, że wołałbym użyć innego określenia. – Nie jestem romantyczny. Naprawdę mam problem z budowaniem atmosfery rodem z filmu o miłości. Kolacja przy świecach, spokojna muzyczka w tle to była zawsze działka Oli. Od zawsze twardo stąpałem po ziemi, bez większej finezji. – Jesteś cudowna, Lenka. Fizycznie i mentalnie.

Częstuje mnie naprawdę pięknym uśmiechem.

– A jeszcze niedawno miałam wrażenie, że szczerze mnie nienawidzisz – stwierdza. Zdaję sobie sprawę, że mogła mieć takie wrażenie. Upływający czas i życie potrafią wiele zweryfikować. Często pokazowo ucierając nam przy tym nosa. Gdyby wraz z początkiem grudnia ktoś powiedział mi, że znowu stanę na nogi i to dzięki niej, kazałbym stuknąć mu się w łeb. I to nie byle czym.

– Chciałem trzymać się od ciebie z daleka. Ale zwróciłem na ciebie uwagę i nie mogłem przestać tego robić, bo jako jedyna zawsze byłaś szczerą. Nie owijałaś w bawełnę. Nikogo i niczego nie udawałaś. – Analizuję ostatnie dni. I wiem, że między innymi to tak bardzo zaczęło mi w Lenie imponować. – Od kiedy zmarła Ola, ludzie zaczęli obchodzić się ze mną jak z jajkiem. Współczuli mi, a ja już miałem dość litości. Najgorsze były pytania, jak się trzymam. Co im miałem powiedzieć, kiedy wydawało mi się, że lepiej byłoby umrzeć razem z nią.

Lena milczy.

– Rozumiem ich podejście. Ludzie nie wiedzą, jak się w takim momencie zachować. Tego nas nie uczą. Ale rozumiem także ciebie. Nie zawsze trzeba poruszać trudne tematy, a niektórym naprawdę brak wycucia – stwierdza. Koniuszki jej palców przesuwają się po moim zaroście. Zerka mi prosto w oczy i rozchyła lekko usta. Widzę, że chce coś dodać. – Bo widzisz, Kuba. Chciałam, żebyś wiedział, że ja nie mam zamiaru odbierać cię twojej żonie. Oli. Wiem, że zawsze będzie zajmowała w twoim życiu ważne miejsce i chciałabym, żeby stała się też moim życiem.

Nie spodziewałem się tego usłyszeć. Wzruszam się. Jak pieprzony mięczak. Obejmuję ją ręką i przyciągam do siebie. Tulę ją, całując w czubek głowy. Nie chcę, by patrzyła mi teraz w oczy. Kobiety nigdy nie powinny widzieć płaczącego faceta. Łzy są oznaką słabości, a ja w tym momencie nie potrafię ich zatrzymać.

– Jesteś najlepszym, co mogło mnie spotkać. I zrobię wszystko, byś się na mnie nie zawiodła – mówię sflumionym głosem. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś Święta Bożego Narodzenia staną się dla mnie tak wyjątkowe. A w czasie ich trwania poczuję, że życie może mieć jeszcze dla mnie sens.

ROZDZIAŁ 25

Lena

Kaszlę, kiedy wraz z otwarciem włazu na strych wokół unoszą się tumany kurzu. Ostrożnie wchodzę na górę, dbając, by drabinka ustawiona pod odpowiednim kątem przypadkiem się nie przewróciła. Na wszelki wypadek mam ze sobą telefon. Bez niego nie zdecydowałabym się tutaj wejść. Skacząc w dół, bankowo połamalabym nogi. Drabinka jednak stoi i to całkiem stabilnie, więc wszystko wskazuje, że zupełnie niepotrzebnie snuję czarne wizje. Włączam zakupioną dziś czołówkę i rozglądam się dookoła. Światło, które emituje, jest naprawdę imponujące. Widzę zdecydowanie więcej pajęczyn niż ostatnim razem. A to wbrew pozorom dobrze. Będzie większa szansa, że bezinwazyjnie je ominę. Nienawidzę pajaków, a już na pewno tych z grubym tułowiem. Wywołują we mnie obrzydzenie i reakcję, której wstydziłabym się pokazać publicznie.

Rozglądam się tak naprawdę w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Gdzieś w głębi ducha liczę, że uda mi się znaleźć jakiś trop. Dalszy ciąg niewiadomej. Dziecięce ciuszki. Jakieś zdjęcia. Cokolwiek. Na dole w szafkach nie było zupełnie nic. Poza rachunkami, lekarskimi badaniami i mało istotnymi obrazkami.

Póki co, szukam punktu zaczepienia. Ależ tutaj syf. Nie wiadomo, na czym zawiesić oko. Celowo ubrałam się w ciuchy, których nie będzie mi szkoda, jeśli się zniszczą, bo to, że się pobrudzą, wiem na pewno. Jest trochę szpargałów do przerzucenia, więc żeby nie tracić czasu, zabieram się do działania. Przekładam w drugi kąt jakieś krzesło i z lekkim obrzydzeniem staram się włożyć ciuchy, które, delikatnie mówiąc, nie pachną. Gdy świecę na stos materiałów latarką, wszędzie widać mikroskopijne pyłki, których sporą część mam już zapewne w płucach.

Mija kilkanaście, a może kilkadziesiąt minut. Jestem coraz bardziej rozczarowana. Jedynym interesującym szpargałem jest pudełko pełne starych klisz zamkniętych w plastikowych opakowaniach. Teraz już takich nie ma. Nie wiem jednak, czy uda mi się wypatrzeć w nich coś ciekawego. Zabiorę je na dół, choć to marne pocieszenie.

Zerkam na drugą stronę pokoju i z rezygnacją spoglądam na ostatni pozostały do przejrzania niewielki stos rzeczy leżących na krześle. Podnoszę bordową zasłonę zwiniętą w kulkę, nie mając zresztą pewności, czy to faktycznie zasłona, i wyjętam wzrok. Przed moimi oczami leżą jakieś koperty związane gumką recepturką. Podnoszę je wyżej. Muszą być naprawdę stare. Znaczkami przecież już dawno przestały kosztować siedemdziesiąt groszy. Kiedy byłam ostatnio na poczcie, musiałam zapłacić prawie cztery złote.

Obracam listy w palcach. Nie ma na nich nadawcy, jest za to rzecz jasna adresat. Ciotka Maryla.

Wzdrygam się, bo moje ciało przenika dziwne uczucie zimna.

Może to jakaś rodzinna korespondencja. Albo wymiana listów z koleżankami. Nie wiem, czy mam powód do ekscytacji. I nie dowiem się, póki nie zajrzę do środka.

Chyba nic tu po mnie.

Zabieram więc pudełko z kliszami i listy i najostrożniej jak tylko potrafię schodzę po drabince.

Kiedy jestem już w kuchni, odgarniam ze stołu wszystkie szpargały i kładę na serwecie nowe znaleziska. Otwieram pudło z kliszami, siadam na krześle i wyciągam z plastikowej tubki pierwszą ze zrolowanych taśm. Ustawiam w stronę słońca, które gdzieś tam bardzo słabo próbuje przedrzeć się przez chmury. Przesuwam rolkę w bok, odsłaniając kolejne zdjęcia. Ale oprócz wielu ludzi, których raczej nie znam, ciężko dostrzec coś konkretnego. Być może to moja babcia. Albo nawet rodzice. Postaci są jednak zbyt małe i zniekształcone przez te dziwne kolory, bym mogła wysnuć solidniejsze wnioski. Szkoda.

Sięgam po kolejne rolki. Sama nie wiem, czego właściwie szukam. Chyba po prostu zdjęcia dziecka. Dowodu na to, że w ogóle się urodziło. Że mam kuzynkę. Boże... Właściwie to siostrę.

Ręce zaczynają mi drżeć.

Przeoglądam kolejne klisze, ale, do diabła, nic na nich nie ma. Nic, co mogłoby wskazywać, że to dziecko przyszło na świat. Na jednym z portretów rozpoznaję za to moich rodziców. Kolory na kliszy są inne niż na odbitce wiszącej na ścianie, ale jestem pewna, że to samo zdjęcie wisi w salonie matki i ojca. Musi być zatem starsze od tych, których szukam. O ile w ogóle istnieją.

Zrezygnowana łapię się za głowę i opieram łokcie o stół. To wszystko wydaje się zbyt skomplikowane. W moim umyśle panuje kompletny chaos.

Może zwyczajnie zwariowałam? Coś sobie wmówiłam. Może ciotka, jak sądziła matka, naprawdę była wariatką? Przecież jej wspomnienia nie muszą być prawdziwe. Nie mam stuprocentowej pewności, że czegoś sobie nie wmówiła. Że to były tylko jej wyobrażenia. Tyle razy słyszałam o schizofrenii. Ale gdyby miała problem, sąsiedzi na pewno by go zauważyli. A może zauważyli, tylko mi o tym nie mówią, żeby zachować dobrą pamięć o zmarłej.

Szlag by to trafił.

Sięgam po listy. Może coś mi przejaśnią. Nie ma na nich nadawcy, więc na razie nie wiem, czyją ręką zostały napisane. Poszarpane brzegi świadczą jedynie o tym, że ktoś otwierał je niecierpliwie. Moja matka w tym celu zawsze używała małego nożyka. Tutaj ktoś rozerwał je chyba palcami. Zdejmuję gumkę recepturkę i przeglądam kolejne koperty. Pismo jest takie samo. A więc pochodzą od jednej osoby. Przynajmniej na pierwszy rzut oka tak mi się wydaje. Łapię za kopertę na samym dole i zerkam do środka. Wyjmuję zgiętą w pół kartkę i patrzę na sam początek.

„DROGA MARYŁO” – czytam.

Przecież znam to pismo. Znam je doskonale. Ileż to razy musiałam przepisywać tekst, zerkając właśnie na ten charakter kreślonych liter. Zapamiętałam je aż za dobrze. Nie mam wątpliwości, że to pismo mojego ojca. A podpis na końcu staje się tego niezbitym dowodem.

Zaczynam czytać, na chwilę niemalże wstrzymując oddech.

PISZĘ, BO OD KIEDY WYJECHALIŚMY, WCIAŻ NIE POTRAFIĘ ZAPOMNIEĆ TWOICH OCZU. TAK BARDZO PŁAKAŁAŚ. NIE MOGĘ SOBIE WYBACZYĆ, ŻE WSZYSTKIE SPRAWY POTOCZYŁY SIĘ W TAKIM KIERUNKU. CHCIAŁEM DOBRZE. TWOJA MATKA PRZEKONAŁA NAS WSZYSTKICH, ŻE W TEN SPOSÓB UŁOŻYMY SOBIE ŻYCIE. TY I MY. A JA W TO UWIERZYŁEM. BYŁEM ŚLEPY ALBO CHCIAŁEM TAKI BYĆ. TERAZ WSZYSTKO JEST O WIELE BARDZIEJ KLAROWNE. ALE CZASU NIE COFNIEMY. PISZĘ W SAMOTNOŚCI. GDYBY KRYSIA WIEDZIAŁA, ŻE TO ROBIEŻ, ZAŻĄDAŁABY ODE MNIĘ ROZWODU. NIE WIEM, DLACZEGO TAK BARDZO CIĘ NIENAWIDZI PO TYM, CO DLA NIEJ ZROBIŁAŚ. CHYBA WCIAŻ JEJ SIĘ WYDAJE, ŻE JESTEŚ ZAGROŻENIEM. CZUJĘ SIĘ WINNY. GDYBY NIE JA, NIE BYŁOBY TEGO WSZYSTKIEGO. CZASAMI MAM OCHOTĘ WYJŚĆ Z DOMU I JUŻ NIGDY NIE WRACAĆ. ALE TERAZ MAM DO KOGO WRACAĆ. MAM DLA KOGO ŻYĆ. DZIĘKI TOBIE. W TEJ MAŁEJ ISTOCIE WCIAŻ WIDZĘ TWOJE ODBICIE I CZUJĘ, ŻE KAWAŁEK TWOJEJ OSOBY WCIAŻ ZE MNĄ JEST. ŻAŁUJĘ, ŻE NIE MOGŁEM DAĆ CI TEGO SAMEGO. KIEDY TYLKO PRZEPROWADZILIŚMY SIĘ DO CIECHOCINKA, OD RAZU CHCIAŁEM DO CIEBIE NAPISAĆ. ALE CZEKAŁEM, AŻ WYWOŁAMY ZDJĘCIA. PRZESYŁAM CI DWA, ŻEBYŚ MOGŁA JĄ ZOBACZYĆ. JEST TAKA SŁODKA. TAKA MAŁA. JAK OKRUSZEK. MIEŚCI SIĘ W DWÓCH DŁONIACH. OWOC NASZEJ MIŁOŚCI. CAŁY CZAS WIERZĘ, ŻE COŚ SIĘ JESZCZE ZMIENI. ŻE ZNOWU BĘDZIESZ BLISKO. KIEDY IDEŃ Z NIĄ NA SPACER ALBO ZOSTAJEMY SAMI, MÓWIĘ DO NIEJ NATALKO. DOKŁADNIE TAK, JAK CHCIAŁAŚ. TO IMIĘ PASUJE DO NIEJ BARDZIEJ, MIAŁAŚ RACJĘ. ALE WIESZ, ŻE NIE MOGĘ ZROBIĆ NIC WIĘCEJ. CZEKAM WŁAŚNIE NA PRZYSTANKU NA AUTOBUS. WRACAM Z PRACY. NIE PODOBA MI SIĘ TUTAJ. WSZĘDZIE MNÓSTWO OBCYCH LUDZI. TAK BARDZO CHCIAŁBYM, ŻEBY ZNÓW WSZYSTKO BYŁO TAKIE, JAK KIEDYŚ. WIATR CO CHWILA PODRYWA MI KARTKĘ, WIĘC WYBACZ, JEŚLI BĘDZIE WYMIĘTA, ALE NIE MOGĘ PISAĆ W DOMU. NIE MOGĘ RYZYKOWAĆ, ŻE KRYSIA TO ZOBACZY. URZĄDZIŁABY MI PIEKŁO, A TĘ MAŁĄ KRUSZYNKĘ UTRACILIBYŚMY NA ZAWSZE OBOJE. NIE NAPISZĘ CI ADRESU, BO NIE MOGĘ RYZYKOWAĆ. TAK BARDZO MI PRZYKRO. GDYBYŚ ODPISAŁA, ONA WPADŁABY W FURIĘ. GDYBYŚ TU PRZYJECHAŁA, BYŁOBY JESZCZE GORZEJ. MAM NADZIEJĘ, ŻE PRZYJDZIE TAKI CZAS, KIEDY SYTUACJA SIĘ UNORMUJE. PRZECIEŻ OBIECALIŚMY CI, ŻE BĘDZIE INACZEJ. NIE WIEM, DLACZEGO DOTRZYMANIE SŁOWA NAGLE WSZYSTKICH PRZEROSŁO.

DAŁAŚ MI WSZYSTKO. SWOJĄ MIŁOŚĆ, O KTÓREJ WCIAŻ NIE POTRAFIĘ ZAPOMNIEĆ. ILEKROĆ KRYSIA ZBLIŻA SIĘ DO MNIE, CZUJĘ OPÓR. A POTEM WYOBRAŻAM SOBIE CIEBIE, ŻEBY TO WSZYSTKO BYŁO BARDZIEJ ZNOŚNE. ALE ONA TO WIE. ONA TO CZUJE. DLATEGO

STAŁA SIĘ JESZCZE BARDZIEJ CHŁODNA NIŻ KIEDYŚ. WIE, ŻE JUŻ NIGDY W PEŁNI MNIE NIE ODZYSKA. BO CHOĆ DOKUMENT MÓWI JEDNO, RZECZYWISTOŚĆ JEST ZUPEŁNIE INNA. NIE DA SIĘ KOGOŚ KOCHAĆ Z PRZYMUSU, NAWET JEŚLI KIEDYŚ SIĘ KOCHAŁO. UCZUCIA POTRAFIĄ ZNIKAĆ.

W KOŃCU DAŁAŚ MI JĄ. NAJCUDOWNIEJSZĄ PAMIĄTKĄ PO TOBIE. DAŁAŚ ŻYCIE. I CZASAMI MYŚLĘ, ŻE KRYSI I MOJE STARANIA O POTOMSTWO POZOSTAŁY BEZ ECHA, BO BÓG WIDZIAŁ, ŻE NIE MA MIĘDZY NAMI MIŁOŚCI. A DZIECKO TO OWOC GŁĘBOKIEGO UCZUCIA. I LENA, NASZA NATALKA, WŁAŚNIE NIM JEST. MUSZĘ KOŃCZYĆ, BO ZA PARĘ MINUT PODJEDZIE AUTOBUS, A JA POWINIENEM JESZCZE ZAADRESOWAĆ KOPERTĘ I WRZUCIĆ JĄ DO SKRZYNKI. MAM NADZIEJĘ, ŻE SZYBKO DOTRZE.

OBIECUJĘ, ŻE BĘDĘ PISAŁ WIĘCEJ. PRZYNAJMNIEJ TYLE MOGĘ DLA CIEBIE ZROBIĆ.

TRZYMAJ SIĘ, MOJE SERCE.

TWÓJ WCIAŻ KOCHAJĄCY STASZEK

Nie.

Nie! To niemożliwe. To nie może być prawda. Musiałam coś źle zrozumieć.

To jakiś obłąd. Nie wierzę. Na pewno jest inne wytłumaczenie. Inna interpretacja.

Zerkam do koperty, ale nie ma w niej zdjęć. Ani jednego. Biorę do ręki pozostały plik, ale ten rozsypuje się po całym stole. Cała dygoczę. Nie potrafię usiedzieć w miejscu.

– Cholera jasna! – krzyczę, jakbym była obłąkana, i uderzam ręką w blat. Wstaję, przechadzam się po kuchni i zanurzam dłonie we włosach. Zaraz je wyrwę. Wszystkie! To nie może być prawdziwe. To efekt zmęczenia. Tylko i wyłącznie. Mój umysł płata mi figle. W pracy zjawilo się wielu nieplanowanych klientów. To pierwszy dzień po świętach i czas przedsylwestrowy. Braliśmy wszystkich taśmowo i w rezultacie czuję, że opadam z sił. Dlatego mam urojenia.

Serce wali mi tak mocno, że zaczynam je słyszeć w okolicach gardła, jakby za moment miało wydostać się na zewnątrz. Sięgam po kolejną kopertę. Wyciągam list. Jest znacznie krótszy od poprzedniego. Nosi ślady zgniecenia. Jakby ktoś zwinął go w kulkę i zacisnął pięść. A potem na powrót go wyprostował.

MARYLO,

MAM NADZIEJĘ, ŻE U CIEBIE JUŻ LEPIEJ. PONOĆ CZAS LECZY RANY I LICZĘ, ŻE TWOJE TROCHĘ ZDAŻYŁY SIĘ ZAGOIĆ. CHCIAŁABYŚ MNIE TERAZ WIDZIEĆ, SIEDZĘ NA PRZYSTANKU Z KARTKĄ PRZYKLEJONĄ DO TORBY, KTÓRA SŁUŻY MI JAKO PODKŁADKA. TRZĘSĄ MI SIĘ PALCE, BO TEMPERATURA SPADŁA SPORO PONIŻEJ ZERA. MÓWIĘ SAM DO SIEBIE TO, CO CHCIAŁBYM DO CIEBIE NAPISAĆ. Z MOICH UST WYDOBYWA SIĘ PARA, JAKBYM PALIŁ. A LUDZIE PATRZĄ NA MNIE JAK NA WARIATA. NIE WIEM, CO ICH TAK DZIWI.

MAŁA JEST CUDOWNA. ŚMIEJE SIĘ, KIEDY DO NIEJ MÓWIĘ. JEJ OCZKA MAJĄ JUŻ ZUPEŁNIE INNY KOLOR. NIEBIESKI, JAK U CIEBIE. WESOŁO TRZEPOCZE RĄCZKAMI I NOGAMI, CIESZĄC SIĘ, KIEDY KTOŚ POŚWIEÇA JEJ UWAGĘ. WYDAJE PRZY TYM ZABAWNE ODGŁOSY. NI TO PISKI, NI KRZYKI. JAKIEŚ MRUCZENIE. JAK MALUTKI KOTEK. TAK JĄ OSTATNIO NAZYWAM. ŻAŁUJĘ, ŻE NIE MOGĘ BYĆ Z NIĄ PRZEZ CAŁY CZAS. WIELE BYM DAŁ, BY ZAMIENIĆ SIĘ ROLĄ Z KRYSIĄ.

PRZESYŁAM CI KOLEJNE ZDJĘCIE. MALUTKA MA NA NIM RÓŻOWĄ SUKIENKĘ, KTÓRĄ OSTATNIO KUPIŁEM, WRACAJĄC Z PRACY DO DOMU. PEŁNO TUTAJ SKLEPÓW, CHOĆ GŁÓWNIIE TYCH Z PAMIĄTKAMI. NIE TO CO W TYŃCU, CHOĆ TĘSKNIĘ ZA TYM MIEJSCEM. ZA LUDŹMI, KTÓRYCH ZNAŁEM. ZA DAWNĄ PRACĄ. I PRZEDĘ WSZYSTKIM ZA TOBĄ.

MAM NADZIEJĘ, ŻE W KOŃCU PRZYJDĄ LEPSZE DNI. ŻE KRYŚIA ZMIENI ZDANIE I ŻE WEŹMIESZ JĄ NA RĘCE. KU SWOJEMU SERCU, TAK JAK NOSIŁAŚ JĄ POD SERCEM PRZEZ DŁUGIE MIESIĄCE.

CHCIAŁBYM WIEDZIEĆ, ŻE GORSZE DNI MASZ JUŻ ZA SOBĄ. JEDEN Z MOICH ZNAJOMYCH MA SWÓJ TELEFON. KOMÓRKOWY. MOŻNA Z NIEGO DZWONIĆ BEZ POŁĄCZENIA KABLEM. PEWNEGO DNIA TEŻ TAKI KUPIĘ I WTEDY DO CIEBIE ZADZWONIĘ. ZDOBĘDĘ JAKOŚ TWÓJ NUMER. JAKOŚ. ZAWSZE SIĘ ZNAJDZIE ROZWIĄZANIE. WIERZ W TO. I JA W TO WIERZĘ.

TRZYMAJ SIĘ CIEPŁO.

STASZEK

Biorę kolejne koperty i rozrzucam je po stole. Wszystkie wyglądają tak samo. Różnią je tylko znaczki. Dziewięć listów. I jeden niezaadresowany. Ale grubszy od pozostałych. Bardziej sztywny. Zerkam do środka. Wsuwam palce do wnętrza i wydaję plik zdjęć.

– O Boże – wzdycham. Broda trzęsie mi się jak galareta. Mam wrażenie, że za moment przegryzę sobie język. – Dlaczego?! – krzyczę, choć nikt nie udzieli mi odpowiedzi.

Zdjęcia przedstawiają mnie. Nie mam co do tego wątpliwości. To moje fotografie. Dokładnie te same, które leżą w rodzinnym albumie w domu mojej matki.

Matki?

Zaciskam powieki. Zagryzam zęby. To wszystko jest popieprzone. Skoro to Maryla mnie urodziła, kim jest dla mnie Krystyna. Kim do diabła jest?

– Dlaczego!?! – wołam kolejny raz. Ale nikt mi nie odpowiada. Zostałam sama. Z pochrzanionym rodzinnym sekretem, o którym nie miałabym pojęcia, gdyby nie przeprowadzka do tego domu. Tyle lat żyłam w nieświadomości. Teraz już wiem, dlaczego rodzice tak bardzo zabraniali mi tutaj wyjechać. Wiedzieli, że mogę się natknąć na jakiś ślad. Może ojciec pamiętał o tych listach?

Frustracja zaciska mi gardło.

To wszystko jest bez sensu. Kim właściwie jestem? Skoro przez tyle lat nie miałam pojęcia o swoich korzeniach?

Rzucam zdjęcia na blat. Rozsypują się na kopertach. Nie dbam o to. Walę pięścią w stół, a potem wstaję.

Wierzchem dłoni przecieram twarz i idę w stronę przedsiönka. Zakładam buty, narzucam kurtkę i biegnę prosto w stronę domu pana Józefa.

ROZDZIAŁ 26

Lena

W jadalni pana Józefa zapada totalna cisza. Stoję pośród oliwkowych ścian, przed właścicielami tego domu i zarazem moimi sąsiadami, którzy wpatrują się we mnie, jakby zobaczyli co najmniej zjawę nie z tej ziemi albo samego Zmartwychwstałego. Józef zerka na żonę, która nagle zastyga w pół ruchu, a potem wraca do mnie. Potem siada na krześle, przytrzymując się stolika, jakby za chwilę miał po prostu zemdleć.

– A więc już wiesz – stwierdza głuchym tonem.

Nie odpowiada na moje pytanie, więc je powtarzam.

– Panie Józefie – dukam rozpaczliwie. – W tym problem, że ja nie wiem nic. Nic z tego nie rozumiem. Nie wiem, kim jestem. Do licha! – Ukrywam twarz w dłoniach. Próbuję się opanować, ale rozdygotany głos nie chce się mnie słuchać. Jakby należał do kogoś innego. – Błagam, panie Józku. Czy może mi pan powiedzieć? Maryla miała dziecko? Czy to ja jestem jej córką? Czy to ona mnie urodziła?

Mężczyzna powoli odwraca się do żony.

– Gołąbeczku – mówi. – Zaparz nam herbaty, proszę cię bardzo. – Kiedy kobieta posłusznie potakuje, przewiesza ścierkę przez ramię i zabiera się do pracy, pan Józef w końcu nabiera powietrza. Jakby wypowiedzenie kolejnych słów naprawdę wiele go kosztowało. – Miała – kiwa głową na potwierdzenie swoich słów. – Ciebie.

Jego słowa wbijają mnie w podłogę. Jednocześnie czuję się tak, jakby ktoś podciął mi kolana. Z trudem utrzymuję się w pionie, więc kiedy wskazuje mi krzesło, od razu siadam. Moje ruchy są automatyczne. Ledwo je rejestruję. Świat zewnętrzny przestaje mieć dla mnie znaczenie. W tym momencie skupiam się tylko na słowach.

– To dlaczego mnie nie chciała? – Marszczę brwi. Przecież to nie ona mnie wychowała. – Byłam dla niej niewygodna? – pytam.

Pan Józef składa dłonie w koszyczek. Kręci młynka, a ja zdążyłam już zauważyć, że robi tak zawsze, kiedy się stresuje.

– To nie tak – zaprzecza.

– A jak?

– Byłaś łód Maryli największym życiowym osiągnięciem. Tak o tobie godała. Zawsze wierzyła, że jeszcze kiedyś będzie mogła cię zobaczyć.

– Dlaczego tego nie zrobiła? – Czuję, że z oczu zaczynają płynąć mi łzy.

– Bo nie miała możliwości. Bo brutalnie ją łoszukali. – Jest rozgoryczony. Jakby powróciły do niego trudne wspomnienia. Ja ich nie mam. Okazuje się, że wszystkie te, w które wierzyłam, okazały się nieprawdziwe. Żyłam w permanentnym kłamstwie, u boku ludzi, którzy łgali mi w żywe oczy.

– Kto ją oszukał? Moi rodzice? – nie potrafię ukryć emocji.

– Spokojnie, dziecko. – Głaszcze mnie po ręce. – Wszystko ci opowiem. – A kiedy jego żona przynosi herbatę, zaczyna opowieść. Znad kubków unosi się zapach jabłek i cynamonu. Ta sytuacja i ta historia już na zawsze będzie mi się z nimi kojarzyć. – Maryla kochała twojego ojca. Był łód niej jedyną, wielką miłością. Dlatego nigdy więcej nie wyszła już za żadnego chłopca. Som Bóg wie, że takich miłości jak łona i łon to już za wiele nie ma. – Przerzywa. – Poznała twojego ojca na krakowskim rynku. Ponoć podziwiał konie zaprzężone do bryczki. Łona szła z koleżankami i tak na siebie natrafili. Aż zaczęli się spotykać. Tak rozmarzony wzrok u Maryli widziałech potem już tylko przez jeden okres. Dużo później. – Zamyśla się, zawiesza, aż w końcu macha ręką. – Ale kiedy przyprowadziła go do chałupy, w ich związek zaczęła się wtrącać matka. Twoja babcia. I oczywiście Krysia. Zawsze myślała, że wszystko od życia należy się właśnie łonej.

– Nie lubił jej pan? – wtrącam.

– Lubił, nie lubił – wzrusza ramionami. Widzę, że nie chce tego mówić wprost, że nie pałał do niej sympatią. – Uwiodła Staśka. Zaimponowała mu tym, że była od Maryli odważniejsza. Mniej skromna. Umiała się sprzedać. Poślubił Krysię, a Maryla poszła w odstawkę. Masz wyobrażenie, jak to przeżyła? Ale usunęła się w cień. Byłem zły, że nie walczyła. Przez jakiś czas i ja sam żem uwierzył, że łona przestała go kochać i że nic dla niej nie znaczy.

– Boże. To musiało być straszne – stwierdzam. Skoro mieszkali pod jednym dachem, przez cały czas

musiała patrzeć jak człowiek, któremu oddała swoje serce, tuli inną kobietę. Jak ją całuje. Jak z nią sypia. To wszystko zaczyna mnie przerastać. Przecież tutaj mowa o mojej mamie. O kobiecie, która mnie wychowała. Która miała być dla mnie wzorem.

Kiedy w końcu podnoszę na pana Józefa wzrok, kontynuuje:

– A Staszek... – wzdycha – to był dobry chłop. Ale uległy. Dał sobą manipulować. Kiedy w końcu pojął swój błąd, było za późno. Mieli z Marylą romans. Czy tak to się teraz mówi – na chwilę się uśmiecha.

– Opowiadała panu o tym? – Mrużę oczy, wwiercając w niego spojrzenie. – Maryla – doprecyzowuję.

– Dopiero potem, kiedy była już w ciąży. Przychodziłem do niej od czasu do czasu, kiedy zostawała prawie sama. Nie wychodziła z domu, żeby ludzie nie godali. Krysia i jej matka miały już przygotowany własny plan.

– Jaki? – czuję, jak te słowa duszą moje gardło.

– Krysia i Staszek nie mogli mieć dzieci. Starali się przez wiele lat. Nieraz słyszałem, jak toczyli o to wojny. Nie żebym podsłuchiwał – tłumaczy się. – Ale kiedy latem głośno dyskutowali w łogrodzie, słowa niosły się aż na nasze podwórko.

– Nie musi się pan tłumaczyć. – Chcę mu powiedzieć, że doskonale go rozumiem.

– A dla twojej babci zawsze liczyło się tylko to, co powiedzą ludzie. – Kiwa głową, a potem siorbie herbatę. Łapię za porcelanowy kubek i robię to samo. – Razem z Krysią urobiły i Marylę, i Staszka. Że węzeł małżeński, nierozzerwalny, że grzech i wiara. Że dziecko może być nową szansą. Tak mu wmówiły. – Bierze głęboki oddech. – Krysia powiedziała, że wybaczy mu zdrady, jeśli przemyśli jej pomysł. A potem łobie siadły na Marylę. Nie wspierały jej tak, jak powinny. Krysia obrzuciła ją winą za całe zajście. Twierdziła, że Maryla robiła wszystko, by się zemścić, że kiedyś Staszek ją porzucił. Matka każdego dnia suszyła dziewczynie głowę, że samotne macierzyństwo będzie dla niej przekleństwem. Że już nigdy nie znajdzie sobie chłopca. Że oddając dziecko Krysi, będzie mogła odpokutować swoje winy. Łobiecały jej, że jeśli zrzeknie się praw do ciebie, będzie mogła cię wychowywać. Rozumiesz? – Stuka ręką w stół. Jest rozgoryczony. Wściekły. Tym co mówi i najwyraźniej tym, co stało się potem. Domyślam się dalszego ciągu. Zdaje się, że odkryłam go w listach. – I ona to zrobiła. – Milknie. – Popełniła największy błąd, który potem tak wiele ją kosztował. Łoddała im ciebie. A tak bardzo chciała być częścią twojego życia – urywa. Słyszę, że łamie mu się głos. Nie chce tego przede mną pokazywać. Nie patrzy mi prosto w oczy. Poprawia mankiety wyblakłej kraciastej flanelowej koszuli.

– Oni wyjechali, prawda?

Kiwa głową, że tak.

– Wyjechali – powtarza. – Nie zostawili jej adresu. Pozbawili ją możliwości kontaktu, a łona nie umiała zrobić nic. Przecież pozbyła się praw macierzyńskich, choć prawda jest tako, że umawiali się na coś zupełnie innego. – Wzdycha. – Cóż, kiedy nie spisali żadnej umowy, którą mogłaby się posłużyć. Łoni ponoć bali się, że Maryla będzie angażować się za bardzo. Że w końcu wyjawi ci prawdę. Dlatego uciekli. – Znowu upija łyk herbaty. – Można by powiedzieć, że Krysia, Staszek i ty zapadliście się pod ziemię, ale ponoć od czasu do czasu przychodziły jakieś listy. Maryla pokazała mi kiedyś twoje zdjęcia. Zapijała smutki, a my staraliśmy się jej tłumaczyć, że tak nie może. Już nigdy potem nie była szczęśliwa.

– A ludzie? – dopytuję. – Ludzie wiedzą, że była moją mamą? Ci, którzy tu mieszkają. Z pewnością coś widzieli.

– Ach – macha ręką. – Plotka niejedno ma imię. Ktoś tam ją z brzuchem widział, choć z domu nie wychodziła. Jedni gadali, drudzy słuchali, Tyniec huczał od głupiej godki, ale dowodów nie było. Jedni twierdzili, że jest w ciąży z jakimś chłopcem z roboty. Inni, że umówiła się z Krysią i Staszkiem że urodzi im dziecko. Jeszcze inni twierdzili, że wcale się nie urodziłaś. Wersji było tysiąc. Żadna nie była prawdziwa. Aż w końcu godać przestali.

Trawię jego słowa. Ale to nie takie proste. W mojej głowie pojawia się wielka próżnia. Nie wiem już, co o tym wszystkim myśleć. I która z tych emocji jest gorsza do zniesienia. Ból miesza się z frustracją.

– Ale zapisała mi swój dom. Wiedziała, jak się nazywam. Musiała znać adres, skoro notariuszowi udało się do mnie dotrzeć. Dlaczego nigdy się nie ujawniła? – Dlaczego nie przyjechała mnie zobaczyć? Przecież zmarła nie tak dawno. Jestem pewna, że gdyby chciała, znalazłaby rozwiązanie.

– Nie osądzaj jej zbyt pochopnie – powstrzymuje mnie przed snuciem domysłów. – Pamiętam jak dziś, kiedy Staszek zadzwonił do Maryli. Nie wiem, skąd miał numer. Może zapamiętał, w końcu mieszkał tu przez tyle lat. – Milknie. – Ty miałaś już wtedy parę lat. Z sześć, może siedem? – zastanawia się. – Powiedział jej,

gdzie mieszkanie i że mimo wszystko lepiej byłoby, gdyby nigdy cię nie widziała.

– Czy byłoby jej łatwiej, gdyby widziała, jak uciekasz przed nią? Bo przecież potraktowałabyś ją jak łobcă babę – stwierdza. – Tak zachowują się dzieci. To normalne – dodaje. – Polepszyłaby sobie Maryla, gdyby widziała cię przez godzinę lub dwie, a potem znów musiałaby zostawić? Wszystko zaś na nowo by do niej wróciło.

– A gdyby powiedziała mi prawdę...

– Zaufałabyś jej? – przerywa mi. – Myślisz, że dziecko uwierzyłoby jakiejś babie, że dotychczasowa matka to nie matka?

Nie muszę mu odpowiadać. Ma rację. Pewnie uznałabym ją za niespełna rozumu.

W pomieszczeniu zapada cisza. Przechyliam herbatę tak, że jakiś goździk wpada mi do ust. Wyjmuję go i wrzucam z powrotem do szklanki.

– Mój ojciec nie chciał jej już więcej zobaczyć? – Jakże wymowne pytanie zawisa pomiędzy nami. Patrzę na pana Józefa z nadzieją, że odpowie mi na to pytanie. – Znaczy, Maryli. – Mojej ciotki. Albo mamy. Zamykam oczy. Ból pali mnie w gardle. Już sama nie wiem, jak o niej mówić. To wszystko jest naprawdę popieprzone. Świat, w którym żyłam, spektakularnie runął.

– Ty powinnaś wiedzieć. – Rozkłada ręce na boki. – Więcej go już nie wiedziałem. – Maryla dzwoniła do niego. Raz czy dwa. Ale łoni zrobili z niej głupią.

– Kto oprócz pana o tym wiedział? Kto wie o tym, że Maryla mnie urodziła i że oddała mnie na wychowanie mojej mamie? Kto zna prawdę? – dopytuję. Słowa same wypływają mi z ust.

– Tylko ja i moja żona – odpowiada.

– A Baśka?

Kręci głową.

– Nikt więcej.

Krzyżuję ręce na blacie stołu i opieram o nie czoło. Wstrząsa mną szloch. Moje włosy rozsypują się dookoła, a ja nie potrafię się opanować. Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę. Któż robi coś podobnego małym dzieciom? To jak porwanie. Porwanie na legalnych zasadach. Sama nie wiem, jak to nazwać.

– Popłaczże sobie – słyszę nad sobą głos pana Józefa. – To ci pomoże. – Jego dłoń łąduje na moim ramieniu. Klepie mnie parę razy, a potem przestaje. Domyślam się, że stawiam go w niezręcznej sytuacji. Walczę ze sobą, żeby zażegnać kryzys, ale samokontrola poszła w las. Panowanie nad sobą jeszcze nigdy nie wydawało mi się tak bardzo trudne.

– Kochanie – do jadalni powraca żona pana Józefa. – Choć tu do mnie. – Podnoszę się, a ona bierze mnie w ramiona. Jest znacznie niższa ode mnie. Niziutka, ale staje się w tym momencie dla mnie prawdziwą podporą.

– Przepraszam, że was w to wplątałam – łkam, ledwo wypowiadając te słowa.

– Co też opowiadasz – gani mnie. – Nikogo w nic nie wplątałaś. – Przyciska mnie do siebie jeszcze mocniej.

Tulę ją, przechwytyjąc bijące od niej ciepło. Zastanawiam się, co czułabym, gdyby na jej miejscu stała Maryla. Czy to samo? Czy umiałabym ją pokochać? Nigdy się tego nie dowiem. Jest za późno. Nie da się cofnąć czasu. Nie wszystkie błędy da się naprawić. Znów czuję zaciskające się gardło, ciężko przełknąć mi ślinę.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi o tym wcześniej? – pytam, kiedy w końcu mnie puszcza. Nie mam do nich pretensji i robię wszystko, by tak to nie zabrzmiało. Chcę po prostu wiedzieć. Przecież ta sprawa tak bardzo mnie dotyczy.

– To była rola twoich rodziców, Lenko. Nie nasza – stwierdza kobieta. Wiem, że ma rację. Sęk w tym, że najwyraźniej oni nigdy nie zamierzali mi o tym powiedzieć. Chcieli zamazać pamięć o Maryli, o kobiecie, która tak wiele dla mnie zrobiła. Która dała mi życie. A potem dała mi ich. – Ale skoro już sama odkryłaś prawdę... – nie kończy.

– Dziękuję – szepczę. – Tak bardzo wam dziękuję. – Ścieram z policzka łzę. Nieelegancko pociągam nosem, ale potrzebuję chusteczki. Oni powiedzieli mi więcej prawdy niż moi rodzice przez całe życie. Wciąż to do mnie nie dociera. – Czy mogę skorzystać z łazienki? – pytam. Kiedy potakują, idę. A potem jeszcze przez jakiś czas po prostu stoję przed niewielkim lustrem i wpatruję się w swoje odbicie.

ROZDZIAŁ 27

Jakub

Kiedy Lena otwiera drzwi, a ja widzę jej zapłakane oczy, wiem już, że musiało wydarzyć się coś bardzo złego.

– Lena, co się stało? – pytam, przekraczając próg. – Co się dzieje? – Nie spuszczam z niej oczu. Kręci głową, jakby nie chciała mi powiedzieć. To przeze mnie? Nie pozwala mi zdjąć butów, od razu wtula głowę w moją pierś. Głaszczę jej włosy w milczeniu i choć nie chcę naciskać, czekam, aż coś mi powie. Może mógłbym jej pomóc. Wesprzeć ją. Nie ma sytuacji, których nie da się rozwiązać. Poza śmiercią. A może właśnie kogoś utraciła? – Czy ktoś ci coś zrobił? – szepczę. Znow kręci głową. Potem podnosi na mnie wzrok i patrzy z dołu, nie oddalając się ode mnie zbyt blisko. Jakby chciała, żebyśmy byli blisko.

– Co byś zrobił, gdybyś się dowiedział, że ktoś przez całe życie kłamał ci prosto w twarz? – Jej słowa przenika gorycz. Słyszę jej frustrację, ale nie mam pojęcia, co chce mi przez to powiedzieć.

– Nie wiem – wzruszam ramionami. – Chyba nieźle bym się wkurzył – stwierdzam bardzo ogólnikowo.

– No właśnie – pociąga nosem. Wierzchem dłoni przeciera policzki. – Też jestem wkurzona. Choć to chyba mało powiedziane. Mam wrażenie, że wali mi się cały świat – znow zaczyna łkać.

– Ciii – uspokajam, przyciskając ją do siebie. Całuję jej czoło. – Jestem tutaj. I zrobię wszystko, byś poczuła się lepiej. Dobrze? – pytam.

Zapada chwila ciszy.

– Wystarczy mi, że po prostu przyjechałeś – stwierdza. A potem sili się na uśmiech. Słaby, bo słaby, ale jest. – Chodź do środka. O wszystkim ci opowiem.

Analizuję słowa Leny i mam wrażenie, że słucham właśnie streszczenia kolejnych odcinków nieśmiertelnej „Mody na sukces”. Jak to możliwe? Kilka razy słyszałem już o surogatkach wynajmujących swoje brzuchy dla innych, o niechcianych, ale donoszonych ciążyach, które kończą się adopcją niemowląt przez rodziny zastępcze albo meldunkiem w domu dziecka. Ale przyznam, że ta historia jest kulminacją wszystkiego. Z elementem porwania, swoją drogą legalnego, bo wychodzi na to, że ciotka, a właściwie rodzicielka Leny rzekła się do niej praw. Namawiana przez osoby trzecie. To naprawdę nieźle porąbane.

– Rozmawiałaś już o tym ze swoimi rodzicami? – pytam.

– Nie – odpowiada zdecydowanym tonem. – I póki co nie mam zamiaru się z nimi kontaktować.

Potakuję. Nie chcę jej umoralniać, kiedy nie chodzę w jej butach. Sam nie wiem, jak zareagowałbym na taką sytuację. Jednak stojąc z boku, mam wrażenie, że dobrze zrobiłaby, gdyby poruszyła z nimi ten temat. Powinni wiedzieć, że jest świadoma wydarzeń z przeszłości. Może przedstawiłby jej inną wersję. Taką, której nie zna. Opowiedzieliby o wszystkim z własnej perspektywy. Być może wtedy inaczej spojrzaliby na przeszłość. To mogłoby przynieść jakąś ulgę.

– Poza tym, jak miałabym się teraz do niej zwracać – parska. – Mamo? Skoro nigdy nią nie była?! – Lena wybucha kolejny raz. Ale jej gniew bierze się z poczucia bezsilności. Czasami człowiek potrzebuje dać temu wszystkiemu upust.

– Słyszałem kiedyś, że matka to nie osoba, która dała życie, ale która wychowała. I myślę, że jest w tym sporo prawdy – odzywam się. – Twoja matka żyje. Tej biologicznej już nie odzyskasz. Czasu nie cofniesz, Lenka, ale możesz postawić na rozmowę. Z tymi, którzy są. Bo najgorsze, co możesz zrobić sobie samej, to po prostu wszystko w sobie dusić. – Wierzę, że to może mieć jakiś sens. I widzę, że w tym momencie tego ode mnie oczekuje. Patrzy na mnie, a potem na moment zamyka oczy.

– Może masz rację. Ale zostawmy już ten temat. Nie chcę teraz o tym myśleć. Już i tak straciłam przez to wiele nerwów. – Ścisną mnie za rękę. Jej kciuk masuje wierzch mojej dłoni, przyjemnie mnie łaskocząc. Milczy i uważnie mi się przygląda. – Lubię z tobą rozmawiać, wiesz? – Kącik jej ust unosi się lekko. Rozchmurza się, a jej oczy zaczynają błyszczeć. Już nie od łez. Jakby powoli odzyskiwała humor.

– Dawno nikt mi tego nie mówił – odpowiadam. Po śmierci Oli towarzystwo ludzi stało się dla mnie przykrym obowiązkiem. I zdaję sobie sprawę, że inni po prostu to czuli. – Szczerze powiedziawszy, jeszcze niedawno nie spodziewałbym się, że usłyszę to akurat od ciebie.

– Zawsze byłam autentyczna. Przynajmniej masz pewność, że i teraz taka jestem. – Przysuwa się bliżej. A ja ujmuję jej podbródek i przyciągam go do siebie tak, by móc ją pocałować. Kiedy oplata mnie nogami, czuję, jak moje serce zaczyna szybciej bić. Czuję jej kwiatowy zapach. Po moich plecach znów zaczyna maszerować cała kolonia mrówek. Jestem podekscytowany. Spływa na mnie nowa energia. Nie wiadomo skąd. Jakby nagle ubyło mi co najmniej dziesięć lat.

– I nigdy się nie zmieniam – odpowiadam, a potem przewracam ją na kanapę i zdejmuję bluzkę. Przytulny salon wypełnia jęk rozkoszy, który trwa jeszcze przez dobrych kilkadziesiąt minut.

ROZDZIAŁ 28

Lena

Przecieram lustra, a kiedy kończę, zabieram się do ustawiania tubek z odżywkami. Na dobę przed sylwestrem w salonie zapanował prawdziwy armagedon. Jestem ciekawa, czy fryzura jednej z ostatnich moich klientek wytrzyma do jutra. Dzień przed końcem roku uparła się na wykonanie upięcia, bo potem nie będzie miała czasu. Swoją drogą prosiła, by zrobić jej na głowie coś przypominającego już dawno miniony styl rokoko. Ale kiedy klient przychodzi z wydrukowanym obrazkiem i nie chce się zgodzić nawet na małe zmiany, nie pozostaje mi nic innego, niż przytaknąć. Podpytałam ją nawet, czy to nie impreza tematyczna, ale okazało się, że absolutnie nie. Wyszła z salonu zadowolona, a to oznacza, że raczej nie zabłyśnie wystrzałowym wyglądem. Jej sprawa.

– Lenka, nieźle wyszło ci dzisiaj to ombre – zagaduje Marika, która właśnie opróżnia kosz.

– Poważnie się obawiałam, czy ta dziewczyna wyjdzie od nas zadowolona. – Mam na myśli klientkę z kruczoczarnymi włosami, niestety mocno zniszczonymi farbowaniem, która zażyczyła sobie radykalne przejście na blond. Odmówiłam, bo przecież efekt byłby zdecydowanie odwrotny do oczekiwanego. Po pierwsze, mogłaby zostać rudą marchewką. Po drugie, przy zastosowaniu dwunastoprocentowego utleniacza mogłaby wyjść stąd prawie łysa. Nie zaryzykowałabym mocnego stężenia na tak zniszczonych włosach. Poświęciłam tylko końcówki, które ewentualnie zawsze można ściąć. Zastosowałam stopniowe, delikatne przejście. Wyszło nieźle, moim zdaniem. Nie wiem, czy jeszcze wróci, ale jestem pewna, że podjęłam dobrą decyzję. Lepiej mieć na koncie niezadowolonego klienta niż oskarżenie o naruszenie dóbr.

– Co się przejmujesz. Nie pierwsza by była i nie ostatnia. A ludzie są naprawdę okropni, wierz mi – stwierdza, na moment przestając pracować. – Wychodzą z uśmiechem, a potem obrabiają nam dupy. – Macha ręką. – Jeszcze się taki nie urodził... – nie kończy. – Wiesz, jak to mawiają – dodaje.

– Wiem – odpowiadam. Wyrzucam do worka pustą tubkę po szamponie. Zerkam na nazwę i wpisuję ją do zeszytu z zamówieniami. Dostawca przyjedzie do nas dopiero w czwartek po Nowym Roku, choć na szczęście mamy jeszcze dwie tubki w zapasie. Szefowa ustaliła tutaj w salonie całkiem mądrą zasadę, że jeśli coś się zużywa, od razu to notujemy. Będę musiała zastosować coś podobnego w domu. Wczoraj, kiedy robiłam sobie kolację, dałam się zaskoczyć brakiem soli. A dla mnie kanapki z pomidorem, swoją drogą o tej porze roku mało słodkim i smacznym, muszą być posypane tą przyprawą. Nie jest zdrowa, tak słyszałam, ale w moim menu niezbędna.

Zerkam za okno. Gdzieś tam w oddali, przy poboczu, widać resztki śniegu. Prawie wszystko zdążyło się roztopić. Padający deszcz i skok temperatury do dziesięciu na plusie sprawiły, że na zewnątrz wszędzie pełno małego estetycznego błota. Klienci wnoszą go do salonu naprawdę sporo. Pomimo dwóch wycieraczek leżących przy wejściu.

Wyjmuję z kieszeni telefon i zerkam na godzinę. Dwadzieścia minut temu zamknęliśmy salon. Na ekranie widnieje krótka wiadomość od Jakuba. Jest teraz w pracy, a mimo to znalazł chwilę, by do mnie napisać.

„Dasz radę”. Dwa krótkie słowa dodają mi otuchy. Jakbym nie była z tym wszystkim sama. Wiem, co mnie czeka, a mimo to uśmiecham się do siebie. Naprawdę chcę mu wierzyć.

Kiedy wsiadam do auta, układam sobie w głowie scenariusz wymiany zdań, choć doskonale wiem, że na nic się zda, kiedy w grę wejdą emocje. A te na pewno się zjawią już na samym początku, kiedy tylko usłyszę w telefonie głos kobiety. Tej, która mnie wychowała.

Słyszę serię krótkich sygnałów. Chrząkam, wyczekując momentu, w którym zostaną przerwane. Bębnię palcami w stół i już sama nie wiem, czy wołałabym, żeby matka odebrała, czy nie. Czuję, że znowu zaczynam tchórzyć. Gdybym się teraz rozłączyła, tylko pogorszyłabym sprawę. Przecież ta rozmowa i tak mnie czeka. Bez sensu ją odwlekać.

– Halo? – rozlega się głos po drugiej stronie. W momencie, kiedy naprawdę zaczynałam już wątpić, że odbierze. – Lena, czy to coś ważnego? Jesteśmy teraz w supermarkecie. – Słyszę, że zadzwoniłam o nieodpowiedniej porze. Przez chwilę nie potrafię wydusić z siebie słowa. Nie wiem, co mam jej

odpowiedzieć. – Lena? – powtarza niecierpliwie, kiedy milczę.

– Tak. To coś ważnego – oznajmiam, wkładając wiele wysiłku, by na tym etapie nie dopuścić do przesadnych emocji.

Chyba nie tego się spodziewała.

– Słucham? – Trochę spuszcza z tonu. Potem zwraca się do ojca, informując go, że to ja dzwonię.

– Posłuchaj – zaczynam i choć to dopiero początek rozmowy, już czuję, jak trudno mi się wysłowić. Głowa zmienia się w tykającą bombę, która pulsuje, utrudniając opanowanie własnych myśli. – Chciałam o coś zapytać. To trudne. Ale – milknę – ale bądź ze mną szczerą.

– Lena! – burczy. – Mówiłam ci, że nie mamy czasu. Gadaj, o co chodzi – naciska. Łatwo wyprowadzić ją z równowagi. Choć nie taki był mój zamiar.

– Dlaczego przez całe życie mnie oszukiwałaś?

Zapada cisza.

Matka milczy.

Mija sekunda. A potem mijają kolejne. W tle słychać tylko dźwięk sklepowych kas. Jakieś obce głosy. I nic poza tym.

– O czym ty mówisz? – udaje zaskoczoną. Taką obrała taktykę. Jestem przekonana, że dokładnie wie, co mam na myśli.

Biorę głęboki oddech.

– O tym, że Maryla wcale nie była moją ciotką. – Wciąż się trzymam. Dziwię się, że udaje mi się pohamować wybuch. Jestem przekonana, że gdyby ta rozmowa odbywała się w cztery oczy, zareagowałabym zupełnie inaczej. Może nie wydusiłabym wtedy ani jednego słowa.

– O co ci znowu chodzi, Lena! Siedzisz tam sama w starej chałupie i od tego głupiejesz. Mówiłam, że ten wyjazd ci nie posłuży – wyrzuca z siebie kolejne oskarżenia z prędkością karabinu maszynowego.

– Nie krzycz na mnie – uspokajam ją stanowczym tonem. Milknie, ale jestem przekonana, że tylko na chwilę. – Jeszcze niedawno stałam nad jej grobem, nie mając bladego pojęcia, kto tak naprawdę znajduje się pod ziemią. Nie pozwoliłaś mi jej poznać. Dlaczego?

– Była zwykłą wariatką. Chciałam cię przed nią chronić! Masz mi za złe, że chciałam dla ciebie jak najlepiej? – krzyczy. Odsuwam słuchawkę od ucha. Zastanawiam się, co myślą ludzie, którzy w tym momencie ją mijają. Nie jest przecież w domu.

– Urodziła mnie. – Tym jednym słowem ucinam jej wywody. Kolejny raz zapada kompletna cisza. Jakże wymowna. Pełna uciążliwego napięcia. Skupiam się na własnym sercu, które chce wyskoczyć mi z piersi. Dyszę, jakbym przebiegła maraton. Uświadamiam sobie, że zdążyłam przejść na drugi koniec pokoju. Nawet nie zauważyłam, że ściskam w ręku materiał jasnej zastony. Łapię się za czoło.

– Pięknie – odpowiada, choć nie wiem, czy do mnie, czy bardziej do siebie. – Gratuluję ci, Lena. Chyba nie mamy o czym gadać – obwieszcza, jakby chciała zakończyć rozmowę.

– Właśnie, że mamy – dodaję, zanim zdąży nacisnąć czerwoną słuchawkę. – Teraz tchórzysz? Przez tyle lat ponoć starałaś się mnie wychować na dobrego człowieka. Tak mówiłaś. Tymczasem nie potrafisz wziąć na klatę tak ważnych spraw, które mnie dotyczą. Mamo! – wołam. – Czy ty rozumiesz, o czym mówię? Znalazłam pamiętnik Maryli, w którym wszystko opisała.

– Cholera jasna – przeklina pod nosem. – Lena! – zawodzi. Nie wiem, czy to tylko gra, czy jej płacz jest autentyczny. Ale znam ją, nie mogłaby tak dobrze udawać. – To było tak dawno. Po co to rozgrzebywać. Ja jestem twoją matką. Ja – podkreśla. – Nie ona. – Nie odpowiadam. – Co twoim zdaniem miałam zrobić? Pozwolić ojcu odejść? Był moim mężem. Kochałam go. To był tylko incydent. Maryla była samotna – rzuca w moją stronę kolejne kłamstwa. – Zasługiwałaś na pełną rodzinę.

Incydent? Do diabła. Powstrzymuję się przed wykrzyknięciem tego na głos. Romans, który trwał przez jakiś czas był dla niej tylko przypadkiem? A może... Może ona po prostu tak to widziała? Może ojciec nigdy nie powiedział jej prawdy. Może widzi siebie w roli tej, która przebaczyła zdradę? I zwyczajnie nie dostrzega swojej winy.

– Ona wie – zwraca się do ojca, najwyraźniej odsuwając telefon od ucha. Mimo to wciąż ją słyszę. Jestem ciekawa, co odpowie tata. Ale on nie mówi zupełnie nic. – Jesteś tam jeszcze? – dopytuje nieco głośniejszym, chlipiąc pod nosem.

– Jestem – szepczę. – Mogłaś mi o tym powiedzieć – dodaję. O to mam żal. O sekret, który taiła przede

mną przez tyle czasu. Jak może czuć się człowiek, który nagle odkrywa, że jego korzenie są zupełnie inne? I to nie te dalekie, rozrysowane na szkolnym drzewie genealogicznym na szarym końcu. Ale te najbliższe. W miejscu, w którym zawsze widniało obok mnie zdjęcie Krystyny Marczuk, powinna znajdować się Maryla Sarnicka.

– Córeczko – łka, a ja zastanawiam się, czy użyła tego słowa celowo, czy to czysty przypadek. – Nie wiem, co mam ci teraz powiedzieć. – Przerywa. – Przepraszam – mówi cicho. – Zawsze tak bardzo bałam się, że kiedyś się dowiesz. Robiłam wszystko, żeby cię nie stracić. A teraz... – nie kończy. Słyszę za to jej płacz.

– Nie tracisz mnie. I nie straciłabyś. W moim życiu zawsze byłoby dla ciebie miejsce – odpowiadam. Choć tak naprawdę nie mam pojęcia, jak potoczyłby się mój los, gdyby kiedyś podjęła inną decyzję. Gdyby zdecydowała się powiedzieć. Być może teraz byłabym zupełnie gdzie indziej. – Dlatego nie chciałaś, żebym wyjeżdżała.

– Nie mogliśmy mieć z ojcem dzieci. Przez tyle lat się nam nie udawało. Z mojego powodu – dodaje. Najwyraźniej teraz jest tego świadoma. Ciotka Maryla wspominała w pamiętniku o tym, że moja matka często kłóciła się z tatą o coś, co było dla nich priorytetem. Obwiniała go o to. – Ty byłaś moją jedyną nadzieją. Nie mogłam cię stracić.

– Jeśli kogoś więzisz, mamo, nigdy nie będzie w pełni twój – odpowiadam. Ktoś kiedyś powiedział, że miłość drugiego człowieka sprawdza się wtedy, kiedy pozwala się mu wyruszyć w świat. Powrót będzie niezbitym dowodem, że jednak kocha.

– A ty wrócisz? – pyta. Jakby w tym momencie to była najważniejsza sprawa w jej życiu.

– Nigdy tak naprawdę nie odeszłam – stwierdzam, słysząc, że w tym momencie przekraczam swoją granicę. Łamie mi się głos. Matka mi wtóruje. Płacemy obie, jakby ta rozmowa miała nas oczyścić.

A potem rozmawiamy jeszcze dobrych kilkadziesiąt minut. Tak, jak nigdy wcześniej. Szczerze, otwarcie, z miłością.

ROZDZIAŁ 29

Jakub

Odsuwamy się parę kroków dalej od schodów przed moim domem, bo nieustannie włączająca się i gasnąca lampka reaguje na każdy nasz ruch.

– Ciekawe, ilu sylwestrowych geniuszy pokaleczy dziś łapy – zastanawia się Lena. – Już nie wiem, czy to bardziej alkohol, czy głupota każe im robić takie rzeczy. Sam powiedz. Kto o zdrowych zmysłach zerka na odpalone sztuczne ognie? Logiczne, że w każdej chwili mogą wybuchnąć. Słyszałeś o tym przypadku z zeszłego roku? Facet stracił wzrok i został tak poparzony, że ledwo przeżył – oburza się Lena, która tego wieczoru papie jak najęta. Nietrudno zauważyć, że po ostatnich ciężkich dniach wreszcie zaczęła być sobą. Wróciła. Do mnie.

– Obstawiałbym procenty, Lena. Ludzie w stanie upojenia potrafią robić różne dziwne rzeczy. – Milknę. – Na przykład wydzwaniać po nocach do znajomych, szukając transportu. – Próbuję zachować powagę. Z marnym efektem, kiedy widzę jej otwarte usta, gdy dociera do niej, że właśnie przywołałem jej przypadek.

– Dzięki – zakłada ręce na piersi. – Ty zawsze byłeś święty?

Potakuję.

– Absolutnie tak – silę się na kłamstwo. Ona to widzi. Przewraca oczami i kręci głową. Przecież nie mam zamiaru opowiadać jej, że kiedyś sam wypuszczałem fajerwerki z dłoni, wylądowałem na dołku, pobiłem się z kumplem o dziewczynę tak, że przez miesiąc chodziliśmy z pokiereszowanymi facjatami i że mój ojciec twierdził, że nigdy, absolutnie nigdy nie wyrosną ze mnie ludzie.

– Jasne – burczy pod nosem i odwraca się do mnie tyłem.

Rozpinam kurtkę, rozchylam poły i przyciągam Lenę do siebie.

– Ale jesteś gorący – mówi, opierając się o mnie plecami. Okrywam ją przynajmniej na tyle, na ile starcza materiału. Oboje wpatrujemy się w ciemne niebo świadomi, że za moment rozbłyśnie setkami różnokolorowych fajerwerków.

Uśmiecham się, bo doskonale zdaję sobie sprawę, że to znowu się stało. To, co już nigdy miało nie nastąpić. Zakochałem się. W grudniowe dni, które już na zawsze miały pozostać dla mnie wyłącznie symbolem niekończącej się żałoby, znowu zachciało mi się żyć.

– Zdaje się, że ostatnio często mi to mówisz – odpowiadam, mrużąc jej nad uchem.

– Przestań. Bo robisz to takim głosem, że znowu... – nie kończy.

– Że co? – prowokuję ją.

Przez parę sekund milczy, kombinując nad odpowiedzią.

– Dobrze wiesz – oburza się, że ciągnę ją za język. – Że znowu zaczynam myśleć tylko o jednym.

– Lena, Lena – upominam ją. – Lepiej ochłońmy, bo dopiero co wyszliśmy na zewnątrz.

– Nie myśl, że desperacko chciałabym wrócić do domu – stwierdza obojętnie, choć wiem, że wystarczyłby jeden mój gest, a znowu znaleźlibyśmy się w łóżku. Odwracam ją w swoją stronę. Jej oczy rosną. Patrzy na mnie, nawet nie mrugając. Łapię ją za brodę i unoszę głowę. Rozchyła usta, kiedy zaczynam się do nich zbliżać. Czuję na sobie jej miękkie wargi. Zatapiam się w nich. Jej wilgotny język ślizga się po moim podniebieniu. Jeszcze chwila, a sam wezmę ją na ręce i zanoszę z powrotem do środka. Odrywam się, zdając sobie sprawę, jak potężne emocje wzbudza we mnie ta dziewczyna. – Zrobiłeś to celowo – jęczy. – Całujesz mnie w taki sposób, a potem znowu każesz mi czekać. Przygryza wargę. Przesuwam po niej kciukiem.

– Czekanie ponoć wzmacnia apetyt – uśmiecham się, widząc, jak bardzo jest rozpalona.

– Mój zawsze jest ogromny. Nie potrzebuję go nakręcać – odpowiada z lekką pretensją.

– Naprawdę? – dopytuję. – Głaszczę jej policzek. Zsuwam rękę niżej, łapię za skrawek szalika i odsłaniam szyję. Muskam jej nagą skórę. – A ja myślałem, że lubisz, kiedy to robię – szepczę jej koło ucha.

– Kuba – jęczy. – Przestań. – Odsuwa się. – Przysięgam, że jeszcze chwila i... – Jest wściekła. Podnoszę brew, czekając aż dokończy.

– I...?

Nie odpowiada.

Łapie mnie za kurtkę i szarpie w swoją stronę. Ulegam jej, pozwalając przejąć kontrolę. Całuje mnie, przyjemnie drażniąc paznokciami skórę mojej głowy. Wie, jak to robić. Na kilka sekund tracę kontakt z rzeczywistością. Jakbym odlatywał właśnie poza ziemską orbitę. Z nią. W tym momencie znowu liczy się tylko to, co pomiędzy nami. I nic więcej.

– Idziemy do domu? – proponuję, bo czuję, że właśnie na to czeka. Zerka na mnie, a z jej ust wydostają się ledwo widoczne kłęby pary. Właśnie uświadamiam sobie, że przecież na zewnątrz jest mróz. Jestem tak rozpalony, że przetrwałbym teraz bez kurtki nawet na cholernej Antarktydzie.

– A co z fajerwerkami? – pyta, choć widzę, że wcale jej na tym nie zależy.

Mrużę oczy i patrzę na nią prowokacyjnie.

– Chrzanić je – stwierdzam i nie czekając na reakcję, biorę ją na rękę.

Delikatne światło dochodzące z nocnej lampki pada prosto na wilgotną skórę Leny. Jej piersi wciąż unoszą się i opadają. Przeciera czoło, jakby właśnie skończyła jakąś ciężką pracę. Oczy wciąż ma zamknięte, kiedy powoli kładzie zgięte dotąd nogi na prześcieradle. Wydaje z siebie cichy pomruk, delektując się chwilą. Przyglądam się jej, bo ciężko mi nasycić wzrok.

Kiedy podnosi powieki, spostrzega, że na nią patrzę. Uśmiecha się, wyraźnie z siebie zadowolona. Wyciąga rękę w moją stronę, splatając palce z moimi. Całuję wierzch jej dłoni.

– Nie wychodźmy dzisiaj z łóżka – proponuje.

– Nie mam takiego zamiaru – odpowiadam. Podnoszę głowę z poduszki i podpieram się na łokciu. Zerka w okno, bo w oddali wciąż jeszcze słychać odgłosy fajerwerków. – Szczęśliwego nowego roku – szepczę. Lena odwraca się na bok i przysuwa w moją stronę.

– Wzajemnie. – Milknie na parę sekund. – Nowego roku pełnego miłości i nowych szans – mówi, a ja chcę wierzyć jej słowom. Wierzyć, że może nam się udać. Lena wzdycha. – Przegapiliśmy cały pokaz – zauważa. – Kolejna szansa dopiero za rok.

– Mała strata – komentuję. – Ty błyszczysz zdecydowanie mocniej niż one – silę się na jakiś romantyczny tekst.

– Nie wierzę, że to powiedziałeś – dziwi się.

– Aż tak źle? – podnoszę brwi.

– Lubię taką wersję ciebie – przygryza wargę.

– Znaczą tandetną – kwituję, parszkając śmiechem.

– Taką, która potrafi mnie zaskoczyć – patrzy na mnie absolutnie szczerze. Poważnieje, a potem wyciąga rękę i sunie palcami po moim ramieniu. Przechodzi mnie przyjemny dreszcz. Nabieram powietrza i na moment je wstrzymuję. – Sporo wycierpiałeś Kuba, ale wciąż potrafisz się uśmiechać. Pozwól mi pokazać ci dobrą, wspólną przyszłość.

Wsluchuję się w jej szept. Słowa potrafią wzruszyć. Mają równie wielką moc, co czyni. W ciągu jednej sekundy wzniciają całą lawinę emocji.

– Nie musisz mi jej pokazywać. – Nie zastanawiam się nad tym, co mówię. Słowa same płyną. – Po prostu bądź.

EPILOG

ROK PÓŹNIEJ WIGILIA

Lena

Kładę na stole przedostatnią z wigilijnych potraw. Rybę po grecku. Zrobiłam ją dla Kuby i jego mamy, bo niedawno powiedziała mi, że kiedyś był to nieodłączny element Wigilii w ich rodzinnym domu.

– Jak pięknie ci wyszła – chwali mnie przyszła teściowa, od razu rozpoznając, co to za danie.

– Dziękuję – uśmiecham się, a potem poprawiam białą bluzkę.

– Po grecku? – dziwi się Jakub. – Skąd wiedziałaś? – docieka.

– Mam swoje tajne kanały wywiadowcze – wzruszam ramionami. To nic takiego. Po prostu potrafię słuchać i cieszyć się, kiedy mogę sprawić bliskim drobne przyjemności. Odwracam się w stronę mojej mamy. Patrzy na to wszystko z nutką zazdrości. Niby się uśmiecha, ale znam ją i doskonale wyczuwam, że z tym bananem przyklejonym na ustach nie jest do końca szczerą.

– Do ciebie też coś mam, mamo. – Podchodzę do niej i rozbudzam ciekawość. Potem odwracam się do Jakuba. – Zapal świeczkę – mówię i idę w kierunku kuchni. Otwieram szufladę, wyjmuję chochelkę i wkładam ją do wazy na zupę. Zerkam do środka i mieszam brązową, gęstą zawartość. Potem biorę naczynie za uszy i już mam zamiar je podnieść, kiedy prawie podskakuję.

– Jezu! – Odwracam głowę, gdy Kuba niespodziewanie kładzie ręce na mojej tali. – Ale mnie przestraszyłeś – karcę go. Czuję, jak wali mi serce.

– Przepraszam, kochanie – szepcze mi do ucha. A jego dłonie zaczynają zataczać koliste ruchy na moim brzuchu. Opieram głowę na jego ramieniu i na moment pozwalam sobie odetchnąć. – Chciałem tylko zapytać, czy mogę się jeszcze w czymś przydać?

– Tak – milknę. – W zabawianiu towarzystwa. Więc won mi z kuchni – żartuję, nim na dobre się przy nim rozleniwię. Przed nami wigilijna kolacja, a kiedy tak mnie przytula, mam ochotę tutaj z nim pozostać.

– Niech jedzą sobie sami – stwierdza.

– Jasne – prychem. – Idź i im to powiedz – przewracam oczami.

Jakub zabiera mi sprzed nosa wazę i odchodzi. Idę parę kroków za nim. Potem ostatni raz zerkam na kuchenny blat i upewniam się, czy na pewno wszystko znalazło się na wigilijnym stole. Opuszczam kuchnię.

– Moczka dla ciebie, mamo – tłumaczę, kiedy Jakub stawia ją na stole.

– Moczka? – Matka prawie piszczy z radości. Jej oczy rosną proporcjonalnie do radości.

– Pamiętam, jak zachwyciłaś się nią w zeszłym roku. Próbowałam zrobić ją wedle przepisu znalezionej w internecie, ale ciężko powiedzieć, czy wyszła tak, jak miała.

– Na pewno będzie pyszna – wzrusza się. A ja razem z nią. Naprawdę za nią tęskniłam. Za taką jej wersją. Taką, która wychodzi na zewnątrz, kiedy opada warstwa pozorów. Krystyna Marczuk nie jest złym człowiekiem. Ma w sobie duży pierwiastek dobra, trzeba tylko umiejętnie je wydobyć. I choć wiele mi zabrała, dużo od niej dostałam. I właśnie w tym dniu, w dniu pojednania, o tym drugim chciałabym pamiętać.

Przy długim, zakupionym specjalnie na tę okazję stole, w domu Jakuba, a właściwie w naszym domu, siedzą nasi najbliżsi. Moi rodzice, matka Kuby, on i ja. Zeszłoroczna samotna Wigilia pozostaje tylko wspomnieniem. Rozglądam się po towarzystwie i uświadamiam sobie, jak nieprzewidywalny bywa los. Dziś nie jestem już sama. Tak bardzo mi do tego daleko.

Zamykam oczy. Tylko na parę sekund. Czuję wzbierające pod powiekami łyzy szczęścia. Kuba najwyraźniej to zauważa. Łapie mnie za dłoń i delikatnie ściska.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho, choć zwraca przy tym uwagę wszystkich pozostałych.

Kiwam głową, że tak. To na pewno hormony.

– Cieszę się po prostu, że tutaj jesteście – wzruszam ramionami i odpowiadam absolutnie szczerze, a potem kolejny raz odwracam się w stronę człowieka, dzięki któremu możemy dziś być tu wszyscy razem. Jakuba. – Kocham cię – mówię, nie pierwszy już raz. Te słowa zawsze jednak niosą ze sobą potężny wydzwięk,

bo płyną prosto z mojego serca.

– Ja ciebie też – odpowiada.

Pokój wypełniają słowa modlitwy. Mój ojciec odczytuje fragment Ewangelii. Padają krótkie życzenia, łamiemy się opłatkiem i zaczynamy jeść. Choć za oknem nie ma nawet grama śniegu, zamiast tego hula wiatr i pada gęsta deszcz, a ludzie narzekają na brak świątecznego klimatu, nie brakuje magii. Magii bożonarodzeniowych świąt. Bo pomimo przeszłości, która w mniejszym czy większym stopniu nie oszczędziła nikogo z nas, jesteśmy tutaj razem. Wielokrotnie zwaśnieni, rozczarowani, osamotnieni i zranieni, w końcu celebруем przy jednym stole. Zapominając, co było i z nadzieją patrząc w przyszłość.

– A ty, Lenko, czemu nie jesz? – dopytuje moja mama. Wrywa mnie z zamyślenia. Przytomnieję i zerkam na swój talerz. Przecieram lekko zaszkłone oczy. Naprawdę powinnam coś ze sobą zrobić, bo ostatnie wahania nastrojów i łatwość popadania w stan wzruszenia pewnego dnia dosłownie mnie wykończą.

– Zamyśliłam się. Zaraz nałożę sobie rybę – odpowiadam zmieszana.

– Wszystko w porządku? – draży. Zna mnie i najwyraźniej czuje, że mam coś do przekazania. Zerkam na Kubę, który patrzy na mnie z nieskrywanym uśmiechem.

– Właściwie to chcieliśmy wam coś powiedzieć – Jakub przejmuje kontrolę. Jak na komendę wszyscy odkładają sztuce.

– Będę babcią? – wypala moja przyszła teściowa tak szybko, że przez moment zastanawiam się, czy na pewno dobrze usłyszałam.

Potakuję. Patrzę na moich rodziców. Nie dowierzają. Takiego oszołomienia na twarzy mojego ojca nie widziałam już dobrych parę lat. Albo nawet nigdy.

– Tak – wyduszam. Cholerny ścisk w gardle znowu utrudnia mi mówienie. – Będziemy mieli dziecko – dopowiadam.

Moja matka przykrywa usta i zerka na pozostałych. Zapada chwila niezręcznej ciszy, a potem prawdziwy wybuch euforii. Zrywając się z krzeseł przytulamy się, a wzajemne gratulacje zdają się nie mieć końca. Ze szczerych słów bije ciepło, a ja otrzymuję tyle wsparcia, że z pewnością mogłoby mi go wystarczyć na dobrych parę lat.

– Który to miesiąc? – dopytuje teściowa, kiedy wreszcie wszyscy z powrotem siadamy na swoich miejscach.

– Czwarty – odpowiada jej Kuba.

– Czwarty? – dziwi się. – I tak długo nic mi nie powiedziałaś? – Jest zdziwiona.

– Nie chcieliśmy zapeszać – stwierdzam, zwracając się do wszystkich. – Pierwszy trymestr to dość niepewny czas dla tej małej istotki – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– A chłopak czy dziewczynka? – odzywa się mój ojciec.

– Tato – śmieję się. – Jeszcze nie wiadomo. Ale jak tylko się dowiem, na pewno was poinformuję – uspokajam go.

– Takie rzeczy – wtrąca rozemocjonowana teściowa. – I to w czasie świąt. Mały Jezus nam błogosławi. – Rozkłada ręce. – W końcu tego doczekałam. – Patrzy na wszystkich zadowolona. – Dzięki tobie, Lenko – zwraca się do mnie – odzyskałam nie tylko syna, ale będę mieć także wnuka – łamię się jej głos. A po moich policzkach zaczynają płynąć łzy. Nie potrafię ich ukryć. – Dziękuję – dopowiadam.

Zaciskam usta. Nie potrafię wykrzesać z siebie ani jednego słowa.

– Przestańcie – wtrąca Kuba. – Mieliśmy jeść, a nie płakać.

– Kiedy niektóre słowa muszą zostać wypowiedziane – tłumaczy jego matka.

A potem wszyscy w końcu zaczynamy jeść. Spośród dwunastu wigilijnych potraw każdy jest w stanie znaleźć coś dla siebie. Nawet ja. Nakładając na talerz drugi kawałek domowego sernika, mam nadzieję, że za bardzo nie pójdzie mi w boczki. A nawet jeśli? I tak wkrótce będę potrzebować nowych spodni. Zdaje się, że nie tylko ja będę miała fazę przyspieszonego wzrostu, a właściwie rozrostu. We dwójkę, z kimś malutkim pod moim sercem, na pewno przestaniemy mieścić się w noszonej przeze mnie esce.

Zerkam na świąteczne drzewko. Pachnący świerk pobłyskuje setką jasnych światełek. Srebrno-niebieskie dodatki mienią się w ich blasku. I choć choinka w domu Jakuba miała już nigdy nie stanąć, w końcu jest. Duża, majestatyczna i dająca o sobie znać. A pod nią elegancko zapakowane paczki, które nie mają dla mnie większego znaczenia. W tym roku dostałam już najpiękniejszy prezent. Rodzinę, miłość i życiowy cel. Czegoż mi więcej potrzeba? I choć wiem, że w oczach wielu moja ciąża może wydawać się zwyczajną wpadką,

w końcu właśnie mija rok mojego związku z Kubą, a ja wciąż jestem jeszcze bardzo młoda, to była nasza w pełni przemyślana decyzja. Budujemy naszą miłość na stabilnym gruncie. I chcemy być ze sobą na zawsze. Do skończenia świata. A nawet dzień dłużej.

– Lenko, Jakubie – moja matka podnosi głowę znad talerza. – Chciałam was o coś zapytać – oznajmia. Nie wiem, czy mam się bać, ale jej zapowiedź brzmi tak, jakby chodziło o coś ważnego.

– Tak? – mówię i wycieram usta chusteczką. Czuję lekkie podenerwowanie, choć być może wcale nie powinnam mieć ku temu powodu.

– Co zamierzacie zrobić ze starym domem? – dopytuje. – Znaczy, z domem Maryli? – Zauważam, że wciąż z trudem przychodzi jej wypowiedzenie imienia ciotki. – Mówiłaś, że mieszkacie tutaj, u Jakuba.

Chrząkam. Miałam nadzieję, że ten temat nie zostanie tutaj poruszony.

Właściwie ostatnio rozmawialiśmy z Jakubem i mamy co do tego bardzo podobne zdanie.

– Mamo, my... – dukam, bo nie wiem, jak to powiedzieć. W końcu zdaję sobie sprawę, że to jej spuścizna. – Dom ciotki stoi pusty – tłumaczę, chcąc jej to wszystko jakoś wyjaśnić. – Przeniosłam się tutaj. A nie tak łatwo utrzymać oba budynki. Tamten, nieopalany, niszczeje. Poza tym podatki i tak dalej.

– Chcecie go sprzedać? – wali prosto z mostu. Widzi, że kręcę, nie przechodzę do konkretów.

Potakuję.

– Taki mieliśmy zamiar – krzywię się i zerkam na Kubę. Czekam, aż matka coś odpowie. Ale dosłownie opada mi szczęka, kiedy moim oczom ukazuje się kompletnie niespodziewany widok: klaszcze w dłonie, uradowana nie mniej niż wiadomością o ciąży. Nie wiem, dlaczego tak reaguje. Prawdę mówiąc, spodziewałam się innego zachowania.

– To wspaniale, Lenko! – składa ręce jak do modlitwy. – Bo widzisz – aż się zapowietrza – my chcieliśmy go kupić! – wykrzykuje.

Zapada chwila ciszy.

– Wy? – przerywam jej, upewniając się, czy dobrze zrozumiałam.

– No my – odpowiada. – Moglibyśmy być bliżej ciebie – stwierdza. – Chyba że miałybyś coś przeciwko. – Widzę, że zaczyna się wahać.

– Nie no – zerkam na Kubę. W zasadzie to całkiem fajny pomysł. Tylko zaskakujący. – Byłoby super, gdybyście wrócili w dawne strony – odpowiadam szczerze, choć z lekkim niepokojem. Nie mieszkaliby zaraz za płotem. Ale parę minut dalej. Bezpiecznie dla mnie. Naprawdę zaczynam się cieszyć. – Świetnie, mamo – dodaję. Choć od razu przychodzi mi do głowy, że jest jedna osoba, która może nad tym ubolewać. Pan Józef. Już wyobrażam sobie jego minę na wieść o powrocie Krysi Marczuk. A może w końcu by się dogadali?

– Przemyślcie to sobie – kwituje mama. – I dajcie nam znać. Teraz, kiedy będzie maluszek, mogłabym ci się przydać – rzuca konkretnym argumentem, który zapewne ma mnie przekonać.

– Kocham was – odpowiadam szczerze. – I nie chciałabym, żebyście byli blisko tylko dlatego, by was wykorzystywać.

– Oj, Lenko – matka się wzrusza.

– Mówi tak, żeby było nam miło – ojciec dla żartu komentuje moje słowa.

– Zaprzeczam – do rozmowy wtrąca się Jakub. – Lena to najbardziej szczerą osobą na świecie i nie zamierza gryźć się w język, jeśli coś dzieje się nie po jej myśli. Sam miałem okazję się o tym przekonać.

Przewracam oczami.

– Lepiej zamilcz – karczę go dla żartu.

A potem do późnego wieczora śpiewamy kolędy. Celebując nie tylko narodziny małego Jezusa, ale także odrodzenie nas samych.

PIERWSZY DZIEŃ ŚWIĄT

Otwieram oczy, czując uciążliwe parcie na pęcherz. I to chyba niekoniecznie wina uroków ciąży. Przed położeniem się spać wypilałam dwie szklanki wody. Po obfitym posiłku wigilijnym mój organizm dopominał się o płyny.

Patrzę na Kubę, który wciąż śpi. Naciągam się w jego stronę i muskam jego wargi. Kącik jego ust unosi się w górę, ale szybko opada. Przez moment mam wrażenie, że się obudził, ale kiedy zaczyna mamrotać coś pod nosem, widzę, że byłam w błędzie. Wysuwam się spod kołdry, zabieram szlafrok i mknę do ubikacji. Na palcach, by nikogo nie obudzić. W jednym z nieużywanych pokojów na górze śpią moi rodzice. Czmycham po schodach, by po chwili poczuć prawdziwą ulgę.

Korzystając z okazji, że jestem w łazience, biorę szybki prysznic. Wkładam na siebie piżamę, szlafrok, szczotkuję zęby i z turbanem na głowie idę w kierunku kuchni.

– Cześć, tato – mówię na powitanie zaskoczona, że widzę go siedzącego samotnie przy ladzie. – Już nie śpisz? – pytam retorycznie, bo to przecież oczywiste.

– Jakoś nie umiem. Mama za głośno chrapie – próbuje się śmiać.

– Chcesz kawę? – proponuję, jednocześnie uruchamiając ekspres. – Espresso, latte, czyli taka ze spienionym mlekiem, cappuccino – wymieniam dostępne opcje. W domu zawsze pił po prostu białą. Nie mieliśmy urzędzenia z tak szerokim zakresem wyboru.

– Nie chcę ci robić problemu. Już i tak wczoraj dość się napracowałam – mówi.

– Przestań – wtrącam. – Przecież sobie też robię.

– To ty możesz pić kawę? – dopytuje zaskoczony. – No wiesz... – Wskazuje na mój brzuch, nie bardzo wiedząc, jak ubrać w słowa swoje myśli.

– Tato – wzdycham. – Jestem w ciąży. To nie choroba. Poza tym mam bardzo niskie ciśnienie. Muszę wypić kawę, żeby stanąć na nogi.

Potakuje.

– W takim razie zrób mi taką, jaką robisz sobie.

– Latte – stwierdzam i zabieram się do roboty. Odwracam się do niego plecami, wydjmuję z szafki dwie wysokie szklanki z podwójnym dnem. Ustawiam je pod dyszami, z których za moment polecą kawa i nagle przypominam sobie, że obok mnie siedzi człowiek, który jest nie tylko moim ojcem. Ale także mężczyzną z pamiętnika. Tym samym, który rozpałił czyjeś serce i je zламаł. Tym, który jako jedyny może odpowiedzieć na pytanie niedające mi spokoju przez cały rok.

Kiedy kawa jest gotowa, stawiam ją na ladzie. Odsuwam dla siebie drugie wysokie krzesło i siadam obok taty.

– Pyszna – mówi, zaciągając się białą pianką. Mleko zabawnie osadza mu się na wąsie. – Jak w restauracji – komentuje zadowolony.

– Szkoda, że skończył się karmelowy sos. Muszę dokupić. Wtedy zasmakowałyby ci jeszcze bardziej – tłumaczę, biorąc pierwszy łyk. Ciepły płyn przyjemnie rozlewa mi się po podniebieniu.

– To na pewno – odpowiada. – A ty Lenka, jak się czujesz? Jesteś rozpromieniona i szczupła jak zawsze. Gdybyś nam nie powiedziała, że będziemy mieli wnuka albo wnuczkę, nigdy bym się nie domyślił.

– Dzięki, tato. Nie narzekam. Kuba bardzo mnie wspiera – mówię szczerze. Na początku, kiedy dowiedział się o ciąży, chciał mnie wyręczać dosłownie we wszystkim. Gdybym mu pozwoliła, za chwilę nosiłby mnie na rękach nawet do toalety. A ja pod koniec ciąży z braku ruchu wyglądałabym jak wieloryb. – Tato, posłuchaj... – zwracam na siebie jego uwagę. Odwraca się w moją stronę i wyczekuje dalszego ciągu. – Widzisz, chciałam cię o coś zapytać.

Prostuje się, a ja mam wrażenie, że wstrzymuje oddech.

– O co? – marszczy czoło, wykazując zainteresowanie.

Patrzę na niego. I nie wiem, jak zacząć. Tyle czasu czekałam na okazję do podobnej rozmowy. A kiedy już się nadarza, jestem o krok od tego, by się wycofać. Już chcę odpowiedzieć, że ogólnikowo o przeszłość. Udaje mi się przegnać obawy i lęk.

– Dlaczego zostawiłaś Marylę, kiedy była w ciąży? – przechodzę do rzeczy. Ojciec opiera łokcie o ladę. Garbi się, jakby nagle stracił całą pewność siebie. Wzdycha głośno, skupiając wzrok na swoich dłoniach.

– Co ci mam powiedzieć, Lena? – pyta. – To był przypadek. Ja...

– Tato – przerywam mu, nie pozwalając brnąć w kłamstwa. – Oboje wiemy, że to nie był przypadek. – Widzę jego reakcję. Nie spodziewał się takich słów. Nim zdąży się czegoś wyprzeć, postanawiam kontynuować. – Znalazłam pamiętnik Maryli. I twoje listy – ostatniego dowodu nie da się podważyć.

– Boże – jęczy i łapie się za głowę.

– To przeszłość. A ja już nie mam do was żadnych pretensji. Twoje słowa niczego nie zmieniają. Poza tym, że uzupełnią tę całą poplątaną historię. Możesz skłamać albo powiedzieć prawdę. Jednak ludzie, którzy chcą sobie nawzajem ufać, powinni postawić na to drugie.

Daję mu parę chwil. Widzę, że zbiera myśli. Walczy ze sobą i być może próbuje właśnie w głowie upleść jakieś kolejne, wysrane z palca oszczerstwo. Sęk w tym, że raczej je rozpoznam.

– Widzisz, Lenko – zaczyna – kochałem w swoim życiu dwie kobiety. I do teraz sam nie wiem, którą kiedyś kochałem bardziej – przetyka ślinę, a potem przeciera dłońmi twarz. – Wybrałem twoją mamę, ale byłem słaby. Nie potrafiłem poradzić sobie z uczuciami, które wywoływała we mnie Maryla. Mieliśmy z mamą kryzys. Ciągłe się kłóciliśmy. Zależało nam na dziecku. Nie mogłem tego znieść. – Milknie. Kręci głową i zaciska powieki, jakby wszystko sobie przypominał. Jakby czynił właśnie spowiedź. Przede mną, ale i przed własnym sumieniem. – To była tylko moja wina. Uwiodłem Marylę kolejny raz, a kiedy zaszła w ciążę, nie wiedziałem, co zrobić. Chciałem z nią być. Dać ci należny dom, ale nie mogłem zostawić mamy. Wiązało nas małżeństwo.

– Są przecież rozwody – stwierdzam. Nigdy nie chciałabym, żeby rozstali się z mamą. Na samą myśl łzy cisną mi się do oczu. Ale wtedy jeszcze nie było mnie na świecie.

– Kiedyś to było inaczej. Ludzie nie rozwodzili się ot, tak – tłumaczy, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Ot, tak? Tato – próbuję do niego dotrzeć, choć wcale nie chcę go umoralniać. – Przecież zdradziłeś mamę. I to nieraz.

– Krysia zawsze byłaby w moim życiu. Jako siostra Maryli. Myślisz, że mógłbym ją tak wymazać? – Widzę, ile go to wszystko kosztuje emocji. Nie chciałam, by się złościł. Nie po to go tutaj zaprosiłam.

– Wiem, że nie – odpowiadam spokojnie. Chcę, by widział, że wcale nie zamierzam go oceniać.

– Ktoś musiałby cierpieć. Przecież nie mogliśmy żyć w trójkę. Rozsądek podpowiadał, że z mamą, jako małżeństwo, będziemy w stanie dać ci ciepło, którego potrzebujesz. Maryla była sama. Miała jeszcze szansę, by jakoś poukładać sobie życie – sam nie jest przekonany do tego, co mówi.

– Rozsądek – powtarzam. – A serce? – Patrzę mu prosto w oczy.

– Serce – wzdycha. Fuka pod nosem i potakuje sam do siebie. – Jeszcze długo nie mogło się pozbierać. Mówią, że czas leczy rany, ale... – macha ręką.

– Ty naprawdę ją kochałeś – stwierdzam, uświadamiając sobie, jak potężny ładunek tragizmu niosła ta sytuacja. Każdy miał swoje racje i swoje perspektywy. Nie chciałabym znaleźć się w skórze nikogo z nich.

– Miałem ciebie. Najlepszą pamiątkę – przeciera oczy. Szklane od łez. Przechodzą mnie dreszcze. Jeszcze nigdy nie widziałam, by płakał. Schodzę z krzesła, staję za nim i obejmuję go. Przyciskam głowę do jego pleców.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś – szepczę, bo po raz pierwszy w życiu czuję, że był ze mną naprawdę szczerzy.

– Jestem z ciebie bardzo dumny – mówi łamiącym się głosem. – Że jesteś tak odważna. Że wyrosłaś na niezależną kobietę, która potrafi o siebie zawalczyć.

– Dałeś mi życie, tato – na powrót siadam i wyciągam rękę w jego stronę. Przykrywam dłonią jego dłoń. – Zawsze o mnie dbałeś, więc zostawmy to, co było, za sobą i zacznijmy wszystko od nowa. Tutaj w Tyńcu. Gdzie kiedyś przecież wszystko się zaczęło.

Dla jednych Święta Bożego Narodzenia to czas narodzin Dzieciątka Jezus. Dni duchowych przemyśleń, pogłębiania wiary i odkrywania prawd zapisanych na kartach Pisma Świętego. Dla drugich czas rodzinnych spotkań, przebaczenia, otwierania serc i dzielenia się tym, co mamy. Są tacy, którzy w grudniowych dniach widzą tylko powierzchowną magię. Drogie prezenty, oklepane: wesołych świąt, kolorowe bombki na choince czy radosne melodyjki zagranicznych zimowych piosenek. Niezależnie od tego, czy ktoś zatracił prawdziwy sens przeżywania tych dni, czy wciąż pamięta, jakie jest ich źródło, to powinien być czas refleksji także nad samym sobą. Czas, w którym może warto zakończyć to, co złe i dać sobie szansę na nowy rozdział. Puszczając w niepamięć dawne urazy. Bo ciężące na sercu zadry innym nie wyrządzają tyle krzywd, ile nam samym.

Z małym życiem noszonym pod sercem z nadzieją zerkam w przyszłość. U boku ludzi, których już zawsze chcę mieć przy sobie. Wyciągając wnioski z błędów popełnianych przez innych wiem, że sama potknę się nieraz. Ważne, że zawsze będzie ktoś, kto poda mi rękę i dla kogo mogłabym rzucić się w ogień. Jakub Lincner. Moja ostoja. Moja miłość. Moja przyszłość.

KONIEC

Z PRZEPISNIKA LENY...

Marcepanki (bez pieczenia)

100 g masła
100 g mleka w proszku
300 g cukru pudru
1 białko
1 olejek migdałowy

Wszystkie składniki zagnieść. Następnie przygotować formę do ciast i wyłożyć ją papierem do pieczenia. Porcjami wkładać do cukierniczej szprycy przygotowaną masę i wyciskać na papier, formując małe ciasteczka. Zostawić najlepiej na całą noc, aż wyschną.

Sernik mamy Leny

Ciasto:

10 dag cukru
30 dag mąki
18 dag margaryny
2 jajka
1 cukier waniliowy
1 łyżeczka proszku do pieczenia

Wszystkie składniki na ciasto zagnieść, rozwałkować i przenieść na blachę wyłożoną papierem do pieczenia.

Masa serowa:

1 kg zmielonego twarogu
20 dag cukru
3 opakowania cukru waniliowego
2 budynie śmietankowe
½ szklanki oleju
3 żółtka + 2 całe jajka
2 szklanki mleka

Składniki wymieszać i wylać na ciasto. Piec przez 45 minut w temperaturze 200 stopni. W międzyczasie przygotować pianę z białek.

Piana z białek:

3 białka
3 łyżki cukru
3 łyżki wiórków kokosowych

Pianę ubijamy i wykładamy na upieczone, ciepłe jeszcze ciasto. Ponownie wkładamy do piekarnika i pieczemy 15 minut.

PODZIĘKOWANIA

Zakładam, że podziękowania do książki czytacie dopiero na końcu i mam nadzieję, że historia Wam się podobała i zapewniła sporo wrażeń. Staralam się w niej zawrzeć wiele obrazów naszej codzienności i tym samym skłonić Was do refleksji. Teraz, kiedy zaznajomiliście się już z bohaterami, spróbujcie odpowiedzieć sobie na pytanie: czy tak łatwo ich ocenić? Kto był najbardziej winnym tej całej skomplikowanej sytuacji z przeszłości? Maryla, która wydawała się ofiarą, choć w końcu uległa namiętności z cudzym mężem? Krysia, która stanęła przed ołtarzem i starała się zawalczyć o rodzinę, choć sama nie była w stanie dać mężowi tego, czego oboje pragnęli najbardziej? Czy Staszek, który dzielił serce na pół, ale w końcu dokonał wyboru? Już z góry było wiadomo, że ktoś zostanie przegrany.

W trakcie tworzenia tej powieści pojawiło się wiele zbiegów okoliczności, które stały się dla mnie znakiem, że musiała powstać i które ostatecznie miały wpływ na jej kształt. Być może opowiem Wam o nich na spotkaniach autorskich, jeżeli oczywiście będziecie chcieli posłuchać.

Nadszedł czas, by podziękować. Jak zawsze jest wiele Osób, które mają dla mnie ogromne znaczenie i bez których moje pisanie być może w ogóle nie miałoby szansy zaistnieć. Dziękuję zatem mojej Rodzinie, Mężowi Damianowi, który zawsze we mnie wierzy, moim Dzieciom, Rodzicom, Dziadkom i wszystkim Bliskim, którzy nieustannie mnie wspierają. Dopytują, chwalą i opowiadają o moich książkach. Dziękuję, że jesteście ze mnie dumni.

Dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Lucky. Panu Prezesowi Robertowi Stępniewi za podarowaną mi szansę i wiarę w tę historię, pani Małgorzacie Malec za wszystkie nadesłane informacje i pani redaktor Halinie Bogusz za pracę nad kształtem powieści oraz rozmowę telefoniczną. Dziękuję Grafikowi za piękną okładkę oraz wszystkim, z którymi nie mam okazji współpracować bezpośrednio.

Dziękuję Patronom Medialnym mojej powieści, którzy biorą tę historię pod swoje skrzydła. Wybrałam Was, bo jesteście niesamowici i wiem, że zawsze mogę na Was polegać. Czyniecie dla książkowego świata naprawdę wiele dobrego. Kolejność nie ma tutaj żadnego znaczenia. Dziękuję: Kasi Sęk „Książkopasja”, Monice Bujek „Monika w Krainie Powieści”, Annie Kopczyk „ank_1985_czyta”, Ewelinie Góreckiej „Ewelkowe Czytanie”, Ewelinie Kwiatkowskiej-Tabaczyńskiej „Zaczytana Ewelka” oraz portalowi Granice.pl.

Niezmiennie dziękuję wszystkim Bloggerom i Recenzentom powieści. Osobom, które promują moją twórczość i dzielą się swoimi opiniami. Za Wasz czas, piękne słowa, zdjęcia czy filmiki. Dziękuję wszystkim Bibliotekarkom i Bibliotekarzom, a także księgarzom, którzy polecają moje książki innym.

Dziękuję moim stałym Czytelniczkom. Osobom aktywnie udzielającym się w moich mediach społecznościowych, na Facebooku czy Instagramie. Dziewczyny (i Chłopaki – choć w znacznej mniejszości), jest Was tak wiele, że ciężko byłoby wymienić wszystkich. Nie macie pojęcia, jak DUŻO dla mnie znaczą. Jak bardzo cenię Wasz odzew, komentarze i prywatne wiadomości. Dziękuję, że jesteście!

Dziękuję Tobie Czytelniku za to, że zdecydowałaś się przeczytać tę książkę. To dla mnie ogromne wsparcie, bo przecież dzięki temu, że czytasz, moje pisanie ma sens. Jeśli znajdziesz chwilę, napisz na temat mojej powieści kilka zdań w sieci. Podziel się wieścią o książce z innymi. Śledzę wszystkie opinie i za każdą jestem bardzo, bardzo wdzięczna.

Tę książkę dedykowałam trzem wspaniałym Polonistkom, które miałam szczęście spotkać na swojej drodze. I przy okazji tej powieści chciałam im ogromnie podziękować za to, że wszczepiły we mnie miłość do języka polskiego. Pani Justyna Hudek oraz pani Iwona Miler pomagały mi rozwijać moje pisarskie umiejętności w czasie lekcji, a nieraz także poza nimi. Te lekcje pozostaną w mojej pamięci na zawsze. Pani Maryla Marcol nie uczyła mnie języka polskiego bezpośrednio, ale miałam okazję uczestniczyć w przygotowywanych przez nią kreatywnych przedstawieniach i nigdy nie zapomnę, że była na moim pierwszym spotkaniu autorskim w czasach, kiedy pisałam jeszcze wiersze. (Zbieżność imion z bohaterką jest zupełnie przypadkowa, jako że bohaterka powstała znacznie wcześniej niż pomysł dedykowania tej książki także pani Maryli).

Dziękuję Wam za wszystko i do zaczytania przy następnej książce. Trochę ich w zapasie mam. Tymczasem jeśli chcesz wiedzieć na bieżąco, co u mnie słychać, zapraszam na:

Facebook

<https://www.facebook.com/WeronikaTomalaAutor>

Instagram

https://www.instagram.com/kto_czyta_zyje_podwojnie/

Tik tok

<https://www.tiktok.com/@weronikatomalaautorka>

Wasza Weronika

PRZYPISY

[1] Dawniej roraty odprawiane były wyłącznie przed wschodem słońca.